

NACISKI WŁADZY
NA SĘDZIÓW
I PROKURATORÓW

PROF. KRZYSZTOF MIKULSKI:
ZA DUŻO DOKTORÓW,
ZA DUŻO PROFESORÓW

OSTROŁĘKA – SPRZĄTANIE
PO RZĄDACH PiS

MILAN KUNDERA
MIĘDZY EROTYKĄ A POLITYKĄ

Samotne matki wyrodni ojcowie



Drodzy CZYTELNICY,

Jesteśmy już razem od 20 lat. Docenia-
my to, że jesteście z nami! To dzięki Wam
nasze pismo jest niezależne. I dociera do
wielu Czytelników. Każda wpłata jest cenna
i ważna. Każda przyczynia się do wydawa-
nia tygodnika, książek historycznych wbrew
wykładni IPN czy prowadzenia stron i portali
internetowych. Nie mamy dotacji ani reklam.

Nam nie brakuje pomysłów i odwagi
**Brakuje ponad 300 tys. zł, które są nam
dłużni RUCH i Garmond.**

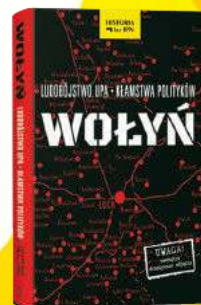
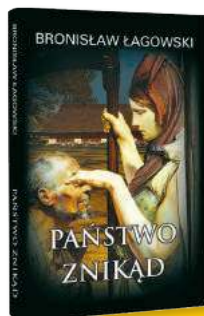
PRZEGLĄD potrzebuje Waszego wsparcia.
Dziękujemy, każda złotówka ma znaczenie!

Czytaj i pomagaj
Przekaż darowiznę na
rzecz fundacji PRZEGLĄDU

**CZYTELNIKU, kupując nasze
książki, wspierasz PRZEGLĄD**



Zebrane środki przeznaczymy
na sfinansowanie nowych
projektów wydawniczych



Wpłaty prosimy dokonywać na konto:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Santander Bank Polska SA
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
W przelewie prosimy wpisać tytuł książki lub Darowizna
(i dopisać adres e-mail, byśmy mogli przesłać podziękowania)
Wpłaty darowizny można dokonywać także online,
wchodząc na **www.tygodnikprzeglad.pl**

CYTATY

O. LUDWIK WIŚNIEWSKI,
dominikanin

Biskupi, którzy ukrywali straszne przestępstwa, przenosząc księży pedofilów z miejsca na miejsce, powinni złożyć rezygnację na ręce papieża.

„Tygodnik Powszechny”

JERZY BACZYŃSKI,
redaktor naczelny

Ekspersi są nad wyraz zgodni: PiS jedzie po bandzie.

„Polityka”

SZYMON KUCZYŃSKI,
żeglarz, który opłynął świat bez zawijania do portów

Przeczytałem w czasie rejsu prawie 100 książek.

„Angora”

KRZYSZTOF HOŁOWCZYK,
kierowca rajdowy

Chciałbym wrócić na Dakar. Na początek trzeba mieć milion euro.

„Viva!”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Kłamstwa w interesie gigantów

Politycy mieli wybór. Wsparcie oczywistych praw twórców, czyli artystów, naukowców, dziennikarzy, do zapłaty za pracę albo podlizanie się gigantom internetowym i tym użytkownikom, którzy kochają wszystko, co pozornie darmowe. Nasi europosłowie wybrali to, co jest dla nich korzystniejsze. Poparli wielkich, takich jak Google, YouTube, Amazon i Facebook. Potwierdzili tym samym, że albo nie mają głębszej wiedzy o tym problemie, albo brakuje im charakteru, by nie ulegać naciskom gigantów i nie zachowywać się stadnie. W wielu przypadkach chodziło pewnie o jedno i drugie. Na szczęście jako całość Parlament Europejski wykazał się większą mądrością i odwagą intelektualną niż duża grupa polskich europosłów. Za dyrektywą głosowała tylko siódemka: Agnieszka Kozłowska-Rajewicz, Barbara Kudrycka, Danuta Hübner, Julia Pitera, Bogdan Zdrojewski, Tadeusz Zwiefka (wszyscy z PO) i niezrzeszony Kazimierz Michał Ujazdowski. Pozostali uważają chyba, że warto tolerować kradzież w imię totalnej wolności internetu. Tak jakby w internecie nie było wielu ograniczeń próbujących hamować plugawy hejt, nienawiść, apologię zbrodni czy kompletnie zdegenerowaną pornografię. Za hasłem wolność w internecie nade wszystko, zero cenzury, chowają się najwięksi gracze internetowi. Robią na tym gigantyczne interesy i pustoszą wartościową część internetu. Jeszcze trochę takiego bezmyślnego zachowania i trzeba będzie wywiesić białą flagę.

Gdy jedni mówią o cenzurze i zagrożeniu wolności, drudzy robią na tym, jak teraz, ogromne pieniądze. I najzwyczajniej okradają twórców. Nie płacą im ani grosza. Traktują ich jako darmowych dostawców wartościowych produktów.

Rozpasani giganci internetowi stawali więc na głowie, by taki stan trwał wiecznie. Na szczęście urwało im się to eldorado. Teraz będą musieli płacić wydawcom. A polscy wydawcy już zobowiązali się, że połowę tych pieniędzy przekażą twórcom. Nie będzie to szybko. Lata miną, zanim oczywista stanie się prawda, że kradzież zawsze jest kradzieżą. Nie pomoże opakowanie jej w marketingowe bzdety. I jeszcze jedna uwaga. Kłamstwa o strasznych zagrożeniach, jakie niesie ze sobą nowa dyrektywa Unii, są tylko kłamstwami. Bredniami dla mniej rożgarniętych. Użytkownicy internetu niczego nie tracą. Dalej mogą linkować, cytować, robić memy, karykatury itp. I może przyjemniej będzie im to robić ze świadomością, że ci, z których wiedzy korzystają, nie są okradani. Wreszcie.

FAUL

Kto zastąpi górala?

Jeśli ktoś myśli, że pierwszy szereg w PiS głowi się nad strajkiem nauczycieli, to jest w tzw. mylnym błędzie. Strajk strajkiem, a najważniejsze są kadry. Kto zastąpi Annę Zalewską? A zwłaszcza kto zastąpi Joachima Brudzińskiego? Kandydat Andrzeja Dudy, czyli Andrzej Dera? Kandydat samego Joachima, górala ze Szczecina, czyli Paweł Szeferner? Albo kandydat samego siebie, czyli Jacek Sasin? Może to będzie któryś z nich. Ale powołanie dostanie tylko wtedy, gdy jako kandydat pojawi się w głowie niedoszłego budowniczego dwóch wież.

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Samotne matki, wyrodni ojcowie**
Matka Polka nie narzeka
- 12 Sprawiedliwość musi być po naszej stronie**
Jak władza osacza sędziów
- 17 Bez tej dyrektywy nie mamy szans**
– rozmowa z Bogusławem Chrabotą
- 20 Ostrołęka nie tonie**
Sprzątanie po rządach PiS
- 24 Spychanie słabszych na dno**
– rozmowa z prof. Krzysztofem Mikulskim
- 34 Sąd, religia i pokemony**
Zmuszona do pierwszej komunii?
- 36 Sąd przekroczył granicę**
– rozmowa z Piotrem Pawłowskim
- 50 Mazowsze nie przepało czasów PRL**
Wspomnienia Tadeusza Zakrzewskiego

ZAGRANICA

- 28 Dzieciaki z Parkland obudziły Amerykę**
Korespondencja z USA
- 56 Kafelki pożądania**
W Lizbonie kradną azulejos

OPINIE

- 32 Bogdan Galwas**
Problem poważniejszy niż „1000 zł na miesiąc”

KULTURA

- 38 Żeby kogoś zapalić, samemu trzeba płonąć**
– rozmowa z Urszulą Grabowską
- 42 Nieznośna lekkość powieści**
Kundera między erotyką a polityką
- 45 X muza w koalicji z internetem**
Filmy rosyjskie w sieci
- 48 Culturalia**
- 66 Cracow Art Week**

HISTORIA

- 54 Dlatego trzeba...**
Życie w warszawskim getcie

SPORT

- 58 Końca budowy wciąż nie widać**
Wymęczone punkty reprezentacji

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Kłamstwa w interesie gigantów
- 27 Bronisław Łagowski**
Być za i przeciw
- 37 Roman Kurkiewicz**
Nie czytać – źle, czytać – jeszcze gorzej
- 41 Tomasz Jastrun**
Nowe okulary
- 47 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Rozmrażanie
- 53 Edward Mikołajczyk**
Dogrywka po odwołanym meczu



34
KRAJ

SĄD, RELIGIA I POKEMONY

Zmuszona do pierwszej komunii?

38
KULTURA

ŻEBY KOGOŚ ZAPALIĆ, SAMEMU TRZEBA PŁONAĆ

– rozmowa
z Urszulą Grabowską



56
ZAGRANICA

KAFELKI POŻĄDANIA

W Lizbonie kradną azulejos

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. FOTOLIA



EWOLUCJA CZŁOWIEKA

Jak człowiek przystosowuje się do zmian klimatu

POLACY PRZENOSZĄ SIĘ DO CZECH

ŚCIANA WSCHODNIA

nie wierzy w przywrócenie lokalnych połączeń

f Dlaczego młodzież nie głosuje na lewicę?

Ponieważ szkoła, media i kultura masowa kształtują fałszywy obraz PRL i socjalizmu, a dla większości lewica równa się PRL. Bo promuje się egoizm, wyścig szczurów i pogardę dla tych, którzy (najczęściej nie z własnej winy) mają gorzej. Bo SLD skompromitował ideały lewicowe, choć jeszcze w 2001 r. koalicja SLD-UP zdobyła w wyborach 41% głosów. Bo w szkołach średnich na lekcjach przedmiotu zwanego podstawy przedsiębiorczości promuje się wyłącznie wyidealizowany wolny rynek.

Michał Siemiński

Dlatego że w Polsce nie ma dziś lewicy. Są z jednej strony ugrupowania, które za fasadą lewicowości ukrywają swoje rzeczywiste sympatie do neoliberalizmu gospodarczego, z drugiej – tzw. lewactwo, czyli postmodernistyczna lewica zionąca nienawiścią do wszystkiego, co ma związek z tożsamością narodową czy w ogóle z cywilizacją zachodnioeuropejską, dążąca do urzeczywistnienia idei eurokołchozu, a w niedalekiej przyszłości – euroislam. I jednych, i drugich problemy lewicowego elektoratu obchodzą tyle, co zeszłoroczny śnieg.

Krystyna Jankowska

f Czym minister Zalewska zastąpiła sobie na wyjazd do Brukseli?

Sam tytuł sugeruje (i słusznie), że w Polsce na lukratywne stanowiska wybiera się za „zasługi” (w cudzysłowie, bo nie są to zasługi dla narodu polskiego, lecz dla partyjnych miernot), a nie kierując się kompetencjami. Dotyczy to kandydatów do Parlamentu Europejskiego, Sejmu czy na posady w spółkach skarbu państwa. Czyli mierni, bierni, ale wierni – hasło z 1945 r. powróciło i utrzymuje się przez 30 lat po 1989 r. Podczas gdy tamto z 1945 r. zniknęło już po ok. 15 latach. Chwały to Polakom nie przynosi.

amelie2



✉ Obóz koncentracyjny to nie obóz zagłady

„Trafiając do obozu koncentracyjnego, można było być niemal pewnym śmierci”, czytamy w rozmowie z niemieckim historykiem i dziennikarzem Hansem Joachimem Langiem (PRZEGŁĄD nr 13, s. 36). Przykre, ale to zdanie wypowiedziane przez Langa jest nieprawdziwe. Obóz koncentracyjny służył do koncentrowania/gromadzenia więźniów w jednym miejscu. Można było w nim przeżyć i wielu więźniów przeżyło, np. Stanisław Grzesiuk ze swoją filozofią świadomego niepracowania. Niemal pewnym śmierci można było być w obozie zagłady, Vernichtungslager. Te obozy przeznaczone były tylko dla Żydów, Polaków tam nie zabijano. Polacy, w tym i redakcja PRZEGŁĄDU, mieszają te dwa pojęcia. Co z tego pomieszania pojęć wynika, oceni czytelnik sam.

Zenon z Kition (Wielkopolska)

ZDJĘCIE TYGODNIA



30 lat temu, 5 kwietnia 1989 r., zostały podpisane porozumienia kończące obrady Okrągłego Stołu. Wyznaczyły one główne kierunki przyszłych reform. Np. podpisanie dokumentu końcowego ds. reform politycznych przez Janusza Reykowskiego (strona rządowa) i Bronisława Geremka (Solidarność).



PYTANIE TYGODNIA | Jakie, dla zwykłych ludzi, będą skutki dyrektywy o prawach autorskich?

DR ALEK TARKOWSKI,
Centrum Cyfrowe

Dyrektywa ma słusne cele, takie jak poprawa sytuacji twórców. Istnieje jednak ryzyko, że jej stosowanie w niektórych przypadkach będzie skutkowało ograniczeniem swobody wypowiedzi albo wręcz cenzurą. Treści publikowane w serwisach społecznościowych mogą bowiem być blokowane w sposób nieprzejrzysty i niesprawiedliwy. Filtry mogą zablokować korzystanie z treści, na których użycie zezwala prawo autorskie. Jednak przepis o filtrach treści to tylko jeden z elementów dyrektywy, która składa się z kilkunastu części dotyczących także nauki, edukacji, instytucji kultury. Zawiera ona m.in. pakiet regulacji dotyczących tzw. dozwolonego użytku, czyli tego, co wolno robić z treściami. Choć nieidealny, jest on korzystny dla społeczeństwa. Poprawia np. zasady korzystania z danych przez naukowców, nieco polepsza sytuację nauczycieli i edukatorów oraz jasno definiuje obszary, gdzie nie obowiązuje prawo autorskie.

RAFAŁ GÓRSKI,
Instytut Spraw Obywatelskich

Dyrektywa to krok w kierunku świata będącego skrzyżowaniem wizji z „Roku 1984”, „Nowego Wspaniałego Świata” i „Matrixa”. Po pierwsze, ograniczy wolność słowa. Roboty będą cenzurowały treści, które obywatele będą chcieli publikować w internecie. Materiały niepoprawne politycznie będą miały mniejsze szanse na ujrzenie światła dziennego. Po drugie, zwiększy się wpływ technologii na zwykłych ludzi. Do wdrożenia dyrektywy w przyszłości

zapewne zostanie wykorzystana sztuczna inteligencja. Po trzecie, cenzura przewencyjna w internecie ograniczy obywatelom możliwości buntu. Korporacje i nieformalne grupy interesu zacierają ręce, bo kontrolowanie informacji to władza. Ciekawe, co na to Stanisław Lem. Postawię tezę, że przewraca się w grobie.

MICHAŁ CZARNOWSKI,
czytelnik PRZEGLĄDU

Parlament Europejski nie rozpoczął „końca internetu”, nie będziemy płacić „podatków od linków” i nikt nam nie „zbanuje memów”. Wbrew kampaniom dezinformacyjnym uruchomionym przez Google’a, Facebooka i niektórych influencerów celem dyrektywy jest nie cenzura, lecz poprawa losu artystów, wydawców i dziennikarzy. Kontrowersje wzbudził artykuł, który ma przeciwdziałać temu, że duży portal zarabia na treściach znacznie więcej niż ich autorzy. Przenosi on odpowiedzialność za naruszanie praw autorskich z użytkownika na portal. Paradoksalnie grozi to wzmocnieniem monopolu dużych portali, dla których wprowadzenie filtrów treści nie stanowi problemu finansowego, w dodatku wynegocjują z branżami kreatywnymi korzystniejsze dla siebie warunki. Dyrektywa musi jeszcze zostać wdrożona w każdym kraju członkowskim. Na tym etapie wiele obaw może się rozwiązać. Wszystko zależy od tego, w jaki sposób nowe prawo zostanie zinterpretowane i doprecyzowane.

Not. Michał Sobczyk

Więcej o dyrektywie na s. 17

Katarzyna Wierzbicka

„Nic o tym nie wiesz, nim sama tego nie doświadczysz – tak aktorka Weronika Rosati zaczyna rozmowę z Magdaleną Środą o samotnym macierzyństwie. – Nie chodzi przy tym tylko o sytuację finansową. Moja jest niezła (...). Samotna matka to jednak nie tylko niskie dochody, to sytuacja społeczna, duchowa i egzystencjalna. Nie chodzi o to, że jesteś jawnie dyskryminowana, ale że czujesz się inna, gorsza, niepełna i tak jesteś postrzegana przez wielu. Ty i Twoje dziecko”.

Wywiad został opublikowany w „Wysokich Obcasach” 9 marca. Aktorka opowiada w nim zarówno o samodzielnym wychowywaniu córki, jak i o powodach rozstania z ojcem dziewczynki, o doświadczanej przemocy i o braku wsparcia ze strony byłego partnera, który alimenty „płaci, ile chce i kiedy chce”, a o dziecko, jak twierdzi Rosati, pyta sporadycznie.

„Jest we mnie gniew – mówi Weronika Rosati w odpowiedzi na pytanie, dlaczego zdecydowała się mówić. – Mój gniew nie jest prywatny”. Jednak ten gniew „nie jest prywatny” nie tylko z tego powodu, że wyraża go znana aktorka. – Samotnych matek jest i będzie coraz więcej – twierdzi Monika Helak, badaczka z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego i ośrodka analitycznego Polityka Insight. – Według Narodowego Spisu Powszechnego rodziny z jednym rodzicem to około jednej trzeciej wszystkich rodzin z dziećmi.

Gniew jest tu słowem kluczowym – świadectwo Weroniki Rosati i reakcje na nie pokazują bowiem, że polska opowieść o samotnym macierzyństwie jest nie tyle opowieścią o finansach pod kreską czy poświęceniu, ile o nieobecności i niesprawiedliwości. Przeciążone, często pozbawione wsparcia, polskie samotne matki balansują na granicy psychofizycznej wytrzymałości. Jeśli się potkną albo, jak Rosati, wyrażą sprzeciw, zostaną z tego rozliczone.

OJCOWIE WIDMA

– Mój były mąż wpada raz na pół roku do syna, zwykle późno, bez zapowiedzi i pijany. Przynosi prezenty, opowiada, jak go kocha i jak żałuje, że „mamusia rozbiła rodzinę”. Potem

SAMOTNE MATKI, WYRODNI OJCOWIE

Nawet milion dzieci może nie otrzymywać alimentów. Żeby związać koniec z końcem, ich matki muszą być bohaterkami



Hasła piętnujące alimentarzy pojawiły się na warszawskiej Manifie.

znika na długie miesiące – opowiada Beata, od kilku lat samodzielnie wychowująca ośmioletniego syna. – Alimentów nie płaci programowo, bo to „moja wina”. Pije też przeze mnie. Mówi: „Zniszczyłaś mnie, to teraz masz, suko”. Mieszka z matką i teoretycznie nie pracuje, więc o egzekucji komorniczej nie ma mowy.

– O zasądzenie alimentów walczyłam półtora roku. Wcześniej rozprawy się nie odbywały, bo się na nich nie stawiał. Nie odbierał pism z sądu, nie było z nim kontaktu. Ta odbyła się tylko dlatego, że wysłał mi wiadomość, która dowiodła, że o niej wiedział – mówi z kolei Anna, matka dwóch dziewczynek w wieku przedszkolnym,

której były partner jest wykształconym i dobrze znanym w swoim środowisku bywalcem warszawskich klubów. – Wiem, że alimentów od niego nie dostanę, nie mam złudzeń.

Monika Helak: – Biuro Informacji Gospodarczej podaje, że w Polsce jest 319 tys. dłużników alimentacyjnych, łączny dług alimentacyjny w lipcu 2018 r. wyniósł prawie 11,9 mld zł, a jego ściągalskość to zaledwie nieco ponad 16%. To tysiące rodzin pozbawionych wsparcia, w których cały ciężar utrzymania spada na matki i ewentualnie ich sieci kontaktów.

Jak jednak podkreśla Monika Helak, oficjalna liczba dłużników alimentacyjnych jest znacznie niższa niż dzieci, które nie otrzymują alimentów. Żeby bowiem niepłacący alimentów ojciec został zarejestrowany jako dłużnik, matka dziecka musi najpierw o alimenty wystąpić. A sam wpis do rejestru dłużników wymaga odpowiedniej procedury.

Dr Elżbieta Korolczuk, socjolożka, kulturoznawczyni i współredaktorka książek „Pożegnanie z Matką Polką? Dyskursy, praktyki i reprezentacje macierzyństwa we współczesnej Polsce” oraz „Niebezpieczne związki. Macierzyństwo, ojcostwo i polityka”: – Z badań przeprowadzonych przez Stowarzyszenie Dla Naszych Dzieci wynika,

Elżbieta Korolczuk:
Matka Polka ma być dzielna, brać na siebie odpowiedzialność i ogarnąć rodzinę finansowo, emocjonalnie i logistycznie.



800 zł na osobę w rodzinie. Oznacza to, że aby dostać świadczenie na pierwsze i jedyne dziecko, trzeba by w ogóle zrezygnować z umowy o pracę, bo wynagrodzenie minimalne wynosi obecnie 1634 zł netto. Co więcej, do deklarowanych we wniosku dochodów wliczane są alimenty. Nawet jeśli wnioskodawczyni widzi je wyłącznie na papierze.

W przypadku Funduszu Alimentacyjnego próg dochodowy jest jeszcze niższy – 700 zł na członka rodziny. Niezależnie jednak od wysokości zasądzonych alimentów świadczenie z funduszu może wynosić najwyżej 500 zł.

Pozostaje jeszcze zasiłek rodzinny, wynoszący w zależności od wieku dziecka od 95 do 135 zł. Mogą o niego się starać samotni rodzice, których miesięczny dochód nie przekracza 674 zł na członka rodziny lub 764 zł – jeśli w rodzinie jest dziecko niepełnosprawne.

– Wiemy tylko, jak wygląda egzekucja długu alimentacyjnego wobec państwa, nie wiadomo natomiast, jak egzekwowane są alimenty wobec dzieci. Nie wiemy także, jaka jest ich wysokość – wyjaśnia dr Korolczuk. – Po długich bojach organizacji pozarządowych został zmieniony art. 209 Kodeksu karnego – wcześniej o tzw. niealimentacji można było mówić wyłącznie wtedy, kiedy była ona „uporczywa i długotrwała”. W sądzie trzeba było udowodnić, że niepłacenie alimentów przez drugiego rodzica realnie pogarsza sytuację dziecka. Teraz na szczęście wystarczą trzy miesiące zaległości w płaceniu, żeby sprawa trafiła do sądu. Po tej zmianie rzeczywiście wzrosła liczba spraw o niealimentację, a ministerstwo otrąbiło sukces. Jednak z monitoringu Stowa-

rzyszenia Dla Naszych Dzieci wynika, że triumf był przedwczesny. Okazuje się bowiem, że mnóstwo tych spraw jest umarzanych.

– 90% dłużników alimentacyjnych to ojcowie – mówi z kolei portalowi WP.pl Robert Damski, komornik sądowy przy sądzie w Lipnie i członek Zespołu Ekspertów ds. Alimentów, powołanego przez rzecznika praw obywatelskich i rzecznika praw dziecka. – Ja dłużników alimentacyjnych dzielę na cztery kategorie. Pierwsza to tzw. Piotruś Pan. Jest to człowiek, który zazwyczaj przychodzi do mnie z mamą. To matka go tłumaczy. Opowiada, że ta jego była żona to zła kobieta była, a te dzieci to na pewno nie jego. Druga kategoria dłużników to Smerf Ciamajda. Przychodzi do mnie taki i zarzeka się, że kocha swoje dzieci, ale nie ma pracy i nie może na nie płacić. W dodatku uważa, że żadna praca nie jest go godna. Kolejny dłużnik to Łatający Holender, któremu się wydaje, że po przekroczeniu granic Polski obowiązków alimentacyjny znika, i dlatego przestaje płacić. Czwarty typ to Lisek Chytrusek. Całkiem nieźle mu się powodzi, ale ma nową rodzinę i nie chce płacić na „byłe dzieci”. Teraz ma już nowe. Z tamtymi nie ma kontaktu, bo podobno była żona mu go utrudnia.

Wiele wskazuje, że finansowa nieobecność ojca w życiu dziecka nie zawsze jest osobnym problemem. Niedokładanie się do kosztów utrzymania potomka nie tylko samo jest przemocą ekonomiczną wobec byłej partnerki, ale także ma w tle inne formy przemocy. – Wśród mężczyzn niepłacących na swoje dzieci jest grupa takich, którzy alimentów – a właściwie ich braku – używają jako narzędzia kontroli nad byłą partnerką. Często niealimentacja jest przedłużeniem przemocy, która już wcześniej miała

Samotnych matek jest i będzie coraz więcej.

że liczba dzieci nieotrzymujących alimentów może sięgać około miliona. To jedna szóstka wszystkich polskich dzieci. Z Funduszu Alimentacyjnego korzysta z kolei ok. 360 tys. dzieci, wcześniej było ich około pół miliona. Należy jednak pamiętać, że ten spadek wynika nie z tego, że 140 tys. ojców więcej płaci alimenty, ale z tego, że zwiększyła się pensja minimalna. Oznacza to, że część samodzielnych matek po prostu przekroczyła próg dochodowy uprawniający je do korzystania z funduszu. Zwiększyła się zatem liczba dzieci, które znalazły się zupełnie poza systemem – są pozbawione zarówno wsparcia drugiego rodzica, zwykle ojca, jak i państwa.

Poza systemem znalazły się także dzieci Anny i Beaty. Ta pierwsza może chociaż liczyć na 500+ na drugie dziecko, druga – na nic. Żeby dostać 500+ na pierwsze dziecko, należy bowiem wykazać dochód niższy niż

► miejsce, a czasem była powodem rozpadu związku – wyjaśnia dr Elżbieta Korolczuk. – Wiele kobiet nie zakłada sprawy o alimenty również ze względu na tę przemoc. Justyna Żukowska-Gołębiewska ze Stowarzyszenia Dla Naszych Dzieci przeprowadziła jakiś czas temu sondę internetową wśród samotnych matek nieotrzymujących alimentów. 80% odpowiedziało, że ich były partner miał problem z uzależnieniem. Natomiast 20% respondentek na pytanie o przyczynę, dla których nie zgłosiły niealimentacji do sądu, odpowiedziało, że bały się przemocy ze strony ojca dziecka. Sonda wprawdzie nie spełnia kryteriów badania statystycznego, ale daje jakieś pojęcie o skali zjawiska.

Z informacji udzielonych PRZEGŁĄDOWI przez Ministerstwo Sprawiedliwości wynika, że w 2017 i w 2018 r. skuteczność egzekucji komorniczej w sprawach dotyczących alimentów wynosiła 18-19%: na 48 583 spraw w roku 2017 załatwionych poprzez wyegzekwowanie należności zostało 9300 spraw, umorzonych – 17 196. Rok później spraw było już 53 692, co – zdaniem Biura Prasowego MS – świadczy o wzroście skuteczności egzekucji. Liczby jednak tej skuteczności nie potwierdzają: 9693 spraw załatwionych poprzez wyegzekwowanie świadczenia, umorzonych – 17 631.

Nieobecność polskich ojców nie przejawia się jednak wyłącznie na płaszczyźnie finansowej. – Obowiązek alimentacyjny nie wyczerpuje listy obowiązków rodzicielskich. A one również bardzo często spoczywają



Monika Helak:
W Polsce jest 319 tys. dłużników alimentacyjnych. Łączny dług alimentacyjny w lipcu 2018 r. wyniósł prawie 11,9 mld zł, a jego ściągальność to ledwie ponad 16%.

z dziećmi. A zasądzanie naprzemiennej opieki nad dziećmi wciąż zdarza się w Polsce bardzo rzadko.

Ten stan rzeczy potwierdza Katarzyna Stadnik, wiceprezesa Stowarzyszenia Dla Naszych Dzieci, w rozmowie z Radiem Kraków z 25 lutego 2016 r.: – Nawet wtedy, kiedy przy

zamknięciu przedszkola i za każdym razem muszę znaleźć kogoś, kto odbierze dzieci. Śpię mało, ale najważniejsze, że pracuję, że daję radę.

– Czasami czuję się jak w pułapce – wyznaje Magda samodzielnie wychowująca ośmioletnią córkę. – Jestem teraz na trzech umowach,

Polska opowieść o samotnym macierzyństwie jest opowieścią o nieobecności i niesprawiedliwości.

rozwodzie ojcowie deklarują chęć utrzymywania kontaktów z dzieckiem, spędzania z nim świąt, wyjeżdżania na wakacje itd., to z czasem ich chęci po prostu bledną.

MATKA POLKA NIE NARZEKA

– Wstaję o godz. 5 rano i kończę to, co miałam zrobić poprzedniego dnia. O 6.30 budzę syna, godzinę później odprowadzam go do szkoły, a potem jadę do pracy. Kiedy wracam, jest już 18, a ja muszę jeszcze zrobić coś do jedzenia, pomóc synowi w odrobieniu lekcji i wyrobić się z kolejnymi

łącznie wysłoby pewnie półtora etatu. Żałuję, że nie mogę częściej być w domu, ale inaczej nie dałabym rady finansowo. W odbieraniu małej ze szkoły pomaga mi mama, nie wiem, co bym zrobiła bez niej.

Jak wskazuje Monika Helak, problem organizacji opieki nad dzieckiem to jedna z najczęstszych trudności związanych z samodzielnym macierzyństwem. Kiedy ojciec dziecka w jego wychowaniu nie uczestniczy, logistyka może się stać karkołomnym wyzwaniem. Sytuacja samotnych matek przypomina błędne koło: muszą utrzymać siebie i dziecko, często zatem zmuszone są pracować więcej niż rodzic z pełnej rodziny. Z kolei im więcej pracują, tym mniej są obecne przy dziecku. A nieobecność w wielu przypadkach oznacza dodatkowe nakłady finansowe na opiekunkę albo angażowanie w opiekę dziadków lub znajomych. Paradoksalnie oznacza to, że samotna matka chcąc pracować musi poświęcić więcej niż te, które z pracy rezygnują. Z drugiej strony rezygnacja z życia zawodowego oznaczałaby ubóstwo – zakładając bowiem, że decydująca się na takie rozwiązanie kobieta otrzymałaby wszystkie przysługujące jej świadczenia, musiałaby

Niezwykle rzadko ojciec zaniedbujący dziecko odczuwa jakąkolwiek stygmatyzację.

wyłącznie na matkach – podkreśla Monika Helak. – Można by przejrzeć oficjalne dane, np. orzecznictwo sądowe dotyczące podziału opieki między rodziców. Są one jednak trudno dostępne, ponadto niekoniecznie odzwierciedlają stan faktyczny – wielu ojców zasądza się przynajmniej częściową władzę rodzicielską, z której później i tak wielu nie korzysta i rezygnuje z utrzymywania więzi

obowiązkami. Kładę się koło północy, czasem później – streszcza swój dzień Beata, która pracuje w cukierni. – Teraz i tak jest lepiej. Wcześniej pracowałam w trzech miejscach na umowy-zlecenia. Mogło być gorzej.

Anna: – Mam dwie prace plus dodatkowe zlecenia. Mieszkanie wynajmuję, więc samych kosztów podstawowych wychodzi mi ponad 2 tys. zł miesięcznie. Pracę kończę po

utrzymać siebie i dziecko za nie więcej niż ok. 1,1 tys. zł miesięcznie.

Dr Elżbieta Korolczuk: – Badania pokazują, że nawet pracujące samotne matki żyją w większości bez żadnych rezerw finansowych – tylko jedno zdarzenie dzieli je od zupełnej niewydolności.

Wynika z tego, że w Polsce kobiety samodzielnie wychowujące dzieci są zmuszone do wyrabiania 300% normy – jednak nawet to nie gwarantuje im zaspokojenia 100% potrzeb.

blem pojawia się natomiast, kiedy czegoś żąda – wtedy wpada do kategorii „roszczeniowych”.

PRYZWOLENIE

Konsekwencje złamania milczenia odczuła także Weronika Rosati. Natychmiast po publikacji rozmowy w internecie wezbrała fala hejtu. „Fanaberie”, „Widziały gały, co brały”, „Ta pani z własnej woli wpakowała się w nierokujący związek. Jest sa-

telefonów bardzo znanych osób – mężczyzn i kobiet – głęboko oburzonych twoimi wypowiedziami o byłym partnerze i z całych sił go broniących – zwraca uwagę Magdalena Środa w rozmowie z Weroniką Rosati. – Ani jedna osoba nie wyraziła słowa krytyki dla jego stylu życia (...). Niektórzy ubolewali nad jego żoną, ale nie z powodu zachowań jej męża, tylko z powodu skandalu, który wywołałaś. Normy oceniające kobiety i mężczyzn są naprawdę bardzo różne”.

Różnice w ocenie matek i ojców nie są jednak tylko doświadczeniem Weroniki Rosati. – Kiedy zdecydowałam się wnieść do sądu sprawę o alimenty, niektórzy znajomi przestali odpowiadać mi cześć na ulicy. Dwóch usunęło mnie z kontaktów na Facebooku – opowiada Anna. – On jest ten biedny, który nie ma pracy, a ja – suka, która chce od niego pieniędzy. Nie zauważyłam, żeby ktośkolwiek przestał podawać mu rękę, kiedy się okazało, że nie zajmuje się dziećmi. On się bawi na imprezach, już ma nową dziewczynę. Mnie nikt nie pyta, jak sobie radzę.

– Od rozwodu nie mam kontaktu z rodziną męża. O zadzwonieniu i poproszeniu o pomoc nie ma mowy. Wśród jego znajomych mam czarny PR: byłej, która „utrudnia kontakty z dzieckiem”. Nie sądzę, żeby jego ktoś pytał o kontakty z synem albo o to, kiedy ostatnio przelał mi jakiekolwiek pieniądze – dodaje Beata.

Dr Elżbieta Korolczuk: – Klasyczny patriarchat polega na systemie, w którym kobieta siedzi w domu, a mężczyzna łoży na utrzymanie. Rzecz w tym, że w Polsce nawet tego nie ma. Teoretycznie niewypełnianie przez ojców ich obowiązków wobec dzieci spotyka się z coraz mniejszą akceptacją. Jednak dzieje się to na poziomie wyłącznie deklaratywnym

– w praktyce niezwykle rzadko się zdarza,

żeby nieobecny, zaniedbujący dziecko ojciec odczuwał jakąkolwiek stygmatyzację. Matka za to jest pod ciągłym ostrzałem podejrzeń i osądów – tym bardziej samotna. Jeśli będzie odgrywać herosa z wystarczającym oddaniem, udowodni swoją wartość. Tylko nikt jej nie pyta, czy ona tym herosem rzeczywiście chce być.

Katarzyna Wierzbicka



Dom samotnej matki w Łodzi.

W wypowiedziach samotnych matek przemęczenie miesza się z siłą: „Śpię cztery godziny” z „Nie będę się nad sobą użalać”, „Czasami nie wyrabiam” z „Cieszę się, że moja córka

Samotna matka jest pod ciągłym ostrzałem podejrzeń i osądów.

widzi, że sobie radzę”. Rzecz jednak w tym, że polska samodzielna matka nie tyle marzy o byciu siłaczką, ile jest do tego zmuszona. I to ma się jej podobać – jeśli narzeka, dostaje łatkę zlej matki.

Elżbieta Korolczuk: – Matka Polka ma być dzielna, brać na siebie odpowiedzialność i – w sytuacji, kiedy ojciec jest nieobecny – ogarnąć rodzinę finansowo, emocjonalnie i logistycznie. W zamian dostaje miejsce w symbolicznym panteonie, prawo do cierpienia i tytuł dobrej matki. Przy czym to cierpienie ma być milczącem, matka ma sobie radzić. Pro-

motną matką z wyboru” – to tylko niektóre komentarze pod wywiadem na stronie „Wysokich Obcasów”. Jak twierdzi sama aktorka, niektóre firmy, z którymi podjęła współpracę, zerwały z nią kontrakty ze względu na „kontrowersje” związane z udzielanymi przez nią wywiadami.

Znamienne, że zarówno w jej historii, jak i w opowieściach innych samodzielnych matek pojawia się motyw odpowiedzialności nie tylko za siebie i dziecko, ale także za byłego

Ogromna liczba spraw o alimenty jest umarzana.

partnera. Jeśli okazał się złym ojcem, to dlatego, że – jak głoszą internetowe komentarze – „matka była bezmyślna”, „złe wybrała ojca dziecka” albo „nie dopilnowała swoich spraw”. Ojcowie natomiast oceniani są rzadko – szczególnie jeśli wykonują szanowany społecznie zawód. „Gdy napisałam krótki komentarz w twojej obronie, posypała się lawina wpisów, a nawet

Andrzej Dryszel

Podpaść można np. za obronę konstytucji czy choćby za przypominanie, że istnieje taki akt prawny.

Sędzia Sądu Okręgowego w Olsztynie Dorota Lutostańska z okazji studium niepodległości założyła koszulkę z napisem „Konstytucja” i z grupą ok. 40 sędziów zrobiła sobie zdjęcie przed gmachem sądu. Władza nie mogła puścić tego płazem, ale potrzebowała pretekstu.

Zdarzyło się, że dwie panie ubrały w koszulkę z napisem „Konstytucja, Jędrak” rzeźby stojące na olsztyńskiej Starówce. W pierwszej instancji sąd odmówił wszczęcia postępowania, ale policja miała przykazane, by takich spraw nie odpuszczać, więc się odwołała do sądu okręgowego. Tam przewinieniem zajęła się sędzia Lutostańska, która także nie wszczęła postępowania, bo jej zdaniem ubranie rzeźb w koszulkę „Konstytucja” nie stanowiło zakłócenia porządku publicznego. To był właśnie ten pretekst.

Zastępca rzecznika dyscyplinarnego uznał, że sędzia Lutostańska mogła nie być bezstronna, i wezwał ją do złożenia wyjaśnień. Chodziło o to, że powinna wyłączyć się ze sprawy. Myślenie było takie: skoro sama założyła koszulkę „Konstytucja”, to przecież jasne, że nie chciała ścigać osób, które podobne koszulki założyły na rzeźby. Sędzia, uznając, że w tej sprawie zachowała bezstronność, napisała w wyjaśnieniu, że nie istniały żadne podstawy, by się wyłączyć.

Wezwanie do złożenia wyjaśnień to wstęp do postępowania dyscyplinarnego przeciw sędzi. Decyzja jeszcze nie zapadła, rzecznik może też uznać, że nie ma podstaw do dyscyplinarki. Taki sędzia jest już jednak na cenzurowanym, nie może liczyć na awans, a jego praca będzie kontrolowana przez władzę. Zawsze przecież jest nadzieja, że znajdzie się na niego jakiś haka.

W podobnej sprawie ścigany był Dominik Czeszkiewicz, sędzia Sądu Rejonowego w Suwałkach. Uniewinił on aktywistów Komitetu Obrony Demokracji obwinionych o zakłócenie (okrzykami) otwarcia wystawy poświęconej gen. Andersowi, z udziałem ówczesnego ministra spraw wewnętrznych Mariusza Błaszczaka, jego zastępcy Jarosława Zielińskiego i An-

Sprawiedliwość musi być po naszej stronie

Władza chce, by sędziowie, którzy podejmują decyzje nie po jej myśli lub krytykują nowe przepisy, wiedzieli, że nie ujdzie im to na sucho

ny M. Anders. Zdaniem zakłócających był to w istocie wiec córki generała przed wyborami uzupełniającymi do Senatu, w dodatku już w okresie ciszy wyborczej. Szefowie resortu spraw wewnętrznych nie zamierzali tolerować uniwersumienia, więc podległa im policja się odwołała, a wiceminister Zieliński oświadczył, że sędzia Czeszkiewicz „zachęca do łamania prawa i czegoś takiego nie może być w polskim sądownictwie”. W drugiej instancji sędzia Jacek Sowul uchylił wyrok i przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia, a kilka miesięcy później, decyzją ministra Ziobry, został prezesem suwalskiego sądu okręgowego. Sędzia Sowul, trzeba trafia, zna się z wiceministrem Zielińskim, był np. na spotkaniu opłatkowym z jego udziałem.

Sprawa kodowców przeszła przez obie instancje, żaden sąd nie znalazł podstaw do ich ukarania. Poszukano jednak powodu, by ukarać sędziego Czeszkiewicza. Przeanalizowano jego orzecznictwo i znaleziono sprawę, w której młody mężczyzna postraszył 14-letnią dziewczynę niesprawną wiatrowką i kazał jej iść ze sobą. Napastnika spłoszono, zajęła się nim policja, prokurator zakazał mu kontaktowania się z dziewczyną. Sędzia Czeszkiewicz wyznaczył termin przesłuchania 14-latki jako pokrzywdzonej. Miało ono nastąpić po dziewięciu dniach od podjęcia decyzji o jego terminie. Przepis mówi zaś, że małoletnich należy przesłuchiwać jak najszybciej.

W rzeczywistości do zwłoki nie doszło, przesłuchanie odbyło się już dzień po wyznaczeniu terminu. Kolegium Sądu Okręgowego w Suwałkach, kierowane przez prezesa Jacka Sowulę, uznało jednak, że opieszałością sędziego Czeszkiewicza powinien się zająć zastępca rzecznika dyscyplinarnego.

Zajął się – i wszczął postępowanie dyscyplinarne, zarzucając nieuzasadnioną zwłokę w przesłuchaniu małoletniej oraz wyznaczenie rażąco odległego terminu. Po zbadaniu czterech lat pracy sędziego pojawił się również zarzut obniżenia jego kwalifikacji zawodowych, w wyniku czego miał wydać zły wyrok łączny w kilku sprawach. Dorzucono też wykonywanie czynności prywatnych w czasie służbowym.

Postępowanie dyscyplinarne skończyło się na razie kląpą. Zajmowanie się sprawami prywatnymi podczas pracy nie miało miejsca, podobnie jak zwłoka w przesłuchaniu. Wyznaczenie odległego terminu okazało się winą ówczesnego prokuratora oraz złej organizacji pracy w suwalskim sądzie. Wydawanie wyroków łącznych jest zaś w świetle polskiego prawa tak skomplikowane, że zdaniem zastępcy rzecznika dyscyplinarnego sam ustawodawca ma kłopoty z interpretacją przepisów. Sędzia Czeszkiewicz nie został więc ukarany, ale już wie, że kroczy po polu minowym i nie powinien być pewny dnia ani godziny.

Nic nie będzie wybaczone

Sędziemu może też zaszkodzić kontaktowanie się z ludźmi, których obecna władza nie lubi, nawet jeśli ci już nie żyją. Doświadczyła tego sędzia Sądu Rejonowego w Gdańsku Dorota Zabłudowska. Dostała ona Gdańską Nagrodę Równości, którą wręczył jej prezydent Paweł Adamowicz, zamordowany kilka tygodni później. Kapituła uznała, że sędzia promuje równość, sprawiedliwość społeczną, praworządność oraz prawa człowieka, zwłaszcza prawo do niezależnego i niezawisłego sądu.

Sędzia niejednokrotnie krytykowała wprowadzone przez Prawo



Przepisy wprowadzone przez „dobrą zmianę” umożliwiły Zbigniewowi Ziobrze utworzenie ekipy nowych rzeczników dyscyplinarnych.

i Sprawiedliwość zmiany w ustawach sądowych. Po śmierci prezydenta Adamowicza napisała zaś na Twitterze: „Tak się kończy mowa nienawiści”, za co już raz wezwano ją do złożenia wyjaśnień w związku z możliwym uchybieniem godności urzędu.

Wiadomo było, że działalność na rzecz praw człowieka, równości, praworządności czy niezawisłości sędziowskiej nie może być tolerowana. W dodatku nagrodę wręczył Paweł Adamowicz, co stanowiło kroplę przepełniającą kielich. Dorota Zabłudowska dostała więc pismo od zastępcy rzecznika dyscyplinarnego Michała Lasoty: „Wzywam Panią w terminie 14 dni do złożenia pisemnego oświadczenia, dotyczącego możliwego przewinienia dyscyplinarnego w postaci uchybienia godności urzędu poprzez przyjęcie od Prezydenta Miasta Gdańska Gdańskiej Nagrody Równości”. Trudno przypuścić, by sędzia się z tego wybroniła.

Jeszcze trudniej będzie sędzi Monice Frąckowiak, która także mówiła krytycznie o zmianach wprowadzanych przez PiS. Postępowanie dyscyplinarne w jej sprawie raz zostało umorzone, jednak potem zastępca rzecznika dyscyplinarnego orzekł, że będzie kontynuowane.

Sędzia Frąckowiak uczestniczyła w udawanej rozprawie podczas jednego z festiwali muzycznych. Za symulowanie rozpraw przez niepokornych sędziów też wszczynano dys-

cyplinarki, uznając, że to uchybienie godności urzędu. Zastępcy rzeczników dyscyplinarnych szybko jednak zrezygnowali, uważając zapewne, że narażą się na śmieszność, bo podobne symulacje latami odgrywali w telewizji sędziowie Anna Maria Wesołowska oraz Artur Lipiński i nikt nie miał do nich pretensji.

– Rzecznik dyscyplinarny odstąpił od postawienia sędzi zarzutów w sprawie symulowanej rozprawy na festiwalu rockowym, ale poszukiwał na nią czegoś innego. Przeświadczył kilka lat pracy sędzi, robiąc to wbrew

Polowanie na sędziów to długofalowa, cierpliwa działalność. Raz może się nie uda, ale trzeba próbować do skutku.

prawu, bo nie było podstaw do żądania informacji o jej pracy. Rzecznik nie prowadził żadnego postępowania w tej sprawie. Było to działanie na zasadzie: dajcie mi człowieka, a ja znajdę paragraf – twierdzi Bartłomiej Przymusiński, rzecznik Stowarzyszenia Sędziów Iustitia.

Pod lupę wzięto ostatnie trzy lata – i uznano, że Monika Frąckowiak popełniła aż 172 przewinienia dyscyplinarne (chyba rekord). Ujawniono to, zanim jeszcze odbyły się postępowania mające sprawdzić, czy rzeczywiście do tych przewinień doszło.

Duża część środowiska sędziowskiego stwierdziła, że sędzia jest szykanowana za krytykę tego, co się

dzieje w wymiarze sprawiedliwości, podobną ocenę zawiera raport Komitetu Obrony Sprawiedliwości.

Piotr Schab, rzecznik dyscyplinarny sędziów sądów powszechnych, oczywiście z tym się nie zgadza: – Zawarte w raporcie tezy nie odpowiadają faktom i przeczą prawu. Jedynym celem sformułowania ocen zamieszczonych w tym dokumencie jest dezinformacja opinii publicznej co do rzeczywistych przesłanek i konsekwencji prawnych podejmowanych czynności. Nie znajduję innego wyjaśnienia dla sformułowania aprobaty wobec postawy sędzi Moniki Frąckowiak, stojącej pod zarzutem ok. 170 przewinień dyscyplinarnych. Na treść tych zarzutów składa się rażące naruszenie obowiązku terminowego sporządzania uzasadnień, znacząca przewlekłość postępowania w trzech sprawach oraz doprowadzenie, wskutek oczywistego błędu prawnego, do nieważności postępowania.

Rzecz jednak w tym, że nikt nie wyraża „aprobaty wobec postawy sędzi Moniki Frąckowiak”, jak twierdzi Piotr Schab. Uważa się natomiast, że podobne przewinienia mają na koncie i inni sędziowie – tyle że rzecznik dyscyplinarny nie bierze ich pod lupę, bo nie krytykują władzy.

Sędzia Bartłomiej Przymusiński wskazuje: – Rzecznik dyscyplinarny oskarżył sędzię Frąckowiak za opóźnienie w pisaniu uzasadnień, chociaż zbliżone opóźnienia mają członkowie nowej Krajowej Rady Sądownictwa, którym z tego powodu włos z głowy

nie spada. Na te 172 przewinienia dyscyplinarne składają się też opóźnienia usprawiedliwione chorobą oraz wynoszące jeden czy dwa dni. Przy takim obciążeniu, jakie ma pani sędzia, i konieczności pisania ok. 120 uzasadnień rocznie, to może się zdarzać. Nie da się tego porównać z obciążeniem niektórych członków KRS – jeden z nich przez cały rok napisał raptem pięć uzasadnień.

– Stosunek sędzi Frąckowiak do jej elementarnych obowiązków skutkuje wielomiesięcznym zaniechaniem sporządzania uzasadnień orzeczeń, w okresie łącznym sięgającym trzech lat. Wiedzę o tych przewinieniach powzięto na podstawie doku- ▶

mentacji uzyskanej od kierownictwa Sądu Rejonowego Poznań Nowe Miasto i Wilda. Zachowań takich nie usprawiedliwia działalność obwinionej sędzi mająca charakter polityczny ani jej aktywność w ramach jednego ze stowarzyszeń sędziowskich – podkreśla zaś Piotr Schab.

Rzecznik dyscyplinarny przyznaje więc, że dowiedział się o rzekomych przewinieniach dyscyplinarnych Moniki Frąckowiak dzięki uzyskaniu stosownej dokumentacji od kierownictwa sądu rejonowego. Czy można wierzyć, że był inny powód zainteresowania się pracą sędzi niż jej aktywność publiczna?

O to nie wolno pytać

Konsekwentnie i uporczywie władza ściga również za zadawanie pytań o niezawisłość sędziowską.

Ewa Maciejewska z Sądu Okręgowego w Łodzi prowadzi sprawę, w której Łowicz zażądał od wojewody reprezentującego skarb państwa odszkodowania za zbyt małe dotacje otrzymywane w przeszłości. Sędzia zapytała Trybunał Sprawiedliwości UE, czy zmiany w postępowaniu dyscyplinarnym wobec sędziów wprowadzone przez PiS nie zagrażają niezawisłości sędziowskiej. Tłumaczyła, że zadała pytanie, bo w przypadku przegranej skarbu państwa mogłaby ją czekać dyscyplinarka.

Bardzo podobne pytanie zadał trybunałowi sędzia stołeczny sądu okręgowego Igor Tuleya przy okazji prowadzonej przez siebie sprawy trzech bandytów oskarżanych o uprowadzenia dla okupu.

Niedługo potem zastępcy rzecznika dyscyplinarnego wezwali sędziów na przesłuchania. Oboje podpadli już wcześniej. Ewa Maciejewska protestowała przeciw zmianie na stanowisku prezesa łódzkiego sądu okręgowego dokonanej przez ministra Ziobrę i pisała, że nowa Krajowa Rada Sądownictwa zamiast bronić niezawisłości sędziowskiej, będzie „pilnować interesów swoich mocodawców”, czyli partii mającej większość.

Igor Tuleya jest zaś od lat krytykowany przez działaczy PiS. Naraził się tym, że potępił działania Centralnego Biura Antykorupcyjnego wobec dr. Mirosława Garlickiego (o którym Zbigniew Ziobro powiedział: „Już nikt przez tego pana życia pozbawio-

ny nie będzie”), uchylił decyzję prokuratury o umorzeniu postępowania w sprawie przeniesienia przez PiS głosowania nad budżetem do Sali Kolumnowej, wielokrotnie krytykował działania partii rządzącej. Był już przesłuchiwany przez zastępców rzecznika dyscyplinarnego w związku z „przekraczaniem granic swobody wypowiedzi publicznej”. Oczywiście więc, że znalazł się na celowniku.

Lista sędziów, do których władza ma pretensje, systematycznie rośnie.

Jak wyjaśnił rzecznik dyscyplinarny Piotr Schab, sędziów Maciejewską i Tuleyę przesłuchano, gdyż zaistniała obawa, że ktoś „wywierał na nich presję w celu zmuszenia ich do wydania określonych orzeczeń w sprawach, w których skierowali pytania prejudycjalne”.

Sędziowie zeznali oczywiście, że nikt nie wywierał na nich żadnej presji – i wpadli w przemyślnie zastawioną pułapkę. Rzecznik dyscyplinarny uznał bowiem, że skoro nikt na nich nie naciskał, to oni sami mogli „popętnić delikt dyscyplinarny polegający na uchybieniu godności urzędu w wyniku skierowania pytań prejudycjalnych”.

Trudno pojąć, dlaczego skierowanie do TSUE pytania o niezawisłość sędziowską może być uznane za przewinienie dyscyplinarne i uchybienie godności urzędu sędziego. Z uchybieniem godności kojarzy się raczej prowadzenie przez sędziego auta po pijaką czy wszczęcie jakiejś burdy.

Machnia jednak ruszyła. Sędzia Maciejewska została wezwana przez zastępcę rzecznika do złożenia wyjaśnień, sprawdzono też, jak orzekała w ciągu trzech lat od nastania „dobrej zmiany” w sprawach, w których stroną był skarb państwa. Gdyby się okazało, że wydawała wyroki dla niego niekorzystne, mógłby to być pretekst do kolejnej dyscyplinarki. Do złożenia wyjaśnień wezwano też Igora Tuleyę (to siódme postępowanie dyscyplinarne, w którym uczestniczył), jego orzeczenia również są sprawdzane.

Rzecznik dyscyplinarny Piotr Schab wyjaśnił, że delikt dyscyplinarny może polegać na tym, że sędziowie naruszyli zasadę bezstronności, ponieważ „zasadnienia ich wystąpień są identyczne

w swej treści”. W związku z tym należy rozważyć możliwość złożenia przez sędziów „fałszywych zeznań zawierających zapewnienia o samodzielnym sporządzeniu orzeczeń”, w których zadali oni pytania TSUE.

Tak oto fachowcy wysokiej klasy, stanowiący zespół rzecznika dyscyplinarnego, ci, którzy mają dbać o czystość stanu sędziowskiego, zajmują się ustalaniem, czy pytania zadane przez sędziów unijnemu Trybunałowi Sprawiedliwości nie są zbyt podobne i czy w związku z tym nie dałoby się wytoczyć im dyscyplinarki. *O tempora, o mores!*

Choć działania obecnej władzy wobec sędziów należy uznać za niedopuszczalne, a niekiedy nawet sprzeczne z prawem, ustanowionym już przez PiS, trudno też aprobować decyzję sędziego Tulei. Jego pytanie do TSUE sprawiło bowiem, że proces trzech bandytów został zawieszony, z czego mogą oni tylko się cieszyć.

– Chodzi o niezwykle złożony proces dotyczący popełnienia szeregu ciężkich przestępstw, mający na celu zaspokojenie wieloletnich oczekiwań na sprawiedliwy wyrok. Za niezbędną uznać więc należy ustalenie, czy bezterminowe zatrzymanie biegu tego postępowania w wyniku działania sądu naruszającego prawo, stanowi przewinienie dyscyplinarne sędziego – uznał, tym razem nie bez racji, rzecznik dyscyplinarny Piotr Schab, choć oczywiście nie powinien przesądzać, że prawo zostało przez sąd naruszone.

Rzecznik dodaje, że pytania zadane trybunałowi przez sędziów Maciejewską i Tuleyę naruszają art. 267 traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej (mówiący wszakże, że sąd państwa członkowskiego może się zwrócić z pytaniem do TSUE). – Stanowisko, że skierowanie tych pytań było niedopuszczalne jako sprzeczne z art. 267, wyraziła Komisja Europejska – stwierdza Piotr Schab. W rzeczywistości jednak były to zaledwie uwagi zawarte w opinii sporządzonej przez dwoje pracowników KE, a nie oficjalne orzeczenie Komisji Europejskiej czy Trybunału Sprawiedliwości.

Obława musi trwać

Polowanie na sędziów to długofalowa działalność. Raz może się nie uda, ale trzeba próbować do skutku. Doświadczył tego Igor Tuleya, teraz



trwa osaczenie Sławomira Jęksy z Sądu Okręgowego w Poznaniu.

Trafiła do niego sprawa Joanny Jaśkowiak, żony nieulubianego przez PiS prezydenta Poznania. Na demonstracji przeciw zaostreniu prawa aborcyjnego powiedziała o swoim „wkurwieniu” tymi pomysłami. Ktoś doniósł na nią policji, która – jak wiadomo – wyraża się salonowo i nie znosi wulgaryzmów. Joanna Jaśkowiak została przesłuchana na okoliczność publicznego użycia słów nieprzystwoitych, sąd rejonowy wymierzył jej 1000 zł grzywny.

W latach 2001-2018 za korupcję skazano w Polsce sześciu sędziów.

Odwolała się, a w sądzie okręgowym sędzia Jęksa ją uniewinnił, stwierdzając w uzasadnieniu wyroku, że użyła słów wulgarnych, co jest oczywistym złem, ale większym złem jest to, co się dzieje w Polsce. Sędzia wspominał o łamaniu konstytucji, ograniczaniu wolności zgromadzeń, naruszaniu trójpodziału władzy. Według niego, jeśli zestawimy czyn obwinionej z czynami, na które stanowił reakcję, trzeba przyjąć, że jej słowa były pozbawione szkodliwości społecznej. „Raz się to zdarzyło, być może było potrzebne”, dodał.

Niedługo czekał na dyscyplinarkę z zarzutami uchybienia godności sędziowskiej i naruszenia apolityczności oraz etyki zawodowej. Uznano, że podważył zaufanie do swojej niezawisłości. Zaczęła się standardowa

procedura: wezwanie do złożenia wyjaśnień, analiza pracy sędziego.

Sprawę przekazano zastępczyni rzecznika dyscyplinarnego, ta nie dopatrywała się przewinienia, ale tak nie mogło to się skończyć. Rzecznik dyscyplinarny Piotr Schab oświadczył, że rażąca i celowa dezinformacja są opinie, iż kwestionuje on wyrok sędziego Jęksy. Dodał jednak: – Naruszeniem fundamentalnych zasad obowiązujących sędziego było publiczne wyrażenie aprobaty dla zachowania osoby obwinionej, mającego bezspornie cechy czynu zabronionego. Jako motyw swego postępowania sędzia wskazał własne poglądy polityczne, sprowadzające się do negacji działań organów państwowych. Jest to całkowicie

niedopuszczalna relatywizacja udzielania ochrony prawnej i jaskrawe zaprzeczenie podstawowych zasad pełnienia służby sędziowskiej.

Sprawę sędziego Jęksy przejął inny zastępca rzecznika, orzekając, że „wydanie postanowienia o odmowie wszczęcia postępowania dyscyplinarnego było prawnie niedopuszczalne”. Postępowanie trwa, a sędzia Jęksa szybko stanął w obliczu drugiej dyscyplinarki.

Poszło o to, że w wyjaśnieniu pisemnym dotyczącym uniewinnienia Joanny Jaśkowiak użył słów, które zdaniem zastępcy rzecznika dyscyplinarnego Michała Lasoty mogły zawierać treści aroganckie i pomawiające. Sędzia Jęksa napisał, że zastępca rzecznika oparł zarzuty na fragmenta-

Sędzia Dominik Czeszkiewicz z Suwałk ściągnął na siebie kłopoty, bo uniewinnił aktywistów KOD obwinionych o zakłócenie otwarcia wystawy poświęconej gen. Andersowi, z udziałem Mariusza Błaszczaka, Jarosława Zielińskiego i Anny M. Anders.

rycznych doniesieniach medialnych i nie zapoznał się z aktami sprawy. Dodał, że dziwi się, biorąc pod uwagę wymogi warsztatu pracy sędziego, iż zastępca rzecznika mógł w ogóle wszcząć to postępowanie.

Sędzia Jęksa ma więc złożyć kolejne wyjaśnienie. Natomiast Bartłomiej Przymusiński z lustitii poradził Michałowi Lasocie, by ten zajął się raczej jakością wydawanych przez siebie wyroków, które w 2017 r. były w 100% uchylane w wyższej instancji. Z pewnością nieuprawnione jest przypuszczenie, że właśnie dlatego w 2018 r. sędzia Lasota został powołany przez Zbigniewa Ziobrę na stanowisko zastępcy rzecznika dyscyplinarnego.

Bartłomiej Przymusiński wcześniej był już wzywany do składania wyjaśnień w związku z krytykowaniem w mediach sposobu wyłaniania sędziów Sądu Najwyższego. Zapewne czeka go kolejne wezwanie. Na razie Zbigniew Ziobro zlikwidował IX Wydział Gospodarczy w Sądzie Rejonowym Poznań Stare Miasto, którym kierował właśnie Przymusiński. Rzecznik lustitii będzie teraz szeregowym sędzią w innym wydziale, straci 1,6 tys. zł dodatku, za to dostanie więcej spraw do sądenia.

Upiekło się na razie Irenie Majcher, sędzi opolskiego sądu rejonowego. Prokuratura wystąpiła o uchylenie jej immunitetu, chcąc postawić zarzut z art. 231 kk (przekroczenie uprawnień lub niedopełnienie obowiązków). Przepięstwo sędzi miało polegać na dokonaniu odmiennej wykładni prawa niż prokurator (więcej nie wiadomo, sprawa jest tajna). Brzmi to kuriozalnie, gdyż właśnie sędzia, a nie prokurator powinien decydować o wykładni przepisów – trudno zatem uznać to za przekroczenie uprawnień. Sędzia Majcher ponad dziewięć lat temu zdelegalizowała jeden z oddziałów Obozu Narodowo-Radykalnego (to jedyna delegalizacja ONR po jego odtworzeniu w 1993 r.). Są więc opinie, że może to być próba zemsty po latach. Próba wszakże nieudana. ►

► Sędziowie opolskiego sądu przyjęli uchwałę wyrażającą zdecydowany sprzeciw w związku z działaniami organów ścigania wobec sędzi Majcher, uznając je za ingerencję prokuratury w orzecznictwo. Sąd apelacyjny odmówił zaś uchylenia immunitetu.

– Wielu z nas stara się walczyć o niezależność sądów i niezawisłość sędziów. To wartości, za które jesteśmy w stanie zapłacić wysoką cenę, chodzi jednak nie o to, by zapewniać, że sędziowie są heroiczni, lecz o to, by obywatel idący do sądu miał pewność, że sędzia wyda uczciwy wyrok. Zmiany następujące w sądownictwie kruszą gwarancje niezawisłości sędziowskiej, ale jestem przekonany, że większość sędziów do końca będzie wydawać wyroki w sposób niezawisły, zgodnie z konstytucją i obowiązującym prawem – mówi sędzia Tuleya.

Zakazane słowo na K

Działania zastępców rzeczników dyscyplinarnych zaczynają niekiedy nabierać znamion absurdu. Może dlatego sędzia Piotr Gąciarek, który notabene kandydował do Sądu Najwyższego, napisał donos dyscyplinarny na samego siebie, stwierdzając, że miał zajęcia z licealistami i kilkakrotnie użył słów na k. Mówił bowiem o konstytucji. Podobnie zrobił sędzia Piotr Jędrzejewski, który zawiadomił zastępcę rzecznika, że poprowadził z udziałem uczniów podstawówki symulację procesu Wilka za próbę zjedzenia Babci i Czerwonego Kapturka.

Nacisk absurdu bywa jednak nieznośny. Sędzia Jarosław Gwizdak startował w wyborach na radnego i prezydenta Katowic (radnym nie został, w wyborach prezydenckich był trzeci). Niedługo potem dostał od zastępcy rzecznika dyscyplinarnego wezwanie do złożenia wyjaśnień. Sędzia uznał, że ma dość – i zrezygnował z urzędu sędziowskiego, tłumacząc, że dziś sędziom nie pozwala się mówić o sądownictwie.

Sędzia Gwizdak też raczej nie miał przed sobą przyszłości. Gra amatorsko w zespole punkrockowym, jeździł w sądzie wózkiem inwalidzkim, by zwrócić uwagę na niedogodności dla niepełnosprawnych, zorganizował symulację rozprawy na jednym z festiwali młodzieżowych. Polska to nie jest dziś kraj dla takich sędziów.

Lista sędziów, do których władza ma różne pretensje, systematycznie rośnie. Agnieszka Pilarczyk uniewinniła lekarzy oskarżanych w sprawie śmierci ojca Zbigniewa Ziobry – prokuratura (nadzorowana przez Ziobrę) prowadzi postępowanie z powodu zaakceptowania przez nią zbyt drogiej opinii biegłych.

Kamil Jarocki zapytał TSUE, czy polski model odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów nie narusza ich niezawisłości – zastępca rzecznika wezwał go do złożenia wyjaśnień.

Krzysztof Markiewicz jako szef łustitii niejednokrotnie krytykował działania władzy wobec wymiaru sprawiedliwości – zastępca rzecznika chce go przesłuchać w związku z przekraczaniem granic swobody wypowiedzi publicznych.

Olimpia Barańska-Matuszek skrytykowała resort sprawiedliwości – skontrolowano trzy i pół roku jej pracy i postawiono zarzuty przekroczenia terminów napisania uzasadnień oraz popełnienia błędów proceduralnych.

Prof. Ewa Łętowska: Chodzi o „przykład grozy”, o działanie prewencyjne, odstraszające.

Czasami stosowane są działania niemające formalnie charakteru dyscyplinarnego, ale nader dotkliwe. Waldemar Żurek, rzecznik poprzedniej Krajowej Rady Sądownictwa, został przeniesiony z wydziału cywilno-odwoławczego do wydziału cywilnego, co faktycznie jest degradacją, a CBA skontrolowała jego oświadczenia majątkowe, trafiając na tajemnicze „wątpliwości natury skarbowej”. Natomiast prorządowe media „dotarły do informacji” o relacjach sędziego Żurka z byłą żoną.

Wymieniać można dłużej. Sędziowie krytyczni wobec władzy znaleźli się w zupełnie nowej sytuacji. Politycy nie zostawiają na nich suchej nitki. Premier Morawiecki stwierdził: „Nasz system sądowniczy trawi korupcja, jest on wypełniony sędziami, którzy mają na sumieniu różne występki popełniane w czasach komunizmu”.

Precyzując: w latach 2001-2018 za korupcję skazano w Polsce sześciu sędziów, a międzynarodowy Rule of Law Index uznaje, że wskaźnik odporności naszych sędziów na korupcję

wynosi 0,86 (ideał to 1) – czyli dużo więcej niż w przypadku władzy wykonawczej (0,68) reprezentowanej przez premiera Morawieckiego.

Najważniejsze jest to, że wprowadzone przez „dobrą zmianę” przepisy umożliwiły Zbigniewowi Ziobrze utworzenie ekipy nowych rzeczników dyscyplinarnych. Sędziowie mogą teraz być ścigani przez zdeterminowaną grupę, zależną praktycznie od jednego człowieka i bardzo dobrze wynagradzaną (sędziowie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego zarabiają o prawie 40% więcej od sędziów SN zajmujących się sprawami cywilnymi i karnymi). – Polski system dyscyplinarny jest patologiczny i budzi obawy Unii Europejskiej. Jedna osoba, minister sprawiedliwości i prokurator generalny, wyznacza sędziów orzekających w sprawach dyscyplinarnych, wyznacza oskarżycieli, wybiera w praktyce sędziów Izby Dyscyplinarnej. To się kłóci z pojęciem uczciwego sądownictwa dyscyplinarnego – mówi mecenas Michał Wawrykiewicz.

– Powstał pewien „ciąg technologiczny” z bardzo dużym wpływem elementu politycznego, w którym ilość przechodzi w jakość. Pojedyncze rozwiązania zbliżone do polskich zdarzają się w systemach prawnych innych państw. U nas jednak cały ten mechanizm złożony do kupy funkcjonuje w sposób, który na wyjściu produkuje ludzi wyselekcjonowanych, zależnych od czynnika politycznego – wskazuje prof. Ewa Łętowska, była rzecznik praw obywatelskich, sędzia w stanie spoczynku Naczelnego Sądu Administracyjnego i Trybunału Konstytucyjnego.

Ostatecznych kar dyscyplinarnych dla sędziów jeszcze nie ma, trwają obławy – i może tak właśnie ma być, zgodnie z zasadą, że nie o to chodzi, by złapać króliczka, ale by gonić go. Wiadomo, że każdy sędzia czy prokurator, który jakoś podpadnie, staje się obiektem zainteresowania rzeczników dyscyplinarnych. Powinien więc nabrać przekonania, że reakcja władzy będzie nieuchronna.

– To jest po to, żeby dać „przykład grozy”, chodzi o działanie prewencyjne, odstraszające – dodaje prof. Ewa Łętowska.

Dobrze, gdyby sędziowie nie dali się zastraszyć, ale dziś raczej trudno o optymizm.

Andrzej Dryszel

BEZ TEJ DYREKTYWY NIE MAMY SZANS

26 marca Parlament Europejski przegłosował dyrektywę o prawach autorskich w internecie. Dla amerykańskich gigantów oznaczać to będzie obowiązek liczenia się z twórcami

BOGUSŁAW CHRABOTA

– prezes Izby Wydawców Prasy, dziennikarz, wykładowca dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim, od 2013 r. redaktor naczelny „Rzeczpospolitej”



Rozmawia Katarzyna Wierzbicka

Parlament Europejski przegłosował dyrektywę o prawach autorskich. W internecie i mediach społecznościowych natychmiast pojawiły się głosy sprzeciwu. Niektórzy nową dyrektywę nazywają cenzurą, zamachem na wolność internetu czy ACTA 2. Jak to w końcu jest?

– W dyrektywie chodzi o to, żeby wzmocnić prawa autorskie twórców i wydawców, a wszystkie hasła o cenzurze i ACTA 2 są zwyczajnie bzdurną manipulacją. I bardzo wdzięcznym elementem gry politycznej – slogan o uświęconej „wolności internetu” jest bardzo nośny i niektórzy politycy chętnie z niego korzystają. Zwłaszcza że poza ową „wolnością internetu” nie mają żadnej innej oferty dla najmłodszych wyborców. Inną sprawą jest to, że większość naszych polityków nie ma tyle czasu ani narzędzi intelektualnych, by rzeczywiście ze zrozu-

mieniem wgłębić się w ten przepis i w to, co z niego wynika. W ten sposób powstają chwytliwe postulaty o „wolności internetu” albo zapobieganiu rzekomemu zamachowi na nią.

Dyrektywa zmienia tak naprawdę dwie rzeczy. Po pierwsze, największe internetowe koncerty – takie jak Google czy YouTube – będą zmuszone płacić twórcom za umieszczanie na portalach tekstów

wątpliwości – niektóre treści mogą bowiem być niesłusznie wstrzymywane, bo program służący do ich weryfikacji nie odróżni np. pastiszu, karykatury czy aluzji od rzeczywistego wykorzystania czyjejś własności intelektualnej. Właśnie takie czasowe wstrzymywanie treści niektórzy okrzyknęli mianem cenzury. Tylko że problem jest tu czysto techniczny – chodzi wyłącznie o stworzenie takiej technologii, która będzie

Polacy przyzwyczaili się, że to, co w internecie, jest za darmo, i dziwią się, że trzeba za coś zapłacić.

autorskich. Po drugie, to na portale spadnie odpowiedzialność za naruszanie praw autorskich. Do tej pory był nią obarczony internauta. Oznaczać to będzie, że największe portale internetowe będą musiały sprawdzać umieszczane na nich treści pod kątem naruszania praw autorskich. I to budzi największe

prawidłowo odróżniała piractwo od tego, co nim nie jest. Sztuczna inteligencja rozwija się cały czas, więc ta trudność wkrótce zniknie, a dyrektywa jest na dziesięciolecia.

Ale, jak mówią niektórzy, prawa autorskie są już chronione. Na przykład nie można kogoś cytować bez podania źródła.

Za przyjęciem dyrektywy o prawach autorskich w internecie głosowało 438 europosłów, przeciw – 226, a 39 wstrzymało się od głosu. Na zmianach szczególnie zależało środowisku twórców i wydawców – dowodem tego był apel opublikowany przez najważniejsze polskie dzienniki 23 marca: „Apelujemy do polskich europarlamentarzystów o solidne poparcie w głosowaniu dyrektywy o prawach autorskich na jednolitym rynku cyfrowym. Apelujemy, by poprzez rozwiązania, które pomogą wprowadzić (...) nowe, sprawiedliwsze zasady korzystania przez gigantów internetowych z tworzonych przez polskich pisarzy, filmowców, muzyków i dziennikarzy treści. Dzisiejsze rozwiązania brutalnie uderzają w polską kulturę. Twórcy nie otrzymują dostatecznej kompensaty za rozpowszechnianie ich dzieł w internecie. Często żyją w prawdziwym niedostatku albo odchodzą z zawodu”.

Główna wynikająca z dyrektywy zmiana to przeniesienie odpowiedzialności za naruszanie praw autorskich z internautów na portale wykorzystujące w sposób komercyjny treści, których nie tworzą. W praktyce oznaczać to będzie obowiązek zawierania umowy licencyjnej między największymi portalami, takimi jak Google, YouTube czy Facebook, a autorami i producentami treści przez nie wykorzystywanych.

Ponadto największe koncerny internetowe zobowiązane będą kontrolować zamieszczane na swoich stronach materiały pod kątem naruszenia praw autorskich – w tym celu mają korzystać z algorytmów pozwalających na rozpoznanie złamania praw. To budzi najwięcej kontrowersji – niektórzy obawiają się, że algorytm będzie „na wszelki wypadek” blokował więcej treści, niż jest to konieczne. Jednak, jak

zwraca uwagę „Gazeta Prawna.pl”, „ewentualne monitorowanie i usuwanie treści nie może odbywać się kosztem tych legalnie w serwisach udostępnionych. Mowa choćby o satyrze czy karykaturze, dobrze znanych internautom jako tzw. memy”. Ponadto państwa zobligowane będą do opracowania sprawnych mechanizmów składania skarg przez użytkowników, których treści niesłusznie zablokowano.

Co istotne, wprowadzone przez dyrektywę zmiany nie uderzą w mniejsze portale. Z dyrektywy wyłączone są również podmioty wykorzystujące treści autorskie w sposób prywatny lub niekomercyjny.



► – Teoretycznie tak, ale w zderzeniu z takim gigantem jak Google, który masowo te źródła wykorzystuje, twórca chcący chronić swoje prawa autorskie nie ma szans. Nie dysponuje takimi zasobami finansowymi, żeby wygrać w sądzie. Zdany jest na łaskę i niełaskę platformy. Ale liczy się też co innego. Zakłada-

jąc, że rzeczywistość wirtualna jest pewnego rodzaju przedłużeniem rzeczywistości pozawirtualnej, nie mamy żadnego powodu, żeby internetu nie obłożyć takimi samymi regulacjami, jakie obowiązują w świecie analogowym. Jeśli chronimy prawa obywateli na różnych płaszczyznach życia – w rodzinie, szkole, pracy, przestrzeni publicznej itd. – to dlaczego internet ma być z tych regulacji wyłączony?

– Ta dyrektywa to dla polskiej prasy być albo nie być – bez niej nie przetrwamy. W latach 90. sprzedawaliśmy 300 tys. egzemplarzy gazety, dziś sprzedajemy 40 tys. Dzieje się tak, bo znakomita większość naszych tekstów jest publikowana w internecie. Nakłady papierowe co roku spadają o 5-15%. I chodzi tu nie tylko o „Rzeczpospolitą”, ale o całą prasę światową. Nie ma szans, żebyśmy utrzymali się z papieru. Jeśli

Z żalem pożegnaliśmy

Jacka Owczarskiego

człowieka lewicy, współautora pierwszego tomu „Zakłamaniej historii powstania”

Rodzinie i bliskim
składamy wyrazy współczucia

Jerzy Domański i Paweł Dybicz

Wszystkie hasła o cenzurze i ACTA 2 są bzdurną manipulacją.

Dzień przed głosowaniem w PE największe dzienniki w Polsce – wśród nich „Rzeczpospolita” – zamieściły na swoich stronach apel do eurodeputowanych o głosowanie za dyrektywą, zostawiając pierwszą stronę gazety pustą. Akcja nosiła nazwę „Puste jedynki”. Czy jedna dyrektywa naprawdę warta była aż takiej akcji?

nie będziemy mieć zapłaty za to, co publikujemy w internecie – znikniemy. Twórcy nie będą dostawać odpowiednich wynagrodzeń i zaczną odchodzić z zawodu. Zresztą już odchodzą.

Poza tym tu nie chodzi o parę złotych. Według szacunków ekspertów z Izby Wydawców Prasy kwota, którą od wdrożenia dyrektywy zarabiać będą

dzie rynek prasowy z tantiem, może sięgnąć 50-60 mln zł rocznie. Jeśli podzielić to po równo między wydawców i dziennikarzy, dla tych drugich wychodzi 25-30 mln zł czystej gotówki. Oznacza to realny wzrost wynagrodzeń za wyprodukowanie tekstu. A mowa o samym rynku prasowym.

Ta dyrektywa to dla polskiej prasy być albo nie być – bez niej nie przetrwamy.

W jaki inny sposób ta dyrektywa wpłynie na relację twórca-portal-użytkownik? Chodzi tylko o nakłonienie internetowych gigantów do wykupywania licencji, a odbiorców – do płacenia za treści?

– Chodzi o to, żeby ucywilizować relacje łączące producenta treści, portal je wykorzystujący i odbiorcę w taki sposób, w jaki są one regulowane poza internetem. Przykładem może być twórczość muzyczna: w tej chwili, żeby zaistnieć na rynku, początkujący zespół musi wydać album. Jeśli to niemożliwe, zespół może wrzucić swoje piosenki na YouTube (portal internetowy o zawartości audiowizualnej – przyp. KW) i liczyć na to, że – jeśli uzbiera wystarczającą liczbę kliknięć – dostanie od portalu jakieś grosze. YouTube premiuje i wynagradza tylko największych i najsłynniejszych artystów. Mali nie mają szans. Po wdrożeniu dyrektywy znaczną część premier muzycznych będzie można przenieść do internetu. Wytwórnia i portal dogadują się między sobą co do licencji i całej procedury związanej z wydaniem albumu, a muzyk przestaje być petentem, który „coś dostanie, jeśli”.

Niezależnie jednak od poprawy sytuacji twórców i wydawców najgorzej będą mieli odbiorcy – bo to oni będą płacić za treści, które do tej pory były dostępne za darmo.

– Niekoniecznie. Po pierwsze, myślę, że Google czy YouTube nie zmieniają modelu biznesowego, nadal będą się finansować z reklam. Po wtóre, płacenie przez nich twórcom zagwarantuje, że twórcy – czyli np. my – przetrwają. Inaczej twórcy znikną, przestaną tworzyć, a odbiorca nie będzie już miał czego czytać, słuchać czy oglądać. I jeszcze jedno: lepsze traktowanie producentów i autorów

treści dostępnych w internecie przełoży się na jakość tych treści.

Poza tym niezwykle ważną zmianą jest przeniesienie odpowiedzialności za naruszenie praw autorskich z internautów na portal. To akurat wyrażnie leży w interesie tych pierwszych. Warto przy tym zaznaczyć, że chodzi tu naprawdę o największe koncerty

internetowe – z nowych przepisów wyłączone są bowiem strony, które mają np. obrót roczny mniejszy niż 10 mln euro i mniej niż 5 mln użytkowników tygodniowo. To ważne, bo oznacza, że nowe przepisy uderzą w gigantów, którzy do tej pory byli nie do skruszenia.

Skoro dyrektywa ma tyle zalet, skąd te wszystkie protesty?

– Polacy przyzwyczaili się, że to, co w internecie, jest za darmo, i dziwią się, gdy trzeba za coś zapłacić.

Slogan o „wolności internetu” jest bardzo nośny i niektórzy politycy chętnie z niego korzystają.

Zapomina się, że muzyka, artykuły czy książki są takim samym przedmiotem konsumpcji jak wszystkie inne dobra. A ich wytworzenie nie jest bezkosztowe – wiąże się przecież z jakimś czasem, pracą i innymi zasobami. Jeśli płaci się za fizyczną

płytę, książkę czy gazetę, nie ma powodu, żeby nie płacić za nie w internecie. Mam wrażenie, że dla Niemca czy Francuza jest bardziej oczywiste, że za określone dobro trzeba zapłacić. Być może za długo wmawiano nam, że edukacja, kultura czy sztuka nic nie kosztują.

Czy ta dyrektywa wystarczy, żeby prawa twórców rzeczywiście zaczęły być traktowane z pełną powagą?

– Oczywiście nie wystarczy. Potrzebna nam praktyka. Na razie dyrektywa została przegłosowana, jednak zanim zostanie wdrożona w poszczególnych państwach członkowskich, minie trochę czasu. A na pierwsze efekty trzeba będzie pewnie czekać pięć-sześć lat. To dzięki praktyce okazuje się, co jeszcze trzeba dopracować, co działa bardzo dobrze, a co nie działa wcale. Poza tym praktyka pełni funkcję edukacyjną – stosowa-

wanie przepisów sprawia, że zaczynamy je traktować jako pożądaną normę. Miejmy nadzieję, że również ten przepis pomoże Polakom w odzwyczajeniu się od niektórych przekonań.

Katarzyna Wierzbicka

RAFAŁ
MOKRZYCKI
FORTEPIAN

29 MARCA
PREMIERA

PLYTY

**MAGICAL
CHOPIN**

DUX
Recording Producers

Mecenasy płyty: HAM CONSULTING

Patroni medialni: Presto H1 LongPlay Pregled

Ewa Smolińska-Borecka

O tym mieście mówiło się, że jest bastionem Prawa i Sprawiedliwości. Przez trzy kadencje właśnie ta partia rządziła w Ostrołęce. Wydawało się, że ten układ się nie zmieni. Sami mieszkańcy byli zaskoczeni, że po ostatnich wyborach samorządowych PiS zostało odsunięte od władzy. Większość w radzie miasta zdobyły trzy komitety bezpartyjne połączone koalicją programową, a prezydentem został Łukasz Kulik, który reprezentuje jeden z nich. Zaczęło się wielkie wietrzenie miasta, a przeciąg powstał taki, że wielu umocowanych w lokalnych układach już wywiało. Minęło 100 dni prezydenta. Ostrołęka obejrzała „Kler”, którego nie chciał wpuścić do kina poprzedni prezydent, i bawiła się w sylwestrową noc na stadionie. Ale co poza tym?

Gdyby wykonawca dotrzymał terminu zakończenia budowy, ustalonego pierwotnie na czerwiec ub.r., to klucz do pierwszego w kraju Muzeum Żołnierzy Wyklętych otrzymałby od budowlanców poprzedni prezydent miasta. A faktyczne otwarcie muzeum nastąpiłoby 11 listopada ub.r. Ale budowlancy się nie wyrobili. Muzeum było pierwszym bólem głowy nowego prezydenta. Czy mu się podobała idea jego powołania, czy nie, jako prezydent musiał walczyć o to, by mogło powstać. Miastu groziło bowiem, że będzie musiało zwrócić 25 mln zł dotacji, które otrzymało od Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Dla niezamożnej Ostrołęki byłaby to katastrofa.

800 TYS. DO ODDANIA

Ostrołękę od lat rozjeżdżały tiry jadące na wschód. To głównie one zniszczyły stary most na drodze krajowej nr 61. Zamknięto go, by poddać gruntownemu remontowi, który wciąż trwa. Postawiono most tymczasowy, ale i jemu tiry dały się we znaki, więc asfaltową nawierzchnię trzeba było wymienić. Najwięcej zyskała na tym miejscowa spółka z o.o. Ostrada, która wygrała przetarg na remont. Dziwnym trafem ta właśnie spółka wygrywała najważniejsze przetargi na inwestycje ogłaszane przez urząd miasta, kiedy Ostrołęką rządził prezydent Janusz Kotowski z PiS, a rada

OSTROŁĘKA NIE TONIE

Przez 12 lat pierwszy sort zarabiał krocie i miał się dobrze, ale to się skończyło



Prezydent Ostrołęki Łukasz Kulik (drugi od prawej) w Muzeum Kultury Kurpiowskiej.

miasta była zdominowana przez radnych z tej formacji.

Złośliwi wskazywali, że prezes spółki i prezydent miasta są kolegami z tej samej partii. Ostatnio jedną z miejskich inwestycji dofinansowaną z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego, a wykonywaną w ubiegłym roku właśnie przez Ostradę, skontrolowała Mazowiecka Jednostka Wdrażania Programów Unijnych. Kontrola wykazała nieprawidłowości w wykorzystaniu środków unijnych. Miasto będzie musiało zwrócić ponad 846 tys. zł dotacji.

Nie wiadomo, jakie jeszcze nieprawidłowości wyjdą w czasie kontroli poczynąń byłego prezydenta. Bo to za jego sprawą Ostrołęka była uważana za miasto dziwo albo synonim obciachu. Kotowski zabronił wyświetlania filmu „Kler” w miejscowym kinie, a na inauguracji programu „Za życiem”, nad którym miała pieczę jego żona, dzieci szkolne wtoczyły się na scenę przebrane za płody.

WYMUSZONE MUZEUM

100 dni nowego prezydenta to okazja, by odwiedzić teraz Ostrołękę. Drugi powód to zakończenie prac

w Muzeum Żołnierzy Wyklętych, budzącym skrajne emocje.

Ostrołęka rozrosła się na lewym brzegu Narwi. Muszę przejechać przez jeden z dwóch mostów. Między rondem mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” a rondem Księcia Siemowita III (cóż za rozrzut historyczny!) korek ciągnie się na jakieś 1,2 km. Tak jest rano w każdy zwykły dzień. Za rok,

Ostrołęka obejrzała „Kler”, którego nie chciał wpuścić do kina poprzedni prezydent.

a może kilka lat, między „Łupaszka” a Siemowitem III na prawym brzegu Narwi będą się rozciągać park i promenada. Powstaną też tężnie solankowe. To jedna z obietnic prezydenta.

Kładka nad ulicą Traugutta jest jednym z elementów Muzeum Żołnierzy Wyklętych. Choć samo muzeum jest zakończone, ona wciąż wymaga prac wykończeniowych, więc jest nieczynna. A dyrekcja muzeum nadal mieści się... w miejskim żłobku. Dyrektor Jacek Karczewski nie jest pewien, czy będzie ze mną rozmawiał, bo jestem z PRZEGŁADU. – Znam teksty wasze-

go tygodnika i wasze podejście do muzeum – mówi. Po namyśle decyduje, że on też będzie nagrywał naszą rozmowę.

Jak to się zaczęło? – Inicjatorami stworzenia tego muzeum byli m.in. pan poseł Arkadiusz Czartoryski i były prezydent miasta Janusz Kotowski – wspomina Karczewski. – 28 lutego 2013 r. Rada Miasta Ostrołęki podjęła uchwałę o powołaniu pierwszego w kraju muzeum poświęconego podziemi antykomunistycznemu – żołnierzom niezłomnym. Miało to związek z możliwością przejścia byłego aresztu śledczego w Ostrołęce.

Ówczesne władze miasta wystąpiły do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego o dofinansowanie budowy. Dostały odpowiedź, że nie ma zapotrzebowania na takie muzeum. Władze postanowiły sfinansować je z budżetu miasta. Ale kiedy zmieniła się partia rządząca, przypomniały się ministerstwu.

– Muzeum mogło powstać m.in. dzięki wsparciu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego – mówi Karczewski. – Stosowne umowy zostały podpisane w marcu 2016 r. Ministerstwo przyznało nam pełnię środków na realizację tej inwestycji, czyli 35 mln zł. Przebudowa i rozbudowa byłego obiektu na cele muzealne została zakończona. W najbliższych tygodniach zostanie zakończona całość inwestycji, a my przystąpimy do stworzenia ekspozycji stałej.

Pieniądze miały być wykorzystane do 31 grudnia 2018 r. Ze względu na poślizgi w budowie wiadomo było, że w terminie nie zostaną wydane. Ustupająca rada miasta na ostatniej sesji podjęła uchwałę, że należy muzeum przekazać „właściwemu ministrowi”, czyli MKiDN lub MON, by uwolnić miasto od utrzymania placówki. Pod koniec listopada ub.r. dyrektor Karczewski alarmował, że może ona upaść, bo od 1 stycznia 2019 r. nie będzie miała pieniędzy na funkcjonowanie. I w projekcie budżetu miasta, przegłosowanym w ostatni dzień roku, rada przewidziała dotację dla muzeum w wysokości 335 tys. zł, ponad 30 tys. więcej niż kosztuje funkcjonowanie Dziennego Domu Pobytu dla Seniorów. Zanim jednak to głosowanie nastąpiło, prezydent Łukasz Kulik na początku grudnia spotkał się z kierownictwem MKiDN. Ministerstwo nie było zain-

teresowane przejęciem muzeum. Ale zobowiązało się, że z obiecanej pierwotną umową z 2016 r. kwoty 35 mln zł, a wykorzystanej przez muzeum w wysokości ok. 25 mln zł, przekaże w 2019 r. 3,5 mln zł. Zapewniło też, że istnieje możliwość przyznania kolejnych ponad 6,34 mln zł na stworzenie wystawy stałej.

„Istnieje możliwość” to kluczowe słowo. Bo można się domyślać, że pieniądze się nie pojawiają, jeśli miasto zacznie „fikać”. Wówczas będzie miało kompleks budynków muzealnych, ale bez ekspozycji stałej, bo koszt jej przygotowania byłby niemal równy

– Owszem, służba zdrowia czy edukacja są bardzo ważne dla miejscowej społeczności, ale potrzeby jakiegokolwiek społeczeństwa nie ograniczają się tylko do spraw przyziemnych, są większe – twierdzi. – Myślę zresztą, że z tą edukacją i służbą zdrowia nie jest aż tak źle. Cieszę się, że udało się do tego miasta ściągnąć pieniądze na taką inwestycję jak muzeum. A wydatki na utrzymanie muzeum? 335 tys. rocznie, czyli ok. 28 tys. zł miesięcznie na opłacenie ludzi, którzy mają pasję, mogą się realizować w jakiś sposób – czy to jest dużo?



Swój pomnik ma w Ostrołęce gen. Józef Bem.

60% kwoty wydanej na prace budowlane (!). A jeśli nie będzie to wystawa profesjonalnie wykonana, ministerstwo może odebrać miastu dotację. Czyli Ostrołęka musiałaby oddać 25 mln zł.

DYREKTOR OD SPRAW WYŻSZYCH

Dyrektor Karczewski jest dumny z zakończenia prac budowlanych przy muzeum. Co jednak sądzą o tym mieszkańcy? Na portalach internetowych wypowiadają się i za, i przeciw. Przeciwnicy uważają, że ważniejsze jest rozwiązywanie miejskich problemów, które dotyczą i szkolnictwa, i służby zdrowia, i infrastruktury, i powietrza... Kiedy po spotkaniu z dyrektorem wyruszę na rekonesans po mieście, będą mi mówić, że muzeum nie jest najważniejszą dla miasta inwestycją. Dyrektor Karczewski jest innego zdania.

Dyrektor rozpiął przetarg na wykonanie wystawy stałej. Zgłosiła się jedna firma. Muzeum proponowało 7 mln zł, firma wyceniła prace na 17 mln. – Będzie ogłoszony kolejny przetarg, bo kwota, która wpłynęła w pierwszym przetargu, przekracza nasze możliwości – informuje Karczewski. – Jesteśmy w trakcie przeglądu dokumentacji, szukamy oszczędności w kosztorysie, żeby ogłosić kolejny przetarg na ok. 10 mln zł.

ZŁAP FUNDUSZE EUROPEJSKIE

– Od początku byłem sceptykiem, jeśli chodzi o powołanie w Ostrołęce Muzeum Żołnierzy Wyklętych – mówi Paweł Niewiadomski, radny z komitetu Nasza Ostrołęka. – Chodziło mi nie o kwestie czysto ideologiczne albo historyczne, ale raczej o funkcjonowanie w przyszłości tego muzeum. Każdy z mieszkańców odwiedzi je ▶

► może raz albo dwa, będą wycieczki ze szkół. Ale wydaje mi się, że jakichś większych wycieczek spoza Ostrołęki nie będziemy mieli, bo w Warszawie też powstaje taka placówka. Stworzenie takiego muzeum i przekazywanie niemałych pieniędzy na jego funkcjonowanie mija się z celem. Mieszkańcy woleliby, by te pieniądze szły np. na poprawę infrastruktury, która ułatwiłaby życie w mieście. Mówią, że życiorysy niektórych „wyklętych” nie były kryształowe. Ale tego powinna dotyczyć dyskusja między historykami, a nie między samorządowcami.

Paweł Niewiadomski jest po raz pierwszy radnym Ostrołęki, choć startował już w poprzednich

Popielarz martwi się, że prezydent za mało aktywnie walczy o „resztówki” z funduszy. Nie złożył wniosku na elektromobilność, a nabór trwał do końca stycznia br. – Dla nas najważniejszą rzeczą jest rozwój miasta i jakość życia mieszkańców. Dostrzegamy braki związane z inwestycjami, z infrastrukturą. Remonty dróg, rozpoczęte w ubiegłym roku, z niewiadomych powodów nie są przez wykonawców kontynuowane. Być może trzeba z nimi rozwiązać umowy?

Za nietrafną obietnicę prezydenta Popielarz uważa likwidację płatnego parkowania w mieście, bo w konsekwencji do miejskiej kasy wpłynie mniej pieniędzy. – Nie wiem, jak bym

– Moim zdaniem jedno z naszych najważniejszych zadań to otwarcie miasta na młodych – twierdzi. – Młodzi po ukończeniu szkoły średniej wyjeżdża z Ostrołęki i tu nie wraca. To bardzo duży problem. Trwają prace nad powołaniem Młodzieżowej Rady Miasta. Mielismy już spotkania z młodymi ludźmi. Zgłoszono dużo ciekawych pomysłów i projektów.

Niewiadomskiemu marzy się, by powstała młodzieżowa karta miejska, która umożliwi korzystanie z różnego rodzaju ulg i zniżek. – To jeden z naszych sztandarowych projektów – twierdzi. – Ale nasza programowa koalicja prezydencka ma jeszcze inne działania prospołeczne. Na przykład chcemy powołać do życia drugi dzienny dom seniora. Odsetek ludzi w wieku poprodukcyjnym w Ostrołęce co roku rośnie o 2,5%. Mamy też

Mieszkańcy woleliby, by pieniądze zamiast na Muzeum Żołnierzy Wyklętych szły na poprawę infrastruktury.

wyborach. Ludzie z KWW Nasza Ostrołęka zdobyli w sumie pięć mandatów na 23. Osiem mandatów dostało PiS. Ale Nasza Ostrołęka zawarła programową umowę koalicyjną z dwoma innymi bezpartyjnymi komitetami: Ostrołęka dla Wszystkich, z którego startował prezydent Łukasz Kulik, i Bezpartyjne Miasto. W sumie mają 12 radnych. Koalicja Obywatelska, która ma trójkę radnych, do nich nie przystąpiła. Jak mówi przewodniczący tego klubu Mariusz Popielarz, nie chcieliby utożsamiać się ze wszystkimi decyzjami podejmowanymi przez prezydenta Kulika, bo wobec jego niektórych obietnic wyborczych są sceptyczni.

– Największy problem, który stoi przed prezydentem, jest taki, że nie ma funduszy europejskich – mówi Mariusz Popielarz. – Wykorzystanie regionalnego programu operacyjnego województwa mazowieckiego wynosi 87%. Wprawdzie pozostało 13%, ale tylko na niewielką część zostaną ogłoszone nabory, bo reszta zostanie rozdysponowana na dofinansowanie projektów już złożonych i ocenionych. Dlatego władze są w trudnej sytuacji, bo oczekiwania społeczne dotyczące inwestycji są bardzo duże, a do 2020 r. na fundusze europejskie nie bardzo można liczyć. Druga rzecz – pozostaje pozyskiwanie funduszy europejskich od rządu. Jednak przy nie najlepszych relacjach prezydenta z władzami państwowymi to może nie być łatwe.



Muzeum Żołnierzy Wyklętych będzie kosztować w Ostrołęce 335 tys. zł rocznie.

się zachował, gdyby stanął projekt uchwały w sprawie bezpłatnego parkowania – zastanawia się radny. – Podejrzewam, że prezydent by się ucieszył, gdyby rada mu takiego projektu nie przyjęła.

MŁODZI UCIEKAJĄ, STARZY ZOSTAJĄ

Popielarz i Niewiadomski są w Komisji Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Promocji (będą się zajmować m.in. muzeum). Tylko jeden radny PiS interesuje się tym obszarem. Niewiadomski, prawnik z wykształcenia, wszedł także do Komisji Prawa i Współpracy z Samorządami Mieszkańców. Jako 32-latek jest najmłodszym radnym w tej kadencji i może trochę z tego powodu najbliższe są mu problemy ludzi młodych.

pomysł, by powstało centrum międzypokoleniowe, gdzie ludzie młodzi i seniorzy będą mogli wspólnie podejmować działania aktywizacyjne. Ważne jest również – i na tym się skupiam oprócz Młodzieżowej Rady Miasta – powołanie centrum organizacji pozarządowych. Rozwój takich organizacji niewątpliwie ożywiłby Ostrołękę. To jest senne miasto, jak się wyjdzie po godz. 17-18, panuje cisza, nic się nie dzieje. Tak jakby wszyscy poumierali.

Po rozmowie z Niewiadomskim idę ulicą w pobliżu dworca autobusowego. Widzę mocno nadgryziony zębem czasu budynek przypominający halę. Zagaduję o niego nastolatka. I oto nieoczekiwanie następuje przedłużenie rozmowy z radnym. Zatrzymany młody człowiek to Bartosz Śnieciński. Właśnie on złożył w internecie pety-

cję dotyczącą Młodzieżowej Rady Miasta i teraz bierze udział w jej formowaniu. Wierzy, że taka rada może wiele zmienić na korzyść miejscowej młodzieży, która z Ostrołęką wiąże swoją przyszłość. Jak on.

PREZYDENCKIE MŁYNY MIELĄ POWOLI

Prezydent decyduje się na spotkanie. – Przyjadę po panią. Gdzie pani jest? – pyta. Otwiera drzwi samochodu. Nie ma kierowcy ani służbowego auta, na razie jeździ swoim. Niebawem dostanie samochód w spadku po prezesie którejś ze spółek miejskich, bo okazało się, że jeździli znacznie lepszymi autami niż poprzedni prezydent. I znacznie więcej od niego zarabiali. Porządkowanie miasta Łukasz Kulik zaczął m.in. od obniżki ich

zmieniło. Poza filmem „Kler” i sylwestrem na stadionie jest zmiana rozkładów jazdy autobusów miejskich, które są w Ostrołęce bezpłatne. To Ostrołęka dla Wszystkich, czyli jego komitet, postulowała cztery lata temu zniesienie odpłatności za przejazdy autobusowe. Poprzedni prezydent podchwycił wniosek, ale żeby oszczędzić pieniądze, ograniczył liczbę kursów. Teraz znów są szczęście. Co jeszcze udało się zrobić? Zakończone zostały audyty zlecone przez miasto oraz dwie rutynowe kontrole zorganizowane przez jednostki nadrzędne. Sprawdzono m.in. politykę kadrową, zamówienia, pozyskiwanie funduszy zewnętrznych. Wyszły na jaw nieprawdowości.

Łukasz Kulik uważa, że zwykle nowy prezes czy prezydent od razu chce wszystko zmieniać. On czekał

zadowolony z kandydatów, spodziewał się osób o wyższych kwalifikacjach, więc konkursy unieważniono. Będą następne. Z tego samego powodu są wakaty na stanowiskach dyrektorów kilku wydziałów w urzędzie miasta, choćby kluczowego Wydziału Inwestycji – to m.in. zarzucają Kulikowi radni z Koalicji Obywatelskiej.

Prezydent, jakby usprawiedliwiając się, mówi, że to nie on zwolnił wielu dyrektorów, ale często to oni rezygnowali z pracy. Dyrektor i wicedyrektor Wydziału Inwestycji oraz Wydziału Działalności Gospodarczej podziękowali za współpracę. Dyrektor Wydziału Zamówień Publicznych wygrała konkurs w sąsiedniej gminie i poprosiła o zgodę na odejście. Ostatnio odeszli dyrektorzy Wydziału Promocji i Wydziału Informatyki. Prezydent zdaje sobie sprawę, że musi jak najszybciej znaleźć odpowiednie osoby na te wakaty. ma jeszcze dodatkowy kłopot – 27 osób z urzędu wkrótce przejdzie na emeryturę. To główni specjaliści albo dyrektorzy wydziałów. A zanim odejdą, powinni przekazać następcom swoje doświadczenie.

BEZ FAJERWERKÓW

Zmierzcha. Jeden po drugim zamykają się sklepy. W oknach prezydenckiego gabinetu „pod wieżą” już nie pali się światło. Z placu dworca autobusowego zniknęli ostatni uczniowie, którzy powrócili do sąsiednich gmin. Na ulicach pojedyncze grupki młodych ludzi. Stoją, śmieją się, rozmawiają. Wbrew temu, co mówił radny Niewiadomski, miasto nie wygląda jak wymarłe. Choć faktycznie nie ma zbyt wielu miejsc, gdzie można o tej porze spędzić czas.



Park Wodny powstał za kadencji poprzednich władz miasta.

pensji. Zresztą swojej także. Podobnie stało się z pensjami innych wysokich urzędników w urzędzie miasta.

Kulik mówi, że stara się stopniowo porządkować wszystkie sprawy. Kiedyś każda trafiała do prezydenta i on decydował. Jednak firmą, w której pracuje 250 osób, nie da się kierować jednoosobowo – jeśli ktoś jest dyrektorem, podejmuje decyzje i ponosi odpowiedzialność, a prezydent tylko kontroluje. Poza tym przeprowadził się z reprezentacyjnego gabinetu na pierwszym piętrze do znacznie skromniejszego na drugim. Urzędnicy tracą mniej czasu na przychodzenie do niego i sprawy załatwia się szybciej. On przyszedł z małego biznesu rodzinnego i wie, co jest ważne – szybkość i decyzyjność.

Jest prezydentem już ponad 100 dni, ale w mieście niewiele się

trzy miesiące. Interweniował, tylko gdy coś się wydarzało. Dlatego musiał odejść prezes Miejskiego Zakładu Komunikacji. Prezesów pozostałych czterech spółek miejskich też już nie ma. Agencję Rozwoju

Przejazdy autobusami miejskimi w Ostrołęce są bezpłatne.

Regionalnego prezydent od razu postawił w stan likwidacji, bo miała się zajmować pisanie projektów unijnych, a głównie prowadziła sklep z dywanami. Prezes odszedł na emeryturę. Na stanowiska prezesów Ostrołęckiego Przedsiębiorstwa Komunalnego, Ostrołęckiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji i Ostrołęckiego Towarzystwa Budownictwa Społecznego zostały rozpisane konkursy. Ale prezydent nie był

Ale parking przed Parkiem Wodnym na osiedlu Dzieci Polskich szczególnie wypełniony samochodami. Piękny obiekt, pozostałość po byłym prezydencie. W basenach dzieci i dorośli, uczniowie i seniorzy. Jedni powoli wychodzą z wody, drudzy wbiegają na basen, bo zbliża się godz. 20.30 i to ostatni moment, by wejść. Ostrołęka pływa. Już nie tonie.

Ewa Smolińska-Borecka

SPYCHANIE SŁABSZYCH NA DNO

Reformę minister Kudryckiej i ministra Gowina tworzyły w zasadzie te same osoby. To spowodowało pogłębienie dawnych błędów

Rozmawia Małgorzata
Szczepańska-Piszcz

PROF. KRZYSZTOF MIKULSKI

– historyk, prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego

Czym był Nadzwyczajny Kongres Humanistyki Polskiej, którego był pan współorganizatorem? Krzykiem rozpaczy?

– Może tak drastycznie bym tego nie nazwał. Ale z całą pewnością była to reakcja na zupełny brak odpowiedzi ministerstwa przygotowującego reformę szkolnictwa wyższego na liczne postulaty zgłaszane przez środowiska humanistyczne z całej Polski. Traktowane najwyraźniej jako głosy mniejszościowe, środowiskowe, nieważne. Gdy czara goryczy się przełatała, postanowiliśmy się zjednoczyć i mówić jednym, silniejszym głosem.

Jak to pogodzić z zapewnieniami ministra Jarosława Gowina, że ustawa o szkolnictwie wyższym i nauce, którą nazywa Konstytucją

Wszystko wskazuje na to, że na ścianie wschodniej wkrótce nie będzie żadnego uniwersytetu z prawem habilitacji.

dla Nauki, była wyjątkowo długo, wieloetapowo i dogłębnie konsultowana ze środowiskiem akademickim Polski?

– Konsultacje były. I to prowadzone w bardzo spektakularny sposób. Przybrały nawet nazwę kongresu. Poza tym pan minister ze swoimi doradcami objeżdżał cały kraj. Ale – niestety – były to wyreżyserowane spektakle. Taka kosztowna, PR-owa otoczka, z której niewiele wyniknęło. **Wybrano też trzy zespoły, które pracowały nad reformą i kosztowały ok. 900 tys. zł.**

– A skorzystano z pracy tylko jednego. Sam kongres, jego organizacja, kosztował kolejne miliony złotych. To były świetnie przygotowane socjotechnicznie spektakle, na których głos zabierali niemal wyłącznie

zwolennicy tej reformy. Tam nie było wiele miejsca na jakąkolwiek debatę, a często nie było żadnej debaty. Tak naprawdę te spotkania miały na celu wyłącznie prezentację pomysłów ministerialnych.

REKTOR SAMOWŁADNY

Wasza ocena jest skrajnie różna od ministerialnej. Gdy minister Gowin przekonuje, że ustawa ma charakter wolnościowy, zdecydowanie poszerza autonomię uczelni, wy twierdząc, że to zamach na autonomię.

– Przede wszystkim wskazywaliśmy, że zagrożona jest wewnętrzna autonomia uczelni, równie ważna jak zewnętrzna. Bez niej uczelnia zamienia się w jednoosobową spółkę skarbu państwa.

Mówi pan o silnej władzy rektorskiej, którą daje reforma?

– Mówię o bardzo silnej władzy rektora. Wręcz samowładzy. Rektor niby ma organ kontrolny – radę uczelni, która w pierwotnym zamyśle była *de facto* radą nadzorczą, miała decydować o wyborze rektora. Ale tu ministerstwo wprowadziło poprawki i obecnie jest to raczej ciało doradcze. A czy ma ono współwybierać, czy tylko konsultować wybór rektora – zadecyduje statut uczelni. Należy jednak się spodziewać, że wpływ na pracę rektora będzie miał niewielki. Dzięki tej ustawie rektorzy będą jednowładcami. Nic więc dziwnego, że tak ją wspierają. Tymczasem uniwersytety zawsze były i powinny zostać korporacjami uczonych i studentów. A te podstawy korporacyjności uni-

wersytetu naruszane są w ustawie na różne sposoby, np. poprzez niszczenie dawnych struktur. Uniwersytet europejski ma organizację wydziałową, którą nowa ustawa zastępuje dyscyplinami, a rady wydziałów radami dyscyplin. Tyle że te rady dyscyplin co prawda przejmą część kompetencji rad wydziałów, ale nie będą miały mocy stanowiącej, lecz tylko doradczą. Wszystkie decyzje będą musiały być zatwierdzane przez senat. Czyli autonomia uczonych, polegająca na tworzeniu mocno autonomicznych mikrokorporacji, które składały się na uniwersytet, zostaje zniszczona.

A zewnętrzna autonomia?

– Zewnętrzna autonomia jest nieco iluzoryczna, bo państwowe uczelnie są finansowane z budżetu państwa. A łaska pańska zawsze na pstryku koniu jeździ. Po reformie z pewnej względnie dużej autonomii zewnętrznej będą korzystały wyłącznie uczelnie największe, przodujące, te, które uzyskają status uczelni badawczych, najhojniej finansowane. Reszta będzie miała wielkie problemy z utrzymaniem swojej autonomii, bo będzie spychana na dno.

W pogoni za pieniędzmi?

– Nie tylko. Jeżeli mniejszym ośrodkom odbierze się prawa habilitacyjne – a jest to nieuniknione, ponieważ będzie oceniana cała uczelnia, nie zaś dorobek konkretnych naukowców czy dyscyplin – nastąpi ucieczka lepszych uczonych i studentów do większych, mocniejszych uczelni, gdzie będą mieć warunki rozwoju. Mniejsze ośrodki czeka powolna degradacja. Można by naprawić najpoważniejszy – moim zdaniem – błąd tej reformy, odchodząc od oceny całości dorobku uczelni na rzecz oceny konkretnych dziedzin



i nauki – ok. 0,7% PKB – nie da się przeprowadzić tej reformy?

– Średnia europejska wynosi 2% PKB. I raczej nie mamy realnych szans na dociągnięcie do tego poziomu, przynajmniej w perspektywie kilkunastu najbliższych lat. A dochodzi dodatkowo reforma, której przeprowadzenie jest po prostu bardzo kosztowne. Trzeba zmienić wszystkie uczelniane struktury, procedury. Niezbędne będzie – moim zdaniem

Konstytucja dla Humanistyki, w którym zmienił zasady wyceniania, stosując przelicznik 1 do 4, co jest korzystniejsze dla dyscyplin najslabiej wycenianych. W dodatku dla niektórych kierunków przelicznik podniósł, np. dla historii na 1,5. Ale i tak na nowych przelicznikach zyskuje tak naprawdę tylko jeden, najdroższy kierunek humanistyczny – archeologia. Przy przeliczniku 2,5 dostanie więcej pieniędzy niż dotychczas. Reszta mniej lub bardziej straci.

Otoczka finansowa reformy jest zupełnie nierealna.

– poważne zwiększenie administracji. W naszym Instytucie Historii i Archiwistyki przymierzamy się do przejęcia obowiązków naukowych i dydaktycznych. Jedna sekretarka, która dotychczas wszystko obsługiwała, na pewno nie da rady. Reasumując: przy obecnym poziomie finansowania – według mnie – nie mamy szans na pozytywne zmiany na uczelniach.

Skoro zaś mówimy o pieniądzach, warto również powiedzieć o wprowadzanej przez reformę – a budzącej duże zastrzeżenia – ewaluacji działalności naukowej, sposobie oceniania, wyliczania kosztochłonności badań naukowych. Dotąd tego nie wyliczano, ograniczając się do luźnych szacunków na podstawie liczby zatrudnionych osób i rangi dyscypliny czy przedmiotu badań. Oceniano za to kosztochłonność studiów doktoranckich i magisterskich, stosując prosty przelicznik: 1 – kierunki humanistyczne, 3 – kierunki techniczne, medyczne. W ramach reformy ministerstwo postanowiło używać

Są jakieś plusy tej reformy?

– Z jednej strony, pozytywne jest, że wprowadza się ewaluację według dyscyplin, bo w ten sposób powinny być ewaluowane uczelnie badawcze. Wcześniejsza ocena jednostek wielodyscyplinarnych i wielozdziedzinowych powodowała nieuzasadnioną, często wysoką ocenę jednostki poprzez przypisanie np. punktów uzyskanych w obrębie nauk społecznych do nauk humanistycznych. Ale z drugiej strony, niszczy się instytuty wielodyscyplinarne. A jest ich sporo, np. Instytut Wschodni Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu czy orientalistyka w Warszawie, gdzie pracują specjaliści z różnych dziedzin: historycy, literaturoznawcy, lingwiści, socjolodzy. To ośrodki z wieloletnim dorobkiem, wypróbowane zespoły, które tak łatwo się przekreśla. Niszczy się także mniejsze niż 12-osobowe zespoły jednodyscyplinarne, faktycznie zmusza się uczelnie do sztucznych ruchów w postaci przekwalifikowywania pracowników na inne specjalności, aby wypełnić luki.

nauki uprawianych w danym ośrodku. To dawałoby mniejszym szansę na obronę przed degradacją. A tak – wszystko na to wskazuje – na ścianie wschodniej wkrótce nie będzie żadnego uniwersytetu z prawem habilitacji.

Ile uprzywilejowanych uczelni badawczych będziemy mieli w Polsce?

– Według poprzedniej parametryzacji 17 uczelni w Polsce spełnia warunki do uzyskania tego statusu. Minister Gowin zapowiedział, że z tego grona zostanie wybranych 10. I może jeszcze jakiś wyjątek. Dla pozostałych sześciu-siedmiu pan premier przewidywał bonusy w postaci dodatkowych 2% budżetu. Ale...

Nie bardzo w to wierzyć?

– To jest nasz kolejny zarzut. Uważamy, że otoczka finansowa reformy jest zupełnie nierealna. Zwłaszcza w świetle ostatnio ogłoszonych projektów socjalnych nie mamy szans na zwiększenie finansowania.

PLUSÓW NIEWIELE

To znaczy, że przy obecnym finansowaniu szkolnictwa wyższego

Nastąpiła ogromna pauperyzacja tytułu profesorskiego.

do ustalania kosztochłonności badań przelicznika 1 do 6. Co byłoby groźne, szczególnie dla humanistyki.

Dlaczego?

– Bo przy dzieleniu i tak niewystarczających funduszy, jakimi dysponuje uczelnie, humanistyka dostawałaby na badania jeszcze mniej pieniędzy niż dotychczas. Dużo mniej. Pan minister w przeddzień kongresu wydał jednak oświadczenie zatytułowane

A inne plusy?

– Subwencja ministerialna zamiast kilku rodzajów dotacji. Bo dzięki temu będzie można łatwiej (tylko czy mądrzej?) rządzić uczelnią. Nowa organizacja szkół doktorskich też budzi nadzieję, m.in. mają być one bardziej interdyscyplinarne. Dużą autonomię opracowywania statutów uczelni zaliczyłbym do plusów. Docenią ją zwłaszcza mniejsze ośrodki. Ale tych plusów jest tak niewiele. ▶

► NADMIAR DOKTORÓW I PROFESORÓW

Zdaniem wielu krytyków grzechem pierworodnym Konstytucji dla Nauki jest to, że nawet nie próbuje zlikwidować największych bolączek polskiego szkolnictwa wyższego. Jak je pan definiuje?

– Na pewno niedostateczne finansowanie, o którym już mówiliśmy. Poza tym nadprodukcja profesorów, która trwa i, jak wszystko wskazuje, trwać będzie. A została zapoczątkowana przez reformy

Za dużo doktorów, za dużo profesorów...

– Doktorów habilitowanych też za dużo.

To znaczy, że w Polsce łatwo zostać naukowcem?

– Bardzo łatwo. Te progi, które obowiązywały kiedyś, zostały bardzo mocno podkopane już za minister Kudryckiej. I to jest warte podkreślenia, że zostały podkopane przez tych samych ludzi, którzy konstruowali ostatnią reformę szkolnictwa wyższego. Reformę minister Kudryckiej i ministra Gowina tworzyły

Zmusza się uczelnie do sztucznych ruchów w postaci przekwalifikowywania pracowników aby wypełnić luki.

minister Barbary Kudryckiej. Choć w założeniu miała utrudnić dostęp do profesury. W rezultacie nastąpiła ogromna pauperyzacja tego tytułu. Jestem zwolennikiem środkowoeuropejskiego modelu organizacji uniwersytetu. Tytuł profesora powinien mieć kierownik katedry. I to wystarczy. Natomiast w Polsce wszyscy zostają na uczelni, bo nie ma tzw. systemu karier ubocznych dla pracowników osiągających wysoki poziom naukowy, dla których zabrakło uniwersyteckich katedr. Zwłaszcza w naukach humanistycznych i społecznych. W Niemczech tacy wysoko wykwalifikowani uczeni w sposób stały korzystają ze stypendiów państwowych czy fundacyjnych bądź też zajmują wysokie stanowiska np. w instytucjach kultury i nauki – w bibliotekach, archiwach, które są zarezerwowane właśnie dla samodzielnych pracowników naukowych.

Sytuacja w Polsce grozi zapaścią za kilkanaście lat, gdy odejdzie na emeryturę moje pokolenie. Bo my nie mamy następców. Choć produkujemy wielką liczbę doktorów. Ale nie ma dla nich miejsca na uczelniach, więc odchodzą. I muszą sobie znaleźć pracę, co często doktorat im utrudnia. A na uczelni coraz częściej pracują niemal wyłącznie samodzielni pracownicy naukowci. Głównie profesorowie, których nie można – mimo takich pomysłów minister Kudryckiej – przenosić w stan spoczynku, co szybciej odblokowywało by etaty.

w zasadzie te same osoby. Nastąpiła po prostu kontynuacja złych reform. Dzisiaj te same osoby stanęły na czele najważniejszego komitetu, który będzie się zajmował ewaluacją nauki w Polsce.

Co jeszcze boli?

– Nie ukrywam, że boli nas również niezrozumiały kult języka angielskiego. To, że dziś wnioski do polskich instytucji o granty dla polskiej humanistyki, np. na prace z zakresu historii Polski, musimy składać w języku angielskim. I nie chodzi tu o nieznaną znajomość języka angielskiego. Należy postawić pytanie, czy to nie są aby poczynania neokolonialne. Czy to nie jest sprowadzanie Polski do poziomu państw latynoskich czy afrykańskich?

Obawiam się, że za chwilę doktoraty o historii Polski trzeba będzie pisać po angielsku.

Naprawdę nie ma dla nas alternatywy poza kulturą języka angielskiego? Upieram się, że państwo przeszło 35-milionowe, z tak długą historią jak Polska, leżące w środku Europy, ma prawo do pielęgnowania własnej kultury oraz rodzimego języka i – jeśli to nie jest konieczne – niezastępowania go innym. Obawiam się, że za chwilę, jak w krajach Beneluksu, doktoraty o historii Polski trzeba będzie pisać po angielsku, żeby udowodnić, że się zna ten język.

Środowisko jest zgodne, że szkolnictwu wyższemu potrzebna jest reforma. Dlaczego zatem ministrowi Gowinowi nie wyszło?

– Po pierwsze i najważniejsze: zli doradcy, których pan minister odziedziczył po poprzedniczce. Moim zdaniem już za czasów minister Kudryckiej zrobiono polskiej nauce tyle złego, że danie tym ludziom drugi raz szansy na reformę spowodowało tylko pogłębienie dawnych błędów. Po drugie – uleganie punktozom, która nie służy zwłaszcza naukom humanistycznym i sztuce. Ta punktoza wynika z wiary, że w nauce wszystko można łatwo policzyć. A to nieprawda. Prawidłowo ocenić moje czy moich kolegów prace z zakresu historii Polski mogą tylko specjaliści. I powinna to być ocena zobiektywizowana przez liczbę ocen specjalistów biegłych w temacie. A nie przez przypisanie przez jedną osobę określonej liczby punktów. I na jakiej podstawie? Bo prace ukazały się we wskazanych przez ministerstwo wydawnictwach?

Tym bardziej że ministerialna lista prestiżowych wydawnictw jest gorąco oprotostowywana. Znalazły się na niej wydawnictwa mało szanowane, które drukują tytuły agitacyjne, propagandowe.

– Na liście najwyższej punktowanych wydawnictw nie ma za to wydawnictw nieanglojęzycznych, np. francuskich, niemieckich, hiszpańskich czy włoskich. Jeśli ktoś jest romanistą, to będzie publikował w wydawnictwach francuskich, a germanista w niemieckich i nie można ich za to karać mniejszą liczbą punktów.

Ustawa została podpisana, opublikowana i weszła w życie. Co jeszcze można zrobić?

– Minister zgodził się na dalsze rozmowy na temat ewaluacji. Ale w tych kwestiach walczyliśmy już tylko o szczegóły, właśnie takie jak zmiany na ministerialnej liście czasopism. Jednak – długofalowo – nie zamierzamy odpuścić w innych kwestiach. Szukamy sojuszników. Chcemy prosić prezydenta RP, żeby nas wsparł. Planujemy także zainteresować naszymi postulatami rzecznika praw obywatelskich.

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

Bez uprzedzeń



Bronisław Łagowski

W Europie istnieje stare i ugruntowane przekonanie, że Polacy nie mają poczucia rzeczywistości, gdy chodzi o stosunki międzynarodowe, sprawy wojny i pokoju. Ale którzy Polacy? Ci, co stanowią większość, wywierają decydujący wpływ na politykę państwową – nie w sposób zinstytucjonalizowany, lecz żywiołowo – i sprawiają, że Polska, w przeciwieństwie do Węgier, nie posiada odpowiedzialnego czynnika kierowniczego. To ważna różnica, bo kraj mniejszy, jeśli posiada kierownictwo, znaczy więcej w polityce międzynarodowej niż kraj dużo większy, ale bez głowy. I dziś dzięki Orbánowi, wyrosłemu na jednego z najwybitniejszych polityków w Europie, Zachód musi się z Węgrami liczyć, a z Polską nie musi.

Amerykański generał, jeden z tych najważniejszych, mówi jasno i wyraźnie: bazy są nam potrzebne w Polsce, aby w razie czego ułatwić nam obronę państw bałtyckich. A więc o obronę państw bałtyckich chodzi, a nie o obronę Polski. Dlaczego? Ponieważ Polsce nikt nie zagraża. Polska wydaje na zbrojenia więcej, niż ją na to stać, aby bronić Litwy, która zachowuje się jak mocarstwo z czasów Giedymina, współzawodniczące z Moskwą.

nieufne Wilno, skłonny do uniesień Lwów. Można by więc powiedzieć, że wola narodu była główną przyczyną błędu w ocenie sił, popełnionego przez kierownicze czynniki państwowe. Jednak i one uczyniły niejedno, aby wprowadzić w błąd masy” (cytuje z „Czasy wojny”).

Niektórzy bardzo wyniosłe przeciwstawiają się relatywizmowi i sceptycyzmowi w imię ideału wiedzy, a tym ideałem jest nic innego jak prawda absolutna. Ideały, jak sama nazwa wskazuje, nie należą do świata rzeczywistego i nie jest pewne, czy obrońcy prawdy absolutnej znajdują się choćby o krok bliżej poznawczego ideału niżeli relatywiści i sceptycy. Osobiście witam z sympatią obrońców absolutu, pod warunkiem że nie mają oni władzy wystarczającej, aby dyktować poglądy innym. Hasło prawdy absolutnej może wyrażać dwie zupełnie przeciwstawne postawy. Najczęściej wyraża ono niestety zadufanie i bezkrytycyzm wobec własnych przekonań. Zupełnie inne znaczenie miało ono u wielkich filozofów. Było zobowiązaniem do możliwie najrzetelniejszego, najściślejszego i najjaśniejszego uzasadniania własnych twierdzeń.

BYĆ ZA I PRZECIW

Zbroimy się, nie pytając po co, ale bywało odwrotnie: zagrożenie było rzeczywiste, ale Polacy myśleli, że to oni grożą. Biedny Rydz ze swoimi guzikami, a co myślała inteligencja? Prof. Stanisław Swianiewicz wspomina rok 1939: „Mówię do niej: Zdaje się, wisi nad nami groźba wojny; odpowiada mi: Oczywiście wojna musi przyjść, zapytuję: Dlaczego musi? No bo Niemcy tak się ostatnio zachowują, że jakiś porządek trzeba z nimi zrobić”. Inna rozmowa, gdy wojna już wybuchła: „Pytam: Czego się Pani tak cieszy? Chwyta mnie za rękę: Jak to? Pan nie wie? Hitler się skompromitował” (cytuje z „W cieniu Katyńia”). Trzeba mu dać nauczkę.

Ferdynand Goetel, znakomity pisarz, w okupowanej Warszawie niepopularny, tak charakteryzował jedność nastrojów społecznych dołów i politycznej góry: „»Silni, zwarci, gotowi« – hasło artykułu ogłoszonego w »Polsce Zbrojnej« na krótko przed wojną, a przejęte nie tylko przez głośniki rządowej propagandy, lecz i przez najszerze masy polskiego społeczeństwa, odpowiadało rzeczywiście duchowi chwili. Nie zdarzyło się bowiem nigdy w dziejach Polski, a może i w dziejach całego zachodniego świata, by wola narodu tak solidarnie i tak gorąco zdecydowana była na przyjęcie wojny. (...) Wiadomości o zbrojeniach niemieckich nie straszą nikogo. (...) Zapal narodu utwierdził kierowników państwa w mniemaniu, iż przyjmując wojnę, postępują słusznie... Wiara w znaczenie entuzjazmu przyświecająca wielu poczynaniom polskim w ubiegłych dziejach, a ukoronowana zmartwychwstaniem państwa polskiego, skłaniała do optymistycznego spojrzenia w przyszłość. Entuzjazm był tym razem powszechny. (...) Na wojnę był gotowy rzeczowy Śląsk, rozważne Poznańskie, przemądrzały Kraków, dzielne Mazowsze, swawolna Warszawa,

Przekonania polityczne składają się (w proporcji zmieniającej się zależnie od osoby i grupy społecznej) z wiedzy zastyszanej, z własnych obserwacji (które z konieczności są bardzo wąskie), z tzw. chciejstwa, z apriorycznych przekonań na temat wroga, z elementów zdrowego rozsądku i z wielu innych ingrediencji, które razem nie układają się jednak w prawdę bezwzględną. Tymczasem właśnie w polityce, po wygaśnięciu emocji religijnych, mamy do czynienia z największymi wybuchami fanatyzmu i najbardziej bezkrytyczną pewnością własnej racji. Nic na to nie można poradzić, ale warto przypomnieć, że poglądy głoszone przez polityków i naśladowane z jeszcze większą zawziętością przez ich zwolenników opierają się w większej części na niepewnych hipotezach i są mocno podszyte nieuniknioną w tej dziedzinie ignorancją.

Trzeba przyznać, że istnieje coś takiego jak talent do polityki, którego brak tylko w części może być zrekompensowany przez doświadczenie lub wychowanie do roli politycznej. Myśliciele polityczni od zawsze i w każdym ustroju poszukiwali instytucjonalnego uprzywilejowania osób politycznie utalentowanych, inaczej mówiąc, ułatwienia im dostępu do władzy. I równoległe do tego poszukiwano sposobów utrudniania objęcia ważnych stanowisk przez ludzi nieposiadających własnego zdania. Te usiłowania przynosiły rezultat, ale nie zawsze. Pamfletista napisałby, że nigdy, ale nie należy mu wierzyć.

Zadania, jakie ma do rozwiązania biznesmen, uczonec czy technokrata, względnie szybko uwidoczniają różnicę między zdolnymi a nienadającymi się do swojej roli. W polityce natomiast ignoranci i lekkoduchy mogą przez dziesięciolecia zaprzętać uwagę społeczeństwa i wpływać na jego najbardziej żywotne interesy.

DZIECIAKI Z PARKLAND OBUDZIŁY AMERYKĘ

W ciągu ostatnich 20 lat ćwierć miliona amerykańskich uczniów doświadczyło szkolnej strzelaniny



Protest studentów pod Białym Domem, 19 lutego 2018 r.

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

14 lutego 2019 r. na świecie: obchody walentynek. Zalew różu i pluszu, serduszek i czekolady, a ostatnio także obowiązkowo slogany, że miłość przybiera różne formy, lecz najważniejsze, by szła w parze z tolerancją. *Make love not war* – przypominają rozgłośnie radiowe głosami Johna Lennona i Boba Marleya w hitach, które nigdy nie odejdą do lamusa.

14 lutego 2019 r. w Ameryce: nikomu nie jest do śmiechu. Sprzedawcy skarżą się, że nie sprzedają się ani misie, ani czekolada, a wiele osób w ogóle rezygnuje z tegorocznej celebracji dnia zakochanych. Media przypominają, że właśnie dzisiaj mija pierwsza rocznica strzelaniny w liceum Marjory Stoneman Douglas w Parkland na Florydzie, drugiej najkrwawszej tego typu w historii. Zgi-

nęło 17 osób, w tym 14 uczniów, 17 zostało rannych.

CODZIENNE STRZELANINY – NOWA NORMALNOŚĆ

Rocznice masowych strzelanin przypadają dziś w Ameryce prawie każdego dnia w roku, bo niemal codziennie w jakimś zakątku kraju od wymiany ognia w jednym miejscu giną co najmniej cztery osoby. Wtedy strzelaninę klasyfikuje się jako masową. Co najmniej raz w roku dochodzi do mordu, w którym w ciągu kilku minut giną dziesiątki, a rany odnoszą nawet setki osób. Od roku 2004, gdy wygaśł zakaz produkcji i używania broni maszynowej oraz magazynków o dużej pojemności, strzelaniny stają się coraz krwawsze. Zamachowcy są uzbrojeni nie gorzej niż żołnierze na wojnie. By zbyt daleko nie sięgać pamięcią... 1 października 2017 r. mężczyzna dysponujący aż kilkudziesięciu karabinami, w tym AR-15, od-

daje z okna hotelu w Las Vegas ponad 1000 strzałów do bawiących się na koncercie fanów muzyki country. W ciągu 10 minut zabija 59 osób, rani ponad 400. Ledwie miesiąc później kolejny morderca kładzie serię z karabinu AR-556 26 wiernych w kościele baptystów w Teksasie, rani 20. W listopadzie 2018 r., 10 miesięcy po horrorze w Parkland, dochodzi do ataku na nocny klub w Kalifornii. Morderca uzbrojony tym razem w półautomatyczny pistolet Glock, do którego zamontował zakazane magazynki o dużej pojemności, uśmierca 49 osób, rani 53. Nie mamy jeszcze danych za rok 2018, ale 2017 był najgorszy w historii. Doszło do 377 masowych strzelanin, a śmierć od kuli poniosło prawie 40 tys. osób.

Do masowego mordu w szkole, na podobieństwo tego w Parkland, dochodzi raz na kilka lat, ale śmierć od kuli – bądź w wyniku zamachu na innych, bądź samobójstw popełnianych przez dzieci – to w amery-

kańskiej szkole chleb powszedni. W zeszłym roku tego typu strzelaniny miały miejsce aż w 24 szkołach, nie włączając w to kampusów uniwersyteckich. Najkrwawsza i do dziś najbardziej przerażająca pozostała masakra sprzed siedmiu lat

W ciągu ostatnich 20 lat do strzelaniny doszło w 227 szkołach. Zginęły 143 osoby, rannych zostało ponad 300.

w szkole podstawowej Sandy Hook w Connecticut. Morderca (tym razem z karabinem Bushmaster XM15-E2S), przechodząc z klasy do klasy, wymordował 20 pierwszoklasistów i szóstkę nauczycieli. Łącznie w ciągu ostatnich 20 lat doszło do strzelaniny w 227 szkołach. Zginęły 143 osoby, rannych zostało ponad 300.

Doświadczenie strzelaniny nie jest jednak tylko udziałem ofiar i rannych, za każdym razem uderza w całą szkolną społeczność. Od czasów tragedii w liceum Columbine w kwietniu 1999 r., podczas której zginęło 17 osób, szkolnej strzelaniny doświadczyło ćwierć miliona amerykańskich uczniów.

Amerykanie oczywiście pamiętają o swoich smutnych rocznicach, ale po tylu latach osławiania świata, w którym przemoc z użyciem broni to „nowa normalność”, trudno się dziwić, że żałoba z roku na rok jest coraz cichsza, a media poświęcają tematowi coraz mniej czasu antenowego.

Dlaczego więc rocznica strzelaniny w Parkland była inna? I to do tego stopnia, że popsuta Amerykanom jedno z ich najulubieńszych świąt? Odpowiedź jest prosta. Bo po 20 latach katastrofalnej inercji – chowania się w skorupę wyuczonej bezsilności, jak opisują postawę Amerykanów wobec ich problemów z bronią socjolodzy – w Ameryce pojawił się ruch, który niesie nadzieję na zmiany. Postuluje gruntowną reformę przepisów o dostępie do broni palnej i jej używaniu, w tym zakaz produkcji i sprzedaży cywilom broni maszynowej oraz wprowadzenie obowiązku weryfikacji historii klienta przy zakupie każdego rodzaju broni, także na targach i pokazach. Ruch zainicjowali i przewodzą mu nastoletni uczniowie z Florydy, szczęśliwcy, którzy przeżyli strzelaninę. Po roku intensywnej działalności wykorzystali rocznicę tragedii – załączając na ten dzień media – nie

tylko po to, by przypomnieć Ameryce o zamordowanych koleżankach i kolegach, lecz także by opowiedzieć, co już udało im się osiągnąć i co zamierzają robić dalej. Niektórzy obserwatorzy już dzisiaj przyrównują ich do przywódców ruchu na rzecz praw



David Hogg został liderem ruchu #neveragain.

cywilnych sprzed pół wieku. Być może na naszych oczach powstaje jeden z najważniejszych rozdziałów historii Ameryki.

14 LUTEGO 2018. POCZĄTEK

Odgłosy pierwszych wystrzałów David Hogg, 17-letni maturzysta w liceum MSD, słyszy 10 minut przed ostatnim dzwonkiem. W pierwszej chwili, jak wszyscy, uznaje, że to fałszywy alarm, może kolejna próba na okoliczność strzelaniny. Ćwiczenia zachowań w razie wtargnięcia do szkoły uzbrojonego zamachowca, tego jak i gdzie się kryć, amerykańskie dzieciaki przechodzą kilka razy w roku, począwszy od zerówki. W trosce o bezpieczeństwo placówki oświatowej coraz częściej inwestują w kuloodporne tablice, bramki bezpieczeństwa i systemy elektronicznej identyfikacji. Uzbrojony policjant na szkolnym korytarzu to dla amerykańskich uczniów widok całkowicie zwyczajny.

Strzały za drzwiami klasy Davida jednak nie cichną. Zdając sobie sprawę, że w szkole jest prawdziwy morderca, David i reszta uczniów chowają się w szafkach. To jedna z metod samoobrony, którą ćwiczy się podczas alarmu. Spocony ze strachu David włącza jednak telefon i zaczyna nagrywać. Mówi o tym, co widzi i czuje jako

świadek szkolnej strzelaniny, pyta o to samo innych. Na dramatycznym nagraniu, które za chwilę pójdzie w świat, pojawia się deklaracja: „To jest nie do przyjęcia. Tysiące ludzi w Ameryce ginie co roku w bezsensownych strzelaninach. Coś musi się zmienić!”.

Po dwóch godzinach policja łapie zamachowca (jest nim 19-letni Nikolas Cruz, były uczeń szkoły), jakiś czas potem pozwala młodzieży wyjść z ukrycia.

Ta jednak nie od razu rzuca się w objęcia przeżanych rodziców. Kilkanaścioro dzieciaków, w tym David Hogg, Emma González i Cameron Kasky, idzie rozmawiać z mediami. Patrząc Ameryce w oczy, pytają, dlaczego ich zawiodła. Kto dał przyzwolenie na to, by wyrosło w Ameryce pokolenie świadków masowych strzelanin. „Nie chcemy dłużej waszych myśli i modlitw, chcemy

akcji! Chcemy, by nasza dzisiejsza tragedia była ostatnią taką w historii USA. Ameryko, obudź się!”, krzyczą do mikrofonów, obnażając pustostwo rutynowych kondolencji: *Sending you our thoughts and prayers* (Przesyłamy wam nasze myśli i modlitwy). Już następnego dnia występują przed kamerami nie jako ofiary, lecz aktywiści. Do wspomnianej trójki dołączają Alfonso Calderon, Sarah Chadwick, ▶

Czy służby specjalne tuszowały seksaferę marszałka Marka Kuchcińskiego? Odpowiedź w najnowszym numerze tygodnika „NIE”.



► Jaclyn Corin, Ryan Deitsch i Alex Wind. Biorą na siebie rolę rzeczników i przez następne dni i tygodnie niezmordowanie są obecni w mediach. Nie pozwalają, by ich twarze i głosy znikły już po dwóch dniach, jak było po Sandy Hook czy Las Vegas. Powołują do życia organizację #neveragain (nigdy więcej), celowo sięgając po nazwę zarezerwowaną do tej pory w USA dla ruchu na rzecz pamięci o Holokauście. Amerykanie wstrzymują oddech. I mają powody. „Te dzieci nas przeraziły. Ich postawa, zaciętość, język, jakim przemawiały, to było coś zupełnie innego niż znane nam do tej pory schematy reagowania na strzelaniny”, mówi Dave Cullen, dziennikarz, autor książek „Columbine” oraz opublikowanej w lutym tego roku „Parkland. Birth of a movement” („Parkland. Narodziny ruchu”).

„Tradycyjne podejście do tematu to szok i niedowierzanie, a zaraz potem skok na profil mordercy: czy był chory, czym i jak mordował, jakie miał motyw. I obowiązkowa konkluzja, że to nieszczęśliwy wypadek, można go było uniknąć, gdyby ktoś pomógł na czas zaburzonemu psychicznie mordercy. Niestety, taka postawa tylko nasila zjawisko celebryzacji morderców. Podczas gdy ofiary już po kilku dniach odchodzą w cień, nazwiska zabójców stają się powszechnie znane i, nie oszukujemy się, inspirują kolejnych szaleńców. Dzieciaki z Parkland intuicyjnie

land to szkolne walkouty. Już w lutym w „wagarach protestacyjnych” (często ramię w ramię z nauczycielami i rodzicami) bierze udział milion uczniów z 2,5 tys. szkół w całej Ameryce. 24 marca sztab #neveragain i ochotnicy z całego kraju szturmują Waszyngton. Organizują manifestację pod hasłem „Marsz za nasze życie” (March For Our Lives, w skrócie MFOL), która da początek działalności nowej organizacji antyprzemocowej

Placówki oświatowe coraz częściej inwestują w kuloodporne tablice.

pod tą samą nazwą. W Waszyngtonie protestuje 200 tys. osób (szacunki wahają się między 200 a 800 tys.), a w równoległych marszach we wszystkich większych miastach USA – kolejny milion. To największa demonstracja młodzieży od czasów wojny w Wietnamie i największa w historii na rzecz zmian przepisów o broni.

Na transparentach dominują hasła nawołujące polityków do działania, ale równie dużo jest oskarżeń pod adresem National Rifle Association (NRA) – Narodowego Związku Strzeleckiego, który wielu uważa za organizację przyczyniającą się do eskalacji przemocy z użyciem broni palnej w USA. Przypomnijmy – NRA to trzecie największe i najbogatsze po Wielkiej Farmacji (Big Pharma) i Wielkiej Ropie (Big Oil) lobby w Waszyngtonie. Jego roczny budżet operacyjny to ok. 400 mln dol. (dane według „Daily Beast”, 2018 r.). Jest ta-

jemnicą poliszynela, że NRA wspiera polityków z obu partii, a tym samym wywiera przemożny wpływ na debatę na temat broni i regulując ją ustawodawstwo, by nie rzec, że je kształtuje. Huraganowy rozwój organizacji (masa nowych członków, klubów, strzelnic, własnych instytucji finansowych oraz platform propagandowo-operacyjnych typu telewizja, fundacje i think tanki) nastąpił zwłaszcza pod kierownictwem Wayne’a LaPierre’a, szefującego jej od roku 2001. Ten charyzmatyczny mówca, sprawny biznesmen i wielki przyjaciel przemysłu zbrojeniowego z jednej strony skutecznie przekonuje Amerykanów, że broń w domu i za pazuchą to najlepszy gwarant bezpieczeństwa

ich i ich rodzin, a z drugiej – równie efektywnie gra na strunach wolnościowej i patriotycznej, dowodząc, że prawo do broni jest Amerykanom gwarantowane przez II poprawkę do konstytucji. Robi to tak skutecznie, że w 2008 r. nawet Sąd Najwyższy zgodził się z tym twierdzeniem, przecząc trzem poprzednim orzeczeniom (z lat 1875, 1886 i 1939), w których za każdym razem stwierdzano, że poprawka traktuje nie o prawie powszechnym, ale o przywilejach milicji obywatelskiej. II poprawka to skondensowana forma zapisu z konstytucji stanu Wirginia z 1788 r., w której – zdaniem

wielu historyków – doszło do przypadkowego, zapewne z pośpiechu, pominięcia rodzajnika *the*, co frazę *the people* (ci ludzie) odnoszącą się do milicji obywatelskiej zmieniło w samodzielne słowo *people* (ludzie, naród). I informacja druga – z amerykańskich taśm produkcyjnych zjechało w 2016 r. 10,9 mln sztuk broni, w 2006 r. – 3,6 mln (dane za Bureau of Alcohol, Tobacco, Firearms and Explosives, 2016 r.). Można wierzyć, że NRA tylko stoi na straży konstytucyjnego prawa obywateli do zbrojenia się, ale nie można nie zapytać, jaki jest związek między coraz łatwiejszym i powszechniejszym dostępem do broni palnej a strzelaninami. Młodzi z ruchu #neveragain twierdzą, że to naczynia połączone. NRA nie ma zamiaru puścić im tego „bluźnierstwa” płazem. Małolaty jednak okazują się dla NRA twardym przeciwnikiem.

Pierwszy większy atak na #neveragain NRA przypuszcza 4 marca, w noc oscarowej gali. Telewizja NRATV emituje filmik, w którym przestrzega, że „dzieciaki z Parkland” są marionetkami sterowanymi przez lewacką oligarchię z Hollywood w porozumieniu, rzecz jasna, z liderami na Kapitolu. „To totalna kontrola, chodzi wyłącznie o to, by odebrać nam naszą wolność i broń”, „Wasz czas się skończył”, przemawia z ekranu rzeczniczka związku Dana Loesch. Na to 17-letnia Sarah Chadwick odpowiada parodią reklamy Loesh: „Nie, to wasz czas się skończył, bo mamy dość waszych kłamstw, ignorancji i bigoterii”. Gdy NRA publikuje mem ze zdjęciem karabinu AR-15 i podpisem: „Dziękuję, sam będę kontrolował moją broń”, nastolatki odpowiadają zdjęciem demonstranta z tablicą o treści: „Dosyć

Uzbrojony policjant na szkolnym korytarzu to widok całkowicie zwyczajny.

rozpoznały ten problem i tym chyba zaszokowały nas najbardziej. Świadomie wykreowały się na jeszcze większych celebrytów niż morderca z ich szkoły”, wyjaśnia Dave Cullen.

Jak dokładnie tego dokonały? Zdaniem autora być może już w dniu strzelaniny podjęły dwie bardzo ważne decyzje. Pierwszą – że będą przemawiać jednym głosem. Drugą – że mając do wyboru spektrum spraw, o które mogą zawalczyć, powinny skoncentrować się na jednej. Wybrały broń.

WIOSNA 2018 KTO SIĘ (NIE) BOI NRA

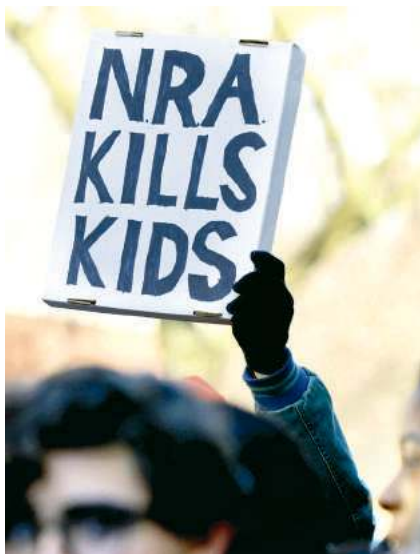
Pierwsze akcje protestacyjne skoordynowane przez licealistów z Park-

znaczy dosyć”, podpisanym: „Dziękuję, sam będę kontrolował moje życie”. Prócz memów i filmów – a dodajmy, że każdy z aktywistów ma po kilkaset tysięcy obserwatorów swoich Snapchata i Instagrama – dzieciaki zaczynają upubliczniać nazwiska polityków, którzy przyjmują dotacje od NRA. NRA w popłochu usuwa ze swoich stron listę „prymusów i nygusów”, na której od lat oceniał polityków za to, jak efektywnie angażują się w zwalczanie inicjatyw ograniczania dostępu do broni. #Neveragain udaje się zebrać kilka milionów dolarów dotacji, ale pieniądze zaczynają płynąć szerszym strumieniem także do innych organizacji o charakterze *anti-gun*, takich jak Everytown for Gun Safety, The Brady Center to Prevent Gun Violence i Giffords Law Center to Prevent Gun Violence. Dzięki temu po raz pierwszy w historii grupy te będą w stanie wydać więcej na przedwyborcze kampanie współpracujących z nimi polityków niż NRA. To zaś przełoży się na konkretne akcje legislacyjne. Do końca roku władze stanowe i samorządowe w 27 stanach przegłosują 67 ustaw ograniczających dostęp do broni.

LATO I JESIEŃ 2018 OBUDZONA GENERACJA

Wakacje 2018 r. dzieciaki z Parkland spędzają w autobusie – w ciągu dwóch miesięcy odwiedzają 75 miejscowości, gdzie manifestują, rozmawiają, organizują i przede wszystkim nie pozwalają mediom, by o nich zapomnieli. Jednocześnie wchodzi w koalicję z ugrupowaniami walczącymi o większą aktywizację młodzieży na niwie politycznej. „To już była taktyka, myślenie długofalowe”, wyjaśnia John Della Vopla, dyrektor badań sondażowych w Instytucie Polityki na Uniwersytecie Harvarda. I rozwija myśl: „By doprowadzić do reformy, potrzeba polityków, którzy ją uchwalą. Najpierw jednak trzeba tych polityków wybrać. Należało więc zacząć od tego, by na nich zagłosować na jesieni. Moment, by agitować, był tym lepszy, że w 2018 r. aż o połowę więcej młodych niż w czasach przed Trumpem twierdziło, że polityka ma dla nich duże znaczenie. Trump obudził tę generację”.

Sześć tygodni przed wyborami z inspiracji licealistów powstaje nowa koalicja Burmistrzowie dla Naszych Życi (Mayors For Our Lives).



NRA zabija dzieci – to hasło często pojawia się na manifestacjach zwolenników ograniczenia dostępu do broni.

Tworzą ją prezydenci 50 miast, którzy zobowiązują się wyłożyć dodatkowe fundusze na rejestrację młodzieży do głosowania. Jeżeli ktoś wciąż nie miał pewności, czy aktywizm licealistów przynosi rezultaty, teraz dostaje dowody na tacy. Ograniczenie dostępu do broni staje się, po raz pierwszy od dziesięcioleci, tematem przewodnim kampanii nawet w najbardziej konserwatywnych i zaprzyjaźnionych z NRA okręgach wyborczych, zwanych dziś „kieszonkami Trumpa” (*Trump pockets* lub *Trump country*). W przeddzień wyborów za reformą jest 60% społeczeństwa, najwięcej od ćwierćwiecza. Największym sukcesem aktywistów z Florydy staje się jednak uaktywnienie najmłodszych wyborców. Do urn 6 listopada idzie 31% wszystkich uprawnionych do głosowania poniżej 29. roku życia, 47% więcej niż w wyborach w 2014 r. To dzięki nim demokraci przejmują Kongres, a porażkę wyborczą ponosi aż 25 polityków znanych z kontaktów z NRA.

27 LUTEGO 2019 DOMINO IDZIE W RUCH

Nowy Kongres przegłosowuje ustawę wprowadzającą bardziej kompleksowy system weryfikacji nabywców broni, pierwszą tego typu federalną regulację od 20 lat. Ledwie dzień później przechodzi druga ustawa, rozciągająca do 10 dni okres dozwolony na przeprowadzenie weryfikacji przed sprzedażą broni. Głosowanie poprzedziły przesłuchania w Komisji Bezpieczeństwa, podczas

których zeznawali liderzy ruchu #neveragain, ich rodziny i świadkowie wielu innych strzelanin. Prezydent Trump, dla którego preferowaną metodą „rozwiązania” problemu szkolnych strzelanin jest zbrojenie nauczycieli, zapowiedział co prawda zawetowanie obu ustaw, a kontrolowany przez republikanów Senat raczej ich nie zatwierdzi, ale nikt już nie zaprzeczy, że dzieci dokonały tego, co przez 20 lat nie udawało się dorosłym. „Piszę i mówię o problemie broni i strzelanin w Ameryce od tak dawna, że choć żadnej nie doświadczyłem osobiście, też nabiłem się stresu pourazowego i depresji. Przeglądając się dzieciakom z Parkland, uczestnicząc w zmianach, które spowodowały, po raz pierwszy ja też widzę światło w tunelu”, przyznaje Dave Cullen.

Mimo wszystko przed Ameryką jeszcze daleka droga. Amerykanie, przywiązani do westernów, historycznie nieufni i wyznający zasadę, że polegać można wyłącznie na sobie, na pewno z broni nie zrezygnują. Pomarzyć można co najwyżej o tym, że kiedyś, oby jak najszybciej, zdecydują się pójść w ślady Australii, która po masowym mordzie w 1996 r. (35 ofiar śmiertelnych, 18 rannych, snajper uzbrojony w karabin A-15) zakazała produkcji, sprzedaży i używania broni maszynowej, a policja odkupiła od właścicieli, za ich zgodą, te sztuki, które już mieli w domu. Od tamtego czasu w Australii nie było żadnej masowej strzelaniny.

Zapytałam Dave’a Cullena, jak widzi przyszłość NRA i czy Wayne LaPierre nie ma jednak siły i wpływu, by wycofać ruch aktywistów spod znaku *anti-gun*. Odpowiedział: „Przewidywanie przyszłości to zawsze niebezpieczna zabawa. Zawsze istnieli i będą istnieć »drugopoprawkowi absolutyści«, ale zdecydowana większość konserwatywnych wyborców, w tym posiadacze imponujących arsenałów, zaczęła sygnalizować, że jest gotowa przesunąć się w debacie ze skrajnej pozycji ku środkowi. Nie mam podstaw myśleć, że to tylko kaprys, raczej jedna z tych sytuacji w polityce, gdy ruch kilkorga uruchamia lawinę i po chwili już wszyscy zaczynają biec w tym samym kierunku. A to wszystko dzięki garstce odważnych, zdeterminowanych nastolatków. Nie do uwierzenia!”.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Problem poważniejszy niż „1000 zł na miesiąc”

Czy jesteśmy na tyle mądrzy, by wiedzieć, że musimy gruntowniej się uczyć?

Bogdan Galwas

Piszę te słowa w czasie, gdy pół miliona nauczycieli w moim kraju żyje w napięciu. Niektórzy już podjęli, inni właśnie w desperacji podejmują decyzję na „tak” lub „nie” o udziale w ogólnokrajowym strajku. Oni wraz z rodzinami to pewnie 2 mln osób, teraz żyjących w stresie. Pozostali – 35 mln – przyglądają się nadchodzącym wydarzeniom z mieszanymi uczuciami. Bardzo, bardzo wielu solidaryzuje się z nimi. Nie wiem, czym się zakończy starcie nauczycieli z rządem. Nie mogę im pomóc, choć jestem z nauczycielami, moimi kolegami po fachu, sercem i myślami. Mogę jedynie zabrać głos w wielkiej dyskusji o roli i wadze systemu kształcenia. To, co się dzieje i wkrótce wydarzy w obszarze tego wielkiego sporu, jest skutkiem zbyt niskiej pozycji, jaką społeczeństwo wyznaczyło w naszym kraju systemowi kształcenia.

Gdzie tkwi źródło sporu? Otóż nauczyciele zażądali podwyżki „1000 zł na miesiąc”. Mówią, że są rozżaleni niskim poziomem swoich płac i zde-

Wydarzenia ostatnich dekad powinny zwrócić uwagę naszego społeczeństwa na zasoby, jakie posiadamy. Bierzemy – chcemy czy nie – udział w wyścigu gospodarek i technologii w Europie i na świecie, w rankingu poziomów życia. Wiemy, że 2,5 mln Polaków opuściło w ostatnich dekadach nasz kraj w poszukiwaniu lepszych warunków życia. Tylko nieliczni wrócą. Powinniśmy stworzyć w Polsce takie warunki, by nasze dzieci i wnuki chciały tu żyć i na lepsze życie pracowały nad Wisłą. Jakie mamy atuty w tym trudnym wyścigu, co jest naszym silnikiem/paliwem, na czym oprzeć starania o lepszą przyszłość? Ostatnio wysoko postawiony polityk powiedział, że naszym skarbem jest węgiel, inny wspominał o miedzi. Ktoś miał nadzieję na gaz łupkowy, ale gazu nie ma. Wiemy już, że nie możemy oprzeć naszej gospodarki na węglu. Politycy twierdzący coś innego albo są źle poinformowani, albo kłamią. Najwyższy czas, byśmy wszyscy dostrzegli, że na naszych surowcach nie można oprzeć przyszłości. Nie będziemy nigdy w sytu-

użył klucza „1000 zł na miesiąc”. W rzeczywistości chodzi nie tylko o pensję, chodzi o rolę i znaczenie, a w dalszej perspektywie o jakość systemu kształcenia w naszym kraju.

Dodam trochę argumentów. Społeczeństwa państw światowej czołówki, z PKB *per capita* powyżej 25 tys. dol. rocznie, rozbudowały wielkim nakładem środków i pracą wielu pokoleń kosztowne, dysponujące wielkim majątkiem i ogromnym budżetem, bardzo sprawne systemy edukacyjne, prowadzące młodych obywateli po szczeblach wiedzy i umiejętności od przedszkola po studia doktoranckie. Działanie tych systemów oparte jest na złożonych uregulowaniach prawnych, wypracowanych mechanizmach kształcenia i awansowania kadry na własne potrzeby. Obywatele tych państw uznali, że jakości systemów edukacyjnych należy – nie szczędząc nakładów – poświęcić najwięcej uwagi, aby zapewnić społeczeństwu pomyślną teraźniejszość i bezpieczną przyszłość. Stwierdzili, że system edukacji, którego zwieńczeniem są uniwersytety i szkolnictwo wyższe, jest najważniejszą strukturą państwa, jego stan i jakość są miarą międzynarodowej pozycji i przyszłości kraju. Tylko dwa inne systemy utworzone przez społeczeństwa mogą się równać z nim wagą, złożonością i kosztownością: system ochrony zdrowia i armia. Jednak najważniejszy jest system edukacyjny, gdyż bez niego nie sposób zorganizować na właściwym poziomie dwóch pozostałych. Niebezpieczeństwo wojny i utraty niepodległości, klęski głodu, wielkie epidemie, kataklizmy i trzęsienia ziemi mogą na krótko przesunąć problemy edukacji społeczeństwa na dalszy plan. Nie jesteśmy w takiej sytuacji. System kształcenia także w naszym kraju jest fundamentem jego pomyślności i bezpieczeństwa.

Społeczeństwa krajów światowej czołówki uznały, że system edukacji jest najważniejszą strukturą państwa.

sperowani. Wynagrodzenia pracowników w naszym kraju rosły w ostatnich latach. Pensje nauczycieli też wzrosły, ale znacznie mniej. Podawane są różne oceny tego wzrostu. Czytam w prasie artykuł, w którym autor, powołując się na dane GUS, pisze: „W ostatnich latach, licząc od 2012 r., wzrost wynagrodzeń nauczycieli wyniósł 374 zł, czyli 12%. W tym samym czasie średnia krajowa wzrosła o 1063 zł”. Przyjmuję te liczby za prawdziwe i chcę się oddalić od dyskusji opartej na liczbach, gdyż problem jest znacznie poważniejszy.

acji Kataru i Arabii Saudyjskiej, by budować nasz dostatek na surowcach naturalnych. Najwyższy czas uświadomić sobie, że nasz dostatek i pomyślność można oprzeć jedynie na pracy, umiejętnościach i wiedzy. To, co napisałem, jest oczywistością, bardzo wielu z nas podziela ten punkt widzenia. Jesteśmy pracownicy, podejmujemy pracę i możemy pracować nawet więcej niż inni. Czyżby naszym problemem był niski poziom wiedzy i umiejętności? Tak właśnie jest! Szef ZNP usiłuje nam to powiedzieć i aby do nas dotrzeć,



Protest nauczycieli i pracowników oświaty, Katowice, 12 marca br.

tycy ekipy sprawującej władzę przekonują nas, że poza przekopem mierzei i Fortem Trump pozostaje nam wzywianie zagranicznego kapitału, by przybywał. Rzecz nie tylko w tym, że w rozwoju gospodarczym jesteśmy opóźnieni w stosunku do krajów Zachodu, jesteśmy opóźnieni w myśleniu o zmieniającym się świecie, w podejmowaniu decyzji o kierunkach działania, o tym, co jest autentycznie dobre dla nas, a co nam zaszkodzi.

Nauczyciele rzucili hasło „1000 zł na miesiąc”, widząc w nim ratunek przed postępującą degradacją systemu kształcenia. Jednocześnie wiedząc, że wołania o wieloletni program jego naprawy

i poprawy jakości nie znajdą rezonansu w świadomości społeczeństwa. Trzeba być dobrze wykształconym, by zrozumieć, że trzeba wiedzieć więcej.

Nie ma miejsca na obszerne scharakteryzowanie systemu edukacji, który powinniśmy jak najszybciej tworzyć. Należy go uznać za najważniejszy w państwie. Kształcenie dzieci i młodzieży należy powie-

Jak ocenić stan wiedzy, świadomości i wykształcenia naszego społeczeństwa? Można znaleźć wiele parametrów liczbowych, które opisują go z pewnym przybliżeniem. Popatrzmy jednak na siebie z innej strony – obrazem naszej wiedzy, poziomu wykształcenia jest stan naszego państwa. Mądry urzędnik wysokiego szczebla stwierdził, że jesteśmy państwem teoretycznym, źle zorganizowanym. Źle oceniamy organizację służby zdrowia, systemu edukacyjnego, systemu podatkowego, wiele uregulowań prawnych. Nie będę mnożył przykładów. Nasze państwo nie jest dobrze zorganizowane.

Obrazem stanu naszej wiedzy są decyzje, które społeczeństwo podejmuje w trakcie wyborów. Nie jest to obraz budujący. Na najwyższe stanowiska wybieramy ludzi, którzy nie radzą sobie potem z obowiązkami, nawet o tym nie wiedząc. Liderzy polityczni proponują nam głosowanie na kandydatów o miernych umiejętnościach, powierzchownie lub źle wykształconych. Jako wyborcy powierzamy kapitańskie stanowiska ludziom, którzy nie wiedzą, w którą stronę skierować nawę naszego państwa. Znają tylko jedną dewizę: jak najdalej od Rosji, jak najbliżej USA. To niewiele w czasach wielkich przemian cywilizacyjnych.

O stanie naszej wiedzy świadczy poziom dyskusji toczonych przed

kamerami telewizji. Najczęściej są to sprzeczki i niekończące się kłótnie o błahe sprawy. Bardzo rzadko omawiane są sprawy rzeczywiście dużej wagi. Pamiętajmy jednak, że jakość debaty to miara nie tylko umiejętności dyskutantów, ale także oczekiwań słuchaczy.

Na koniec należy powiedzieć kilka słów o modelu państwa i ustroju demokratycznego, który wprowa-

Liderzy polityczni proponują nam głosowanie na kandydatów miernych, powierzchownie lub źle wykształconych.

dzamy od kilku lat w naszym kraju. Ostatnie lata pokazały nam, jaki typ/rodzaj/odmiana ustroju wewnętrzznego, model demokracji i polityki zagranicznej wyrastają na gruncie naszej wiedzy i poglądu na świat. Tak wyobrażamy sobie demokrację, rządy prawa, sprawiedliwość społeczną, model ustroju państwa, wzorce wychowania i myślenia obywatelskiego. To właśnie jest aktualnym świadectwem naszej wiedzy i stanu świadomości. Aby nie było wątpliwości: to, co napisałem, jest przyganą, a nie pochwałą.

Wielu ludzi bardzo krytycznie postrzega nasze możliwości analizowania i diagnozowania warunków zmieniającego się świata, możliwości podejmowania właściwych decyzji gospodarczych i politycznych. Poli-

czyć najzdolniejszym z nas, ludziom starannie wybranym, dobrze wyposażonym w potrzebne narzędzia, nieprowadzącym gier i gier politycznych. W systemie takim nie ma miejsca na coroczne dobijanie się o budżet na następny rok.

Jeden z polityków słusznie dostrzegł, że nasz kraj tkwi w pułapce średniego rozwoju. Jeśli nie odkryjemy wielkich zasobów gazu łupkowego, to jedyne wyjście z pułapki prowadzi przez edukację. Trzeba zadać na koniec pytanie: czy jesteśmy na tyle mądrzy, by wiedzieć, że musimy gruntownie się uczyć?

Bogdan Galwas jest emerytowanym profesorem Wydziału Elektroniki i Technik Informacyjnych Politechniki Warszawskiej i wieloletnim członkiem Komitetu Prognoz PAN

SĄD, RELIGIA I POKEMONY

Jeśli 5 kwietnia sąd nie podejmie decyzji, możliwe, że Julia będzie zmuszona przystąpić do pierwszej komunii



Beata Bialik

Julia* jest w trzeciej klasie i nie wierzy w Boga. Nie ma go w niebie, specjalnie sprawdzała, lecąc samolotem. Na lekcjach religii się nudzi, wołałaby – jak wcześniej – spędzać je z koleżanką w świetlicy. Ale chodzić na katechizację musi, bo kazał jej sąd.

Katarzyna i Andrzej nie byli religijnym małżeństwem. Nie przyjmowali księdza, a w kościele przez 15 lat byli cztery razy. Na ślubach znajomych, pogrzebie i chrzcinach córki. Zresztą co to był za chrzest, odbył się rok po urodzeniu Julii, za namową dziadka. Umierał, chciał chrzcić prawnuczkę przed śmiercią, więc się zgodzili. Wigilia? Po prostu była. Wolne od pracy, jakieś karpie na przyjazd teściów. – Zanim założyliśmy rodzinę, Katarzyna mówiła, że dzieciom w kwestii religii będzie dawała wybór – wspomina Andrzej. – Po rozwodzie zmieniła zdanie.

Po rozstaniu rodziców sześciolatka wtedy Julia zamieszkała z ojcem. To on prowadził ją do logopedy i na zajęcia z robotyki, odwoził do mamy. Za namową byłej żony zgodził się też na religię, choć jest ateistą.

Tak było do września, bo w trzeciej klasie Julka zdecydowała, że na religię chodzić nie zamierza. Nie chciała słyszeć o pierwszej komunii. Do listopada na katechizację chodziła w kratkę – tata wypisywał ją z zajęć, mama zapisywała i tak w kółko. Nie mogli się dogadać, więc Katarzyna poszła do sądu.

Sędzia stanęła po stronie matki. W wydanym zabezpieczeniu uznała, że niechęć do religii nie jest wyrazem przekonań dziewięciolatki, a jedynie powieleniem opinii jej ojca. Dziewczynka jest za młoda, żeby znać zapisy Kodeksu karnego, nie może wiedzieć, że nie wierzy w Boga. Zdaniem sądu wobec trudności interpersonalnych Julia nie powinna być stawiana w sytuacji bycia odmienną, a uczęszczanie na lekcje religii może jej pomóc w integracji z rówieśnikami.

KALIGRAFIA NA KATECHEZIE

Ale czy pomaga? Wątpi w to Ewa Dziecioch, pedagog z Gabinetu Psychologicznego w Skierniewicach, pod opieką którego od 2015 r. znajduje się dziewczynka. Julia okazuje bunt przeciwko zaistniałej sytuacji. Chowa się pod stół w świetlicy, ucieka do łazienki i przejawia brak zainteresowania religią.

Matka jednak deklaruje wiarę i zobowiązuje się przygotować dziecko do pierwszej komunii. Z córką widuje się nieregularnie, raz na kilka tygodni.

Problem ma więc też szkoła. Julia nie zna prawd wiary, a zgodnie z nauką Kościoła katolickiego jest to warunek przystąpienia do sakramentu Eucharystii. Katechetka stara się trzymać od sprawy z dala, ale musi się zastosować do decyzji sądu. Zanim sprawdzi zeszyt, telefonuje do ojca z prośbą o zgodę. Nie chce stawiać dziewczynce jedynek, dlatego Julia z religii dostanie ocenę opisową.

Ewa Błahuta, dyrektor Szkoły Podstawowej nr 1 w Grodzisku Mazowieckim, rozkłada ręce: – Nie mamy żadnych narzędzi w takich sytuacjach. Dlatego do sprawy podeszliśmy z ogromnym zrozumieniem, nikogo nie wartościując. Julia w trakcie katechezy wykonuje inne zadania, tak ustaliliśmy z tatą.

Wcześniej w trakcie modlitwy na lekcjach Julia wpadała w histerię. Teraz, gdy katechetka tłumaczy, jak opłatek zamienia się w ciało Chrystusa, ćwiczy kaligrafię.

NIE ZAZDROSCZCĘ SĄDOWI

O tym, że sąd kazał Julce chodzić na religię, rozpisywały się media. W sprawę zaangażowali się Piotr Pawłowski, prawnik z inicjatywy Świeckiej Szkoła, Fundacja Wolność od Religii oraz Polskie Towarzystwo Prawa Antydyskryminacyjnego. Nad przystąpieniem zastanawia się też rzecznik praw obywatelskich. Przyznaje, że z podobnym problemem dotychczas się nie zetknął, choć tematem zajmuje się od kilkunastu lat. Były spory o krzyż w sali lekcyjnej, o brak etyki w placówkach czy kreskę z religii na świadectwie szkolnym, co skończyło się wyrokiem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, ale żeby sąd decydował w sprawach duchowych, to nie.

– Mamy dwoje rodziców. Jeden rodzic chce, drugi nie, a dziecko jest pomiędzy – komentuje Mirosław Wróblewski z biura RPO. – Nie zazdroścę sądowi rozstrzygania tego typu sporu, natomiast gdy czyta się tę decyzję, widać, że akcenty założone są inaczej niż w konstytucji. W wielu szkołach czy przedszkolach przyjęte jest domniemanie, że wszyscy uczestniczą w lekcjach religii. Sąd wychodzi z podobnego założenia. Dlatego względy proceduralne budzą nasze wątpliwości. Ja bym chciał wiedzieć, co o sprawie sądzi biegły, a z uzasadnienia wynika, że przesłuchanie nie trwało zbyt długo. Czy taka jedna rozmowa jest wystarczająca, by rozstrzygać o wolności sumienia i wyznania osoby małoletniej? – zastanawia się. – Mam wewnętrzny opór przeciwko mieszaniu się państwa do tego typu spraw. Państwo powinno się zachowywać neutralnie.

ONA TEGO NIE CHCE

I jak pokazuje historia Joanny Łachy i jej córki Oli, jest to możliwe. Batalię o ustalenie, czy wychowywać dziecko w wierze, czy nie, Joanna toczyła z byłym mężem przed pięcioma laty. – Sprawa była precedensowa, a wątków zawierała kilka – opowiada. – Mąż przedstawiał dowody. Na przykład taki, że mówię do córki

Sędzia uznała, że dziewięcioletka nie może wiedzieć, że nie wierzy w Boga.

„aniołku”, choć jestem niewierząca – wspomina. Sędzia nie wiedziała, co zrobić, decyzję przesuwano na kolejne rozprawy. Po dziewięciu miesiącach oddaliła wniosek.

Teraz Joanna kibicuje sprawie małej Julki. Jak wielu komentuje go w internetowej grupie dla ateistycznych rodziców, dzieli się doświadczeniem. Argument sądu o odmienności niewierzących dzieci ją bawi. – W pierwszej klasie Ola była jednym z dwojga dzieci niechodzących na religię w całej szkole. Były pytania o wiarę, jakaś babcia straszyla ją piekłem. W drugiej klasie zaczęły się telefony od matek, że dzieci zazdroścą Oli. Teraz córka ma 10 lat,

jest przewodniczącą klasy. Jak religia jest środkową lekcją, chodzi na angielski z inną grupą. Nigdy nie czuła się wyobcowana. Gdy na komunii koledzy dostawali quady i rowery, my przedłużyliśmy sobie majówkę. Potem każdy w klasie miał co wspominać i było fajnie.

Zabezpieczenie w sprawie Julii sąd w Grodzisku Mazowieckim miał wydać na miesiąc, jednak planowaną na grudzień rozprawę przesunięto w związku ze strajkami sądów. W tym samym sądzie równolegle toczą się postępowania o opiekę nad dziewczynką. Ojciec boi się, że konflikt wiary odbije się na dziecku. Wspierają go środowiska ateistyczne z całej Polski. By optać prawnika, uruchomili zbiórkę pieniędzy w internecie, dostępna jest pod adresem: zrzutka.pl/fct2ha. – Mnie nie przeszkadza, czy ona na tę religię chodzi, czy nie. Ważne jest dla mnie, że córka tego nie chce – przekonuje.

Kolejne posiedzenie odbędzie się 5 kwietnia. Jeśli nie przyniesie rozstrzygnięcia, mama Julii może szykować komunii. Dziewczynka słyszeć o tym nie chce. Nie lubi białego, wołałaby tężową sukienkę. W zeszycie do religii oprócz ćwiczenia literek rysuje pokemony.

Beata Bialik

*Imiona dziewczynki i jej rodziców zostały zmienione



Wyślij SMS o treści HONORATA pod numer 74567 i pobierz tapetę (koszt 4,92 zł z VAT)

Theodor Adorno pisał, że Oświęcim zaczyna się wszędzie tam, gdzie ktoś patrzy na rzeźnię i myśli: to tylko zwierzęta. Targi koni, spedy i skupcy koni rzeźnych. Krzyk, szarpanie, poganianie batem. Uprzedmiotowanie. Oto Polska. XXI wiek. Kraj, którego konie wiozły żołnierzy do zwycięstwa na swych grzbietach. Dziś odarte z godności, zniewolone. Warte tyle, ile da się na nich zarobić.

Siwa Honorata nie zna naszej przeszłości. Nie słyszała o Kasztance Piłsudskiego ani o innych koniach, które odcisnęły swoje kopyta na kartach naszej historii. Kiedyś znalazła swoją stajnię, w której się urodziła. Dziś zna już tylko oborę handlarza.

Z cienką liną na głowie, z sierścią oblepioną starym obornikiem, z rezygnacją w oczach stoi siwa Honorata i nie czeka już na nic. Handlarz zachwala, jaka to doskonała klacz, my widzimy bledne, zaleknione zwierzę z pokrzywionymi nogami. Honorata ma wadę budowy i najpewniej z tego powodu została skazana na rzeź. Nie nadaje się na matkę, bo może przekazywać wadę budowy, nie nadaje się do ciężkiej pracy, bo takie nogi odmówią jej posłuszeństwa. Prędzej czy później.

Honoratka jest dużym, kilkuletnim koniem. Koniem, który nie znajdzie innego nabywcy, niż rzeźnia. Cena jej życia to 3900 zł. potrzebne są też środki na transport.

Mamy czas do 25 kwietnia, by ją odkupić i podarować jej życie. Bardzo prosimy, wesprzyj Honoratę w jej walce o życie. To jedyna szansa dla niej, drugiej już nie dostanie.

Możesz pomóc dokonując darowizny z tytułem HONORATA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488, www.centaurus.org.pl

FUNDACJA
CENTAURUS

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkkm>

SĄD PRZEKROCZYŁ GRANICĘ

Zmuszając dziecko, które nie chce uczęszczać na religię, do udziału w tych zajęciach, sąd ogranicza jego prawa

Rozmawia Beata Bialik

Czy sąd mógł zadziałać inaczej?

– Postanowienie o zabezpieczeniu jest narzędziem siły, na jego mocy sąd nakazuje robienie czegoś, więc wystarczyło go nie wydawać. W tym wypadku bulwersuje fakt, że sąd całkowicie pominął autonomię i wolę dziecka. Widać to w tonie postanowienia i innych pism. Sąd posługuje się opinią psychologa, ale na mocy konstytucji powinien w granicach wieku i dojrzałości dziecka kierować się właśnie jego opinią. To trudny temat, bo wkraczamy w sferę oceny. Trzeba stwierdzić, czy dziecko jest na tyle świadome, żeby samodzielnie podjąć decyzję.

Stwierdzenie, że osoby niereligijne trzeba asymilować, depcze fundamenty naszego państwa.

Zdaniem sądu dziewięcioletnie dziecko nie jest.

– Ale proszę popatrzeć, jaka jest linia argumentacji. Zarówno sędzia, jak i psycholog przyjęli, że dziecko jest pod wpływem ojca i powtarza jego poglądy. Tymczasem to jemu zaufał sąd, jemu powierzył codzienną opiekę nad córką, więc kwestionowanie tego, że teraz on przekazuje jej swoje wzorce zachowań i światopoglądu, jest niekonsekwencją. Miejsce zamieszkania dziecka jest przy ojcu i wierzę, że ta decyzja nie wzięta się z przypadku. To złamanie pewnej racjonalności, sytuacja staje się nielogiczna.

Ale matka ma prawo współdecydowania o ważnych rzeczach w życiu dziecka. Nie została pozbawiona praw rodzicielskich.

– Oczywiście drugi rodzic ma swoje prawa, ale dziecko zostaje przy ojcu i to on jest dominującym opiekunem. I nagle, gdy sprawa dotyczy religii, sąd tłumaczy wszystko na odwrót. Tym razem mówi: drogi rodzicu, nie podoba nam się światopogląd, w jakim kształtujesz dziecko,

PIOTR PAWŁOWSKI

– prawnik i inicjator projektu Świecka Szkoła

wolimy ten drugi. To brak spójności w linii postępowania sądu wobec tej rodziny i wobec dziecka.

To trudna materia. Czy ma jasne umocowanie w prawie?

– Ten sąd posługuje się przepisami, które są niejednoznaczne. Wystarczy spojrzeć na art. 194 kk, który mówi o ograniczaniu praw obywatela ze względu na wyznawanie religii albo światopogląd niereligijny. Czyli zgodnie z tym artykułem sąd, zmuszając dziecko, które nie chce uczęszczać na religię, do udziału w niej, ogranicza jego prawa. To jest akt władzy, który wkracza w swobodę bezwyznaniowości chronioną przez Kodeks karny. Konstytucja także rodzi problem w interpretacji. Jest w niej zapis, że nikt nie może być zmuszany do praktyk religijnych albo do nieuczestniczenia w nich. Wolność wyznania albo braku wyznania jest jasno skodyfikowana. Warto się zastanowić, czy takie postanowienie sądu nie łamie konstytucji. W końcu sąd zmusza obywatela do uczestniczenia w praktykach religijnych. Najbardziej boli tutaj zdeptanie praw tego dziecka. Dyskusja, czy ono jest, czy nie jest pod wpływem i czym konkretnie, nie ma sensu.

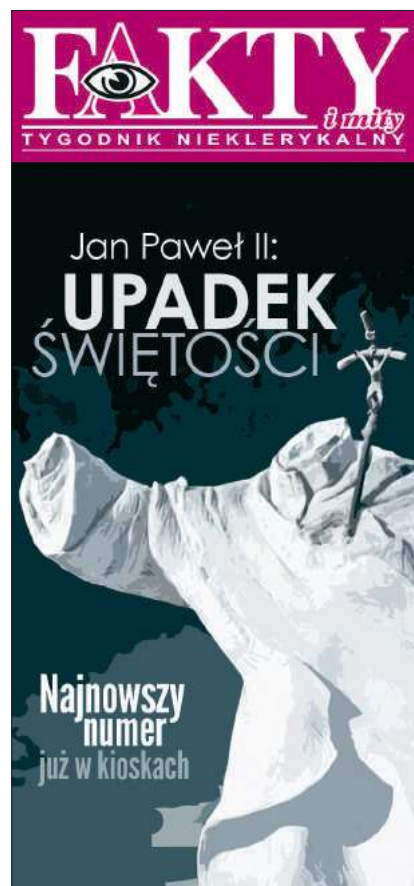
Boli także uzasadnienie, w którym sąd stwierdza, że brak uczestnictwa w zajęciach z religii stawia dziecko w sytuacji bycia odmiennym.

– Uzasadnienie postanowienia jest świadectwem pogardy dla odmienności. Kompletnego niezrozumienia swobody przekonań i braku szacunku dla różnorodności. A ten szacunek wyraża się właśnie przez akty prawne. Stwierdzając, że odmiennosc jest zła, że osoby niereligijne trzeba asymilować, sąd depcze fundament, na którym zbudowane jest nasze państwo. Bo cokolwiek by o nim są-

dzić, jesteśmy państwem świeckim, chroniącym różnorodność. Sąd przekroczył granicę, której nie powinien nigdy przekroczyć.

Czy usunięcie religii ze szkół rozwiązałoby problem?

– To uwolniłoby dyrektorów i nauczycieli od presji, bo ci ludzie są w takich sytuacjach bezradni. Ale to byłoby za proste. Nie rozwiązałoby problemu po rozwodach i separacjach. Całkowite i trwałe rozwiązanie tego problemu jest niemożliwe. Maksymalnie pogłębiona analiza, opiniowanie przez kilku psychologów, rozwiązania mediacyjne, które w Polsce wciąż są słabo wdrażane, zmusiłyby rodziców do współpracy, do kompromisów. Stosowane przez sąd rozwiązania zamiast dialogu wspierają konflikt. ■



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

W naszym świeckim, postępowo-mądrościowym kalendarzu liturgicznym czas na święto ważne, acz smutne, kto inny powie zbędne, a inny złośliwie: samiście sobie to święto uczynili. To dzień czy raczej moment, ów czas, kiedy jak co roku, od lat, Biblioteka Narodowa ogłasza wyniki swoich misyjnych badań o czytelnictwie; kto inny bąknie: chyba o analfabetyzmie, o czytaniu jako bólu fantomowym warstwy znanej kiedyś pod ksywką inteligencja (w tym, nie zapominajmy, inteligencja pracująca, gdyż zwyczajowo nie była do tego zmuszana). Nasz ulubiony raport, który inspirował do załamywania rąk, przewracania oczyma, wściekłego tupania lub pełnego smętnej zadumy milczenia, zapowiedziany został we wstępnym omówieniu Izabeli Koryś i Romana Chymkowskiego tutaj: bn.org.pl/download/document/1553593649.pdf.

niż 1000 (słownie tysiąc) książek. No bo i po co? Chociaż np. w Japonii istnieje osobny termin opisujący zjawisko ich obecności na półkach (półki to tradycyjne meblowe formacje poziome, często wykonane z drewna, służące do zapewnienia miejsca pobytu przedmiotom wytworzonym z papieru, zwanym książkami) i nie tylko. *Tsundoku*, czyli gromadzone stosy nieprzeczytanych książek, to pewien przekaz pozytywnej treści, a nie wyrzutu sumienia (nie przeczytałem, zawałem, nie wiem), to jakby wyznanie wiary, że wciąż chcę się czegoś dowiedzieć, że wciąż drażni mnie ciekawość świata, którą może zaspokoić tylko lektura, że otoczony czekającymi na lekturę książkami – wciąż żyję.

W mojej bańce internetowej normą jest szyderzenie z tych, którzy corocznie święto ogłoszenia raportu o czytelnictwie/analfabetyzmie przyjmują ze smutkiem.

Nie czytać – źle, czytać – jeszcze gorzej

Wskaźniki raczej stoją w miejscu, nieczytanie ma dobrą, stabilną pozycję. „W 2018 r. czytanie przynajmniej jednej książki w ciągu roku zadeklarowało 37% respondentów”. Pozostałe 63% rodaków i rodaczek (choć wśród czytających wyraźnie dominują kobiety – tu zapraszam do samodzielnej lektury danych, tabel i wykresów, wszystko w oczekiwaniu na całościowy raport) nie ma za sobą tego traumatycznego przeżycia, ekstatycznych chwil, dojmujących odkryć, fatalnych zauroczeń – krótko mówiąc, kontaktu z książką.

Kontakt z książką jeszcze oczywiście nie oznacza zbliżenia o charakterze czytelniczym, książki mogą odgrywać rolę wspornikową, obciążeniową, dekoracyjną, w tym roku przebojem weszły do światowej mody, czytamy o tym w Glamour.pl (coż, maniacy, islamici i faszysti czytania zawsze znajdą coś do przeczytania, choć jest trudniej, odkaś na pudełkach od zapalek, których nie używamy, tekstu coraz mniej...). Otóż „Wszystko zaczęło się podczas ostatniego Fashion Weeku w Mediolanie, kiedy to obie siostry Hadid zostały sfotografowane, trzymając w rękach ulubione lektury. Zagraniczne media od razu podchwyciły temat i uznały Bellę oraz Gigi za prawdziwe trendsetterki, a książkę w dłoni okrzyknęły mianem najmodniejszego dodatku nadchodzących miesięcy”. Było: „Nie czytasz – nie idę z tobą do łóżka”. Jest: nie trzymasz w ręku książki, nie idę z tobą na Fashion Week w Mediolanie, Paryżu, Nowym Jorku. A co będzie? Nie masz książki w trumnie, nie idę na twój pogrzeb?

Nie masz książek w domu – świetnie! Bo jeden nowojorski staruszek miał ich tyle, że właściciel chce go wyeksmitować. Mieszkanie to nie biblioteka, pamiętajcie o tym. Ale wygląda na to, że akurat tę lekcję Polacy odrobili dobrze, zaledwie ok. 1% rodaków i rodaczek ma w domu więcej

niż 1000 (słownie tysiąc) książek. No bo i po co? Chociaż np. w Japonii istnieje osobny termin opisujący zjawisko ich obecności na półkach (półki to tradycyjne meblowe formacje poziome, często wykonane z drewna, służące do zapewnienia miejsca pobytu przedmiotom wytworzonym z papieru, zwanym książkami) i nie tylko. *Tsundoku*, czyli gromadzone stosy nieprzeczytanych książek, to pewien przekaz pozytywnej treści, a nie wyrzutu sumienia (nie przeczytałem, zawałem, nie wiem), to jakby wyznanie wiary, że wciąż chcę się czegoś dowiedzieć, że wciąż drażni mnie ciekawość świata, którą może zaspokoić tylko lektura, że otoczony czekającymi na lekturę książkami – wciąż żyję.

W mojej bańce internetowej normą jest szyderzenie z tych, którzy corocznie święto ogłoszenia raportu o czytelnictwie/analfabetyzmie przyjmują ze smutkiem.

Coś w tym jest lub bywa, podobnie jak nietrafiona czy przestrzelona jest to ocena. Skądinąd wiemy... ale co tam, o tym sobie przeczytajcie lub nie – sami, same.

Sama Biblioteka Narodowa ustami (palcami na klawiaturze) autorów wstępu do raportu wrzuca jedną tezę radykalną i odbiegającą od stereotypowych wyobrażeń o czytaniu i jego konsekwencjach. Czytamy, że wśród przyczyn niezwiększania się czytelnictwa jest „niewielkie przełożenie czytania książek w dorosłym życiu na powodzenie na rynku pracy” oraz to, „że za sprawą przemian w dziedzinie technologii komunikacji książki nie są dziś jedynym źródłem wiedzy i informacji”. Mamy więc fenomen powszechnego, w skali globu, czytania (i pisania) z równoczesnym odrzuceniem tradycyjnej książki (papier czy e-book, jeden pies czy tom). Czy można zrozumieć świat, czytając SMS-y, oglądając memy, przerzucając Instagram, Twitter czy Facebook? Statystyki mówią, że tak się dzieje. Ale oczywiście historię, znaczenie i analizę tej formy źródeł wiedzy przeczytamy kiedyś tylko w jakiejś książce.

Kiedy przeprowadzałem się przed kilkoma laty, chłopaki, widząc, co ich czeka (trzy tony książek w kartonach), tylko jęknęli: „Raz w roku nam się taki trafia”. Raport Biblioteki Narodowej świętuję więc w osamotnieniu liczącym w promilach. W promilach obywateli z podobnymi lub większymi bibliotekami domowymi, poza którymi, wydaje się, nie ma życia, chyba że trzeba zapracować na nie rękami. Wtedy już oczy nie dają rady.

Rozmawia Artur Zaborski

We „Wspomnieniu lata” grasz pełne emocji sceny z twoim filmowym synem, w którego wcielił się debiutujący Max Jastrzębski. Matkowałeś mu poza ekranem?

– Musiałam być czujna, żeby tego nie robić. Od kiedy tylko się poznailiśmy, mimo różnicy doświadczeń i lat, opieraliśmy się na relacji partnerskiej, bardzo szczerzej, otwartej. Nie mogłam wchodzić w rolę matki poza planem, bo nasza filmowa relacja była pokomplikowana, a postać, którą grałam, jako matka popełniała wobec syna sporo błędów. Kamera zarejestrowała go w ciekawym momencie życia – na etapie przełomu, dziecka na progu dorosłości.

Sama masz syna w podobnym wieku.

– Mój syn jest młodszy o dwa lata, ale dzięki niemu miałam dużą świadomość tego, w jakim okresie życia jest Max. Wiedziałam, co może być dla niego ważne. Jednak podeszłam do niego z ciekawością nie tylko jako do nastolatka, ale przede wszystkim człowieka. W odróżnieniu od mojego syna Max wcale nie jest tak otwarty, trzeba do niego dotrzeć. To był niezwykle intrygujący proces.

Twój syn był z tobą na planie?

– Raz jeden go zabrałam, kiedy kręciliśmy plener w Częstochowie. Odtwarzaliśmy akurat wygląd ulicy z lat 70. – jeździły nią samochody i autobusy, których już nie ma, więc dla chłopaków to była atrakcja. Właśnie wtedy się poznali. Na początku byli wobec siebie ostrożni i nieufni.

Ostatecznie dogadali się?

– Tak, z tym nie było problemu, natomiast coś nieplanowanego stało się na Warszawskim Festiwalu Filmowym, kiedy zabrałam syna na premierę. Był zaszokowany matką, którą zobaczył na ekranie. Nie spodziewał się, że mogę być kimś tak niedobrym. A ja nie przewidziałam, że moje dziecko, mimo świadomości fikcji, oglądając film, tak osobiście będzie na mnie patrzyło. Nie przyjął też zbyt dobrze mojego wyrazu twarzy na ekranie, często złośliwego. Podczas jakiegoś domowego zgrzytu Antoni wytknął mi, że mam takie same oczy jak na filmie.

Zabolało cię to?

– Antoni jest inteligentnym chłopakiem, zresztą robi się z niego

Żeby kogoś zapalić, trzeba samemu płonąć

W układzie mąż-aktorka-film zawsze ktoś cierpi



świetny facet. Ale mówimy o Antku sprzed ponad dwóch lat. Miał świadomość tego, jaki zawód wykonuję, wiedział, że udaję kogoś innego na ekranie. Ale okazało się, że czym innym jest wiedzieć, a czym innym

Urszula Grabowska – od 2000 r. związana z Teatrem Bagatela w Krakowie. Najbardziej znana z tytułowej kreacji w „Joannie” Feliksa Falka, za którą wyróżniono ją m.in. nagrodą Orła w 2011 r. Do kin weszło „Wspomnienie lata” w reżyserii Adama Guzińskiego, w którym zagrała kolejną główną rolę.

doświadczyć. Seans zrobił na nim piorunujące wrażenie.

Może to dlatego, że dotąd grałaś raczej postacie, których intencje i moralność nie budziły wątpliwości?

– Tak też może być, ten akurat film jest opowiadany z perspektywy dziecka. Patrzymy na wydarzenia z punktu widzenia dojrzewającego chłopaka, kiedy zmysły są niezwykle wyostrożone. My we „Wspomnieniu lata” proponujemy skalę emocji, która na potrzeby filmu została wyolbrzymiona.

Sytuacja filmowego dziecka jest nie do pozazdroszczenia: ojciec na emigracji, matka przeżywa niespełniony romans, chłopiec dojrzewa.

– Ten film działa na ciebie, bo jak każda dobra historia jest oparty nie na doraźnych problemach, tylko na uniwersalnych, wspólnych dla wszystkich, niezależnie od czasów, w których przyszło nam dojrzewać. Ja jednak widzę pewne różnice między bohaterami wtedy a dziś. Teraz mamy przynajmniej iluzję pozostawania w ciągłym kontakcie, poprzez komórki, Skype’a i inne narzędzia komunikacji. Możemy się kontaktować z bliskimi codziennie. W latach 70., kiedy toczy się akcja filmu, na telefon od męża na saksach wyczekiwało się tygodniami, a połączenie było tak drogie, że trwało maksymalnie kilka minut. Doskonale pamiętam z dzieciństwa w latach 80., jak w bloku telefon miała jedna sąsiadka, do której, dzięki jej uprzejmości i jedynie w ważnych sprawach, biegało się dzwonić. Na własny telefon czekało się jak na zbawienie, był obietnicą lepszych czasów, łatwiejszego życia. Adam Guziński, reżyser i scenarzysta, umiejscowił akcję w tamtym czasie, aby m.in. uwypuklić to poczucie osamotnienia.

Dla ciebie ten film również stał się konfrontacją z własną przeszłością?

– Myślałam o wielu sprawach, których nie zauważałam jako dziecko, choćby o patriarchacie, tak żywym i silnym w czasie mojej młodości. Wtedy najczęściej to ojciec zarabiał na utrzymanie rodziny, matka zajmowała się domem. W związku z tym mężczyzna był często nieobecny. Mnie uderzyło, że filmowy ojciec był nieobecny zupełnie. Istniał w świadomości zwłaszcza syna, był żywy w jego tęsknocie, ale brakowało go w codzienności. Dzisiaj jednak ma się wrażenie – nawet jeśli mówimy

o sytuacji eurosierot czy rodzin emigrantów ekonomicznych – że ci mężczyźni czy matki nie znikają z życia rodziny całkowicie, że gdzieś obok mimo wszystko istnieją, że wspólnie przeżywają rodzinne emocje i problemy, bo i podróżowanie stało się łatwiejsze, i można się słyszeć i widzieć nawet codziennie.

O aktorach też się mówi, że nie mają czasu dla dzieci – ciągłe wyjazdy na plan, nieobecności w domu.

– Nie przesadzałabym, moja najdłuższa nieobecność w domu z powodu planu filmowego to osiem dni z rzędu. Ale wszystko jest oczywiście kwestią indywidualnych wyborów. Kiedy wchodziłam w ten zawód i gra-

Aktorstwo nie istnieje bez frustracji.

łam debiutancką rolę w spektaklu Barbary Sass, to ona powtarzała mi: „Pamiętaj, dziecko, żebyś ty się, broń Boże, nie śpieszyła do małżeństwa”, bo już wtedy miałam plany zamążpójścia. Myślę, że robiła to przede wszystkim z uwagi na moją młodość i w trosce o mój talent. W układzie mąż-aktorka-film zawsze ktoś cierpi.

Nie miała racji – z mężem jesteś do dzisiaj.

– Oczywiście, że w pewnym stopniu miała rację! Borykam się z bólem rozdartego serca od 20 lat. Chciałabym pracować więcej, bo kocham to, co robię, a moja praca jest moją pasją, ale w tym czasie ktoś mi bliski rzeczywiście, po pierwsze, znosi moje frustracje, a po drugie, przejmuje często moje obowiązki. Moje życiowe powołanie to także bycie matką. Rodzina kocha mnie i liczy na mnie, a powinność wobec niej zawsze wydawała mi się najważniejsza i znacznie większa niż wobec aktorstwa. Ale w praktyce bywa różnie. Rozdarcie między jednym a drugim zmusza mnie do kompromisów.

Jakich?

– W wielu najdrobniejszych, codziennych decyzjach, choćby w kwestii mieszkania. Czasem wydaje mi się, że gdybym przeprowadziła się do Warszawy, miałabym liczniejsze i bardziej różnorodne okazje do grania. Że mieszkanie tam jest dla aktorki o wiele bardziej pragmatyczne, a jednak zakorzeniłam się w Krakowie i w nim pozostałam.

Lokalna patriotka?

– Absolutnie towarzyszy mi lokalny patriotyzm, który wiąże mnie z moimi teatrami – Bagatelą i STU. Moi mężczyźni, mąż i syn, również mocno się zakorzenili w Krakowie, nie mogę nagle zmusić ich do przeprowadzki do stolicy. Zwłaszcza syna nie umiałabym postawić przed takim wyborem. Poza tym chcę tu mieszkać także z uwagi na rodziców, którzy przez wiele lat byli mi bardzo pomocni, a teraz nadchodzi czas, z uwagi na ich dojrzałość, kiedy to ja staję się im coraz bardziej potrzebna.

Przedłożyłaś rodzinę nad karierę?

– Nie. Nigdy bym nie powiedziała, że dokonałam w tym względzie jakichś dramatycznych wyborów. To po prostu kwestia hierarchii wartości. Znalazłam dobre wyjście,

bo moja praktyka zawodowa pokazała mi, że wcale nie muszę się przeprowadzać, żeby robić istotne zawodowo rzeczy. W teatrze jestem aktywna cały czas, filmowo też coś się u mnie dzieje, a od kilku lat wykładam na Akademii Sztuk Teatralnych, którą ukończyłam, gdy jeszcze nazywała się PWST. Zaproszono mnie do grona pedagogów i jest to przygoda, która mnie niezwykle stymuluje do rozwoju. Oczywiście czuję również wielką presję, ale myślę, że sama ją sobie stwarzam, bo taką mam naturę – czuję podwyższoną odpowiedzialność za ludzi, którzy powierzają się mojej opiece.

Jest zapal – jest nagroda.

Czujesz się mamą na katedrze?

– W pewnym sensie tak, choć nie wszyscy tego potrzebują, a niektórzy nawet nie lubią, więc raczej pielęgnuję postawę bycia ich zawodowym partnerem. Codziennie muszę przed nimi zdawać egzamin z teorii poprzez praktykę, którą próbuję im przekazać. Dla nich cenne jest, że pozostaję aktywna zawodowo, że faktycznie wykorzystuję to, czego ich uczę, że jest to skuteczne. Nie mogę sobie pozwolić na rozmijanie się tego, co mówię, z tym, co robię. Poza tym przypadł mi bardzo interesujący przedmiot – wiersz. A nade wszystko bezcenne jest przebywanie w towarzystwie tak fajnych, ciekawych ludzi. ▶

Janusz Termer

Myślenie literaturą

Res Humana, Warszawa 2019

Wybór esejów, recenzji, szkiców o literaturze drukowanych w latach 2009-2018 w wielu czasopiśmie lub wygłaszanych podczas sesji literackich. Dominującym wątkiem każdego z nich jest poszukiwanie związków i relacji między kontekstami historycznymi, realnymi uwikłaniami dzieł, pisarzy i ich bohaterów w procesy i problemy określonego miejsca i czasu. „Bo literatura była zawsze w swoich najlepszych wydaniach – a bywa i obecnie – jednym z głównych źródeł otwartego poznawczo, racjonalnego, realistycznego i twórczego myślenia o rzeczywistości człowieczej doli”, podkreśla autor.

Janusz Rudnicki

Życiorysta 3

Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2019

Trzecia część niezwykłych opowieści o przeczytanych książkach, ich autorach, złożonych biografiach. Streszczając książki, autor zajmuje się tym, co go zainteresowało, i nie zamierza być poważny. Uznał, że śmiech to dobry sposób na radzenie sobie z przyćmiewającymi lekturami. Ucieka od patosu, od czasu do czasu posługuje się mocnym słowem. A pisze w stylu niesalonowym, zapadającym w pamięć. Chce zachęcić do czytania tych, którzy czytania nie mają w zwyczaju i nie wierzą, że książki mogą konkurować z telewizją.

Zdzisław Rozbicki

Krzewy życia

Jakopol, Wrocław 2019

Zbeletryzowany, osobisty opis wydarzeń z lat 1943-1968. Losy małżeństwa Polaka, syna małorolnego chłopca z miasteczka na Podlasiu, i Żydówki cudem uratowanej z transportu do Trebłinki. Pobrali się po wojnie i żyli szczęśliwie w kolejnych garnizonach, do których bohater, zawodowy wojskowy, był kierowany. Lata młodości i służba wojskowa oraz życiowe perypetie bohatera stały się pretekstem do ukazania panoramy społeczno-politycznych realiów kraju, a szczególnie sytuacji w Wojsku Polskim.

► Jakim belfrem jesteś?

– Takim, który nie ma monopolu na rację. Chcę, żeby moi studenci wiedzieli, że jestem istotą omylną, ale ponieważ mam o 20 lat większe doświadczenie niż oni, chcę się nim podzielić. Staram się towarzyszyć im w pewnym procesie, zaprosić do współtworzenia, uruchamiać w nich to, co najciekawsze, ich własne, indywidualne, oczywiście w ramach podjętego materiału i przyjętych założeń. Zależy mi, żeby wiedzieli, że i oni dużo mi dają, że to wymiana świadczeń. Mnie zapala ich młodość i ich perspektywa, mam również nadzieję, że oni zapalą się moją.

Nie dopadają cię chwile zniechęcenia?

– Kiedy mam poczucie, że włożony w pracę wysiłek jest nieadekwatny do efektu, dopada mnie zwątpienie w jej sens. Ale ten zawód bez takich frustracji nie istnieje. Każda rola wiąże się z decyzją o wejściu

Do tej pory mam elaboraty, na które składają się słowo w słowo zapisane różne złote myśli płynące z ust moich pedagogów, do których z braku doświadczenia wtedy nie dorastałam, których należycie nie rozumiałam. Po latach sięgnęłam po nie, trochę dla

Jako profesorka nie mam monopolu na rację.

przyjemności, częściowo z konieczności, już bogata w doświadczenia, i pojęłam je. Nagle stały się dla mnie jasne. Kiedyś byłam mniej pewna siebie, wręcz nieśmiała. Choć nadal wiele rzeczy mnie onieśmiela – ale myślę, że jest to moją zaletą. Teraz zdecydowanie bardziej sobie ufam. No i zdecydowanie bardziej jestem w stanie ponieść odpowiedzialność za własne decyzje i wybory, również w sensie artystycznym, do czego też studentów nakłaniam.



Wspomnienie lata

w przygodę w towarzystwie takich, a nie innych ludzi, w takiej, a nie innej konfiguracji. Mniej lub bardziej rokującej i udanej. A kolejna kwestia to najzwyklejsze w świecie przemęczenie. Cały czas próbuję poprawić swoją organizację, ale ciągle pogania mnie przymus zrobienia czegoś w jakimś terminie. Nade mną też wiszą deadline'y. Jeśli jednak chodzi o studentów, to mój mąż przekazał mi starą maksymę: żeby kogoś do czegoś zapalić, trzeba samemu płonąć. Dlatego staram się płonąć. Wtedy spotykam się z nagrodą.

Jak widzisz siebie kiedyś i dziś?

– Kiedyś może byłam zbyt grzeczna, nie było we mnie krytycyzmu, byłam jak gąbka, chłonięłam wszystko.

Myślisz, że rozumieją twoje słowa?

– Bywa różnie. Czasem rzeczywiście dużo i po wielokroć muszę mówić o tym samym. Ale kiedy siadam naprzeciwko nich, nie widzę różnicy wieku między nami, umyka mi te 20 lat, które nas dzieli. Ze zdziwieniem przyjmuję fakt, że przecież oni patrzą na kobietę dwa razy od nich starszą, że jednak myślą o mnie w kategorii „pani” i także dlatego mówią do mnie „Pani profesor”. Z ich perspektywy ta różnica wieku staje się wyraźniejsza. Nie wiem, czy to jest tak, że ja jestem bliżej nich, niż moi profesorowie byli mnie, czy teraz jeszcze nie dostrzegam tego, co nas dzieli. Chcę wierzyć, że chodzi o to pierwsze.

Artur Zaborski

Oko w oko



Tomasz Jastrun

NOWE OKULARY

Ludzie się męczą, zawsze się męczyli i będą się męczyć. Ludzki los. Tylko teraz o wiele więcej o tym wiemy, również dzięki internetowi. Poza tym każdy jest obecnie ważny, więc godne szacunku jest cierpienie każdego. Kto się kiedyś przejmował cierpieniem niewolników czy chłopów pańszczyźnianych? Więcej jest też cierpienia, gdyż dłużej żyjemy i długo umieramy, dzięki postępowi medycyny. Mówi się, że facebookowe kontakty, chociaż liczne, są powierzchowne. I tak, i nie. Ludzie w internecie szepczą o swoich problemach i chorobach i są wtedy bardziej szczerzy niż przy spotkaniu w cztery oczy. Przy okazji widać, że nie ma prawie ludzi szczęśliwych. W „Antypamiętnikach” André Malraux czytam fragment, w którym pisarz pyta księdza: „– Co ze spowiedzi nauczył się ksiądz o ludziach? – Widzi pan, spowiedź nie uczy niczego, bo kiedy się spowiada, człowiek jest kim innym, działa łaska. A jednak... Przede wszystkim ludzie są znacznie bardziej nieszczęśliwi, niż się myśli. Poza tym – w nocy pełnej gwiazd wzniosł ramiona drwa – do góry – poza tym w gruncie rzeczy nie ma ludzi dorosłych”. A i tak wszyscy są skazani, by przestać istnieć. Sprawdziłem w internecie – jeśli można mu wierzyć, to każdego dnia na naszej planecie umiera 148 tys. ludzi, średnio w ciągu sekundy gasną dwa istnienia. Czyli gdy się powie „raz”, umiera dwóch ludzi, a każdy z nich miał jakieś swoje życie: ssał pierś, bawił się klockami, kochał, słuchał muzyki. Uparcie chwalebę Facebook, każdy może do każdego trafić na złe, ale częściej na dobre.

**Uparcie chwalebę Facebook,
każdy może do każdego trafić
na złe, ale częściej na dobre.**

Pisze do mnie nieznajomy, czy przypominam sobie z klasy Leszka. Tak, duży, korpulentny. To jego syn do mnie się odezwał – Leszek zmarł dwa lata temu. Nigdy nie przychodził na nasze spotkania klasowe, więc umknął mi jego los. Syn pisze, że był kelnerem w hotelu Forum, w 1982 r. potrącił go samochód, kilka złamań, uszkodzenie głowy. Cierpiał od tego czasu na epilepsję. Zaczął pić i wpadł w nałóg. A jego syn się odzywa, bo Leszek pokazywał mu mój tomik wierszy i mówił, że się cieszy, że chodził ze mną do jednej klasy. Myślę: losy ludzkie... Smutno mi, ale też czuję jakieś metafizyczne poruszenie.

Już cztery osoby z mojej klasy nie żyją. Nie żyje także dwójka dzieci moich klasowych koleżanek, dwie dziewczyny, jedna zabiła się na motorze, druga miała śmiertelny atak astmy, gdy płynęła promem do Szwecji. I to już drugi kolega z klasy był kelnerem. Przypomina mi się

niezwykłe spotkanie w Sztokholmie. Jadłem kolację na starym mieście w restauracji naprzeciw Akademii Noblowskiej, serwowali tam pyszne szaszłyki rybne. Byłem z Adamem Heymowskim; niezwykła postać, wyemigrował z Polski po wojnie. Miał w sobie szlachecką jowialność, a pracował na zamku, był osobistym bibliotekarzem szwedzkiego króla. Obsługiwał nas brzydki, okazały blondyn. Mówię do niego po angielsku, a ten do mnie: „Panie Jastrun, możemy mówić po polsku”. Tak odnalazł się Waldek, kolega z klasy. Upierał się, by mi mówić pan, taki ważny mu się wydałem w Sztokholmie jako dyrektor Instytutu Polskiego.

Na stacji Orlenu rzucam okiem na okładki pism prawicowych, które zastaniają pisma liberalne, tak jak zarządził pisowski szef firmy. Widzę „Do Rzeczy”, na okładce: „Nadciągaj dyktatura LGBT. Jak się przed nią bronić?”.

Obok „W Sieci”, na mrocznej okładce: „A jednak był trotyl”. To rewelacje o katastrofie smoleńskiej. Jest zbrodnia kłamstwa.

Kuzynka z Londynu pisze mi o wielkim marszu przeciw brexitowi: „To już dawno przestała być bitwa o Europę, teraz jest walka bigoterii ze zdrowym rozsądkiem. Marsz był rewelacyjny, najlepszy w nim moment podczas podróży autobusem do centrum: autobus pełen ludzi z plakatami, pozdrawiają się nawzajem. Wchodzą trzy młodzieńskie muzulmanki w hidżabach, też z plakatami. Cały autobus uśmiecha się do nich, robiąc więcej miejsca. Na Piccadilly wysiadamy: ciemnoskóry przystojniak podaje rękę muzulmankom, by mogły łatwiej wysiąść. Małe dzieci ze słodkimi hasłami. Staruszki na wózkach inwalidzkich. Humor, pogoda ducha. I przekonanie, że takiego poczucia wspólnoty nic nie zniszczy”. Podobne emocje jak w Polsce.

Antoś, mój 12-latek, od wczoraj na scenie życia występuje w okularach. Ładnie w nich wygląda. Przegapiiliśmy, że kiepsko widzi. A on przyzwyczaił się, dla niego kiepsko było dobrze, nie miał porównania. Gdy założył okulary, przeżył szok, że świat wygląda inaczej, wyraźniej – mówi, że jak na filmie 3D. Iluż ludzi nigdy się nie dowie, że czegoś nie widzą, nie czują. I że tak niewiele trzeba, by było inaczej.

NIEZNOŚNA LEKKOŚĆ POWIEŚCI

Milan Kundera wciąż ma szansę na literackiego Nobla. 1 kwietnia kończy 90 lat

Łukasz Grzesiczak

– Czesi to ofiary losu, a przy najmniej tak siebie postrzegają. Wynajdują usprawiedliwienia dla swojego konformizmu, na ogół znajdują je w historii, na którą rzekomo nigdy nie mieli wpływu, a już na pewno nie w wieku XX. Wszystko narzucili im komuniści albo naziści, a teraz znów Unia Europejska – uważa Aleksander Kaczorowski, publicysta, tłumacz literatury czeskiej, autor biografii Bohumila Hrabala i Oty Pavla.

Jego zdaniem Kundera jest na antypodach takiego myślenia. – Miejsce w historii literatury światowej zapewniły mu powieści, w których rozliczył się z iluzjami czeskiej, ale także europejskiej lewicy. Z mitem rewolucji, postępu, równości, budowy lepszego społeczeństwa. To uczyniło go w latach 80. jednym z najważniejszych intelektualistów europejskich. Mógł przez resztę życia odcinać od tego kupony, nie wychodzić z telewizji, brać tysiące dolarów za wykłady, ale wybrał prywatność i za to go szanują. To zresztą bardzo czeski wybór – dodaje.

Niedawno Milan Kundera, który konsekwentnie odmawia wywiadów, a dziennikarzy unika jak ognia, znów



Milan Kundera w 2010 r.

że do niego dojdzie, posunięcie było raczej spontaniczne i grzecznościowe. Gdyby Kundera zechciał stać się na nowo obywatelem czeskiego państwa, raczej nie miałby z tym problemów, niezależnie od układu politycznego. Premier Babiš chętnie zaś ogłosiłby to jako sukces swojego

w sprawie zwolnienia Václava Havla z więzienia, co zresztą wytykała mu demokratyczna opozycja czechosłowacka.

Janyška przypomina ponadto, że w zasadzie wszystkim czeskim intelektualistom, którzy po Praskiej Wiośnie zostali na Zachodzie, odebrano obywatelstwo. Pozbawiono ich możliwości przyjazdu do kraju nawet na pogrzeby najbliższych i skonfiskowano majątki. – Sytuacja w Czechosłowacji była inna niż w Polsce. Jak człowiek wyjechał, to koniec. Kłamka zapadła. Był odcięty od kraju – tłumaczy były czeski ambasador w Paryżu i były dyrektor Czeskiego Centrum w Warszawie.

Janyškę nie dziwi, że Babiš zaproponował Kunderze przywrócenie obywatelstwa. – Premier zrobił to oczywiście dla swojego PR, żeby pokazać Czechom, że jest nie tylko miliarderem zarabiającym na nawozach i świniach, ale także człowiekiem kulturalnym, który spotkał się z parysko-czeską legendą, jaką jest Kundera.

Dyplomata przypomina, że Milan Kundera żyje dziś we Francji, gdzie uznawany jest za autora francuskiego: – Nie tylko dlatego, że na szczęście ma łatwe do wymówienia nazwisko. Kundera do Czech prawie nie jeździ, a jeśli już, to incognito. Ma do kraju bardzo ambiwalentny stosunek. W odróżnieniu od innych czeskich intelektualistów na emigracji, którzy po transformacji jak najszybciej wracali do kraju, on tego nie zrobił.

Jego zdaniem pisarz czuje się skrzywdzony i uważa, że Czesi od lat 80. za mało go doceniają. Janyška twierdzi, że dziś Kundera jest w Czechach uważany za klasyka, a młodzież słyszy o nim coś w szkole, ale dla młodego pokolenia jego książki nie mają już tej siły przyciągania. Czyta go przede wszystkim starsza generacja, tęskniąc za czasami młodości i wspaniałymi latami 60.

Nie zgadza się z nim Aleksander Kaczorowski: – Dziś Kundera jest gigantem. Z okazji jego 90. urodzin

Jest mistrzem tematu seksu i władzy, pokazuje, że erotyką i polityką rządzą te same mechanizmy.

stał się bohaterem czeskich mediów. Wszystko za sprawą kolacji, którą wraz z żoną Věrou Hrabánkovą zjadł w Paryżu z czeskim premierem Andrejem Babišem i jego żoną. Premier zaproponował mu zwrot czeskiego obywatelstwa, które pisarz stracił w 1979 r. podczas pobytu na emigracji we Francji. – Premier Babiš chętnie ociepla wizerunek, spotykając się z autorytetami i ważnymi dla Czechów postaciami spoza świata polityki. Prawdopodobnie spotkanie z Kunderą było również takim zabiegiem. Premier nie zapowiadał wcześniej,

że do niego dojdzie, posunięcie było raczej spontaniczne i grzecznościowe. Gdyby Kundera zechciał stać się na nowo obywatelem czeskiego państwa, raczej nie miałby z tym problemów, niezależnie od układu politycznego. Premier Babiš chętnie zaś ogłosiłby to jako sukces swojego

rządu – uważa dr Martyna Wasiuta, politolożka z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego i redaktorka portalu www.czeskapolityka.pl. Czeski dyplomata Petr Janyška tłumaczy, że Kundera oficjalnie nie wyemigrował z Czechosłowacji. Po zdławieniu Praskiej Wiosny (był jedną z jej twarzy), w połowie lat 70. wyjechał do Francji na wykłady na uniwersytecie w Rennes. – Dlatego starał się utrzymywać jak najlepsze stosunki z czechosłowackimi władzami, m.in. z tego powodu odmówił podpisania petycji do władz

czeskie telewizja i radio przypominają wiele ekranizacji i słuchowisk zrealizowanych na kanwie jego prozy. To ostatni wielki z tych przedwojennych pokoleń Hrabala, Havla czy Škvoreckiego. I naprawdę jest tam czytany.

Dlaczego? – Seks i władza, czyli sztuka uwodzenia w życiu intymnym i w życiu publicznym. W łóżku i w polityce. Kundera jest mistrzem tego tematu, pokazuje, że erotyką i polityką rządzą te same mechanizmy. Tak było w czasach Denisa Diderota i carycy Katarzyny II, tak było w czasach Kundery i Stalina i tak samo jest dziś, w epoce imagologii i mediów społecznościowych – tłumaczy Kaczorowski. Przypomina, że imagologia to słowo wymyślone przez Kunderę w powieści „Nieśmiertelność” z 1990 r. Pokazał w niej, że koniec realnego socjalizmu na Wschodzie to także koniec ideologii i wielkich narracji na Zachodzie. – Zastąpi je imagologia, czyli wizualna manipulacja na masową skalę. Krótko mówiąc, przewidział świat postprawdy, gdy pięć osób na krzyż używało poczty elektronicznej – dodaje publicysta.

Kaczorowski zwraca uwagę, że są jeszcze książki Milana Kundery, które nie ukazały się po czesku, jak choćby „Święto nieistotności” czy „Zaślona”. Wszystko dlatego, że autor, który od lat pisze już po francusku, nie zgodził się, by ktokolwiek inny przetłumaczył je na czeski. Dlatego robi to sam. – Przez ostatnie lata zajmował się głównie tłumaczeniem swoich książek z francuskiego na czeski. Komu by się chciało? Przecież on ma 90 lat! Nikt w ostatnim półwieczu nie zrobił dla czeskiej literatury tyle co Kundera. Kto pamięta, że przez całe lata zabiegał o wydanie książek czeskich kolegów na Zachodzie i pisał do nich przedmowy? To jedyny czeski pisarz od czasów poety Seiferta, który wciąż ma szansę na Nobla. Nie dostał go, po części dlatego, że w 2008 r. wyciągnięto tę idiotyczną historię z jego rzekomym donosem w czasach stalinowskich. Owszem, mógł donieść, ale nie ma na to żadnych dowodów, to jest nie do udowodnienia przed żadnym sądem. Klasyczny medialny lincz – tłumaczy Kaczorowski.

Popularny czeski pisarz i eseista Jiří Kratochvíl w wydanej po czesku w 2018 r. książce „Je suis Paris” („Je-



Z żoną w Pradze, 1973 r.

stem Paryżem”) wspomina spotkanie z Milanem Kunderą w restauracji: „Chwilę później do stołu podeszła jakaś panienska i przeproszającym tonem zapytała: »Niech pan wybaczy, pan nie jest Milanem Kunderą?«. A Kundera przebiegle zareagował: »Nie jestem. Ale gdyby pani sprawiło to przyjemność, mógłbym pani Kunderę zagrać«. Przywołane zdarzenie dla jednych jest ciekawą anegdotą, dla drugih, podobnie jak twórczość Milana Kundery, świadectwem seksizmu. Ostatnio można odnieść

Nikt w ostatnim półwieczu nie zrobił dla czeskiej literatury tyle co Kundera.

wrażenie, że zarzut ten pojawia się coraz częściej. Precyzyjnie sformułowała go popularna bułgarska bohemistka Anzelina Penczewa, laureatka Premia Bohemica za popularyzację literatury czeskiej za granicą. Penczewa w artykule „Zgwałcony archetyp. Kobiety w powieściach Milana Kundery”, który ukazał się w monografii „Czeska literatura w perspektywie gender” przygotowanej przez Instytut Literatury Czeskiej (Czeska Akademia Nauk), przygląda się kobietom w powieściach autora „Nieznosnej lekkości bytu”. Jej zdaniem występują u niego jako postacie idee i postacie funkcje. Mają charakter drugoplanowy i są podporządkowane męskim bohaterom. Penczewa

zauważa, że wątki powieściowe budowane są jedynie na aktywności postaci męskich i wyłącznie z ich powodu. To mężczyźni są demiurgami opowieści. Nawet jeśli w centrum znajduje się postać kobieca (jak w „Nieśmiertelności”, „Niewiedzy” oraz „Księżde śmiechu i zapomnienia”) i w tekście opisywane jest jej życie wewnętrzne, jest ono zdeterminowane przez relacje z mężczyznami.

Seksizm można odnaleźć także w zawodach postaci. Mężczyźni zwykle mają profesje kreatywne lub związane z dominacją nad innymi (lekarz, ksiądz, kompozytor, malarz), podczas gdy kobiety wykonują czę-

sto prace służebne (kelnerka, pielęgniarka) lub związane z imitowaniem (fotografka).

Penczewa twierdzi, że bohaterki są obrazem stereotypowego myślenia o kobietach, przy czym ich kobiecość bywa wadliwa. Kochają i na tym się skupiają, ale robią to „wadliwie” – przeżywają miłość w sposób męczeński, często są wykorzystywane, niechciane czy zbyteczne. Świat historii, polityki, władzy jest u Kundery poza kobietami, dochodzi do nich jedynie jako hałas czy harmider z zewnątrz. Jak w scenie, w której Teresa zdradza Tomasza z agentem Służby Bezpieczeństwa.

Z takim poglądem nie zgadza się dr Aleksandra Hudymač, literaturo-

znawczyni z Instytutu Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. – Stwierdzenie, że kobiety u Kundery są uprzedmiotawiane i są narzędziami w rękach mężczyzn, to ogromne uproszczenie. Wszystko zależy, na jaką bohaterkę jego powieści patrzymy – tłumaczy i dodaje: – Ludzie mówiący o Kundery dzielą się na dwie grupy. Pierwsi uważają, że obciążenie jego prozy cielesnością i seksem to koniunktura i propagowanie pornografii. Drudzy dopatrują się w cielesności pretekstu do rozważań metafizycznych, do opowiedzenia czegoś o kondycji człowieka. To nie jest do końca jednoznaczne. Cielesność jest przestrzenią traum, ale też ostatnią przestrzenią wolności człowieka.

Aleksandra Hudyma zauważa, że Sabina, bohaterka „Nieznosnej lekkości bytu”, jest kobietą bardzo dominującą. To ona rani mężczyzn, łamie im serca, zostawia ich. Jej problemem jest właśnie „nieznosna lekkość bytu”, która jest nieumiejętnością zakotwiczenia się w jednym miejscu, a ofiarą tego pada jej kochanek Franz.

Krakowska literaturoznawczyni zwraca uwagę, że postacie Kundery nieraz bywają ofiarami toksycznych relacji z matką. – Teresa z „Nieznosnej lekkości bytu” jest uwięziona w swoją cielesność nie tylko dlatego, że istnieje w trudnej relacji z Tomaszem, który ugania się

Fenomen Kundery polega na tym, że jest autorem bestsellerów, ale czyta go tylko wyrobiona publiczność.

za kobietami, ale przede wszystkim z powodu obecności w jej życiu dominującej matki, która odbierała jej prawo do intymności i odzierała ją z niej nawet w sytuacjach erotycznych czy fizjologicznych.

Podobnie rzecz się ma z Jaromilem z „Życie jest gdzie indziej”, w opinii krakowskiej filolożki charakterystycznej postaci Kundery. – Syn absolutnie dominującej matki, która po gombrowiczowsku próbuje go

upupić, wiktając w relacje matka-dziecko. Nie pozwala mu dorosnąć, miesza się w jego życie intymne, jego sposób żywienia, fryzurę. Jednocześnie Jaromil odnajduje przestrzeń wolności wobec matki w związku z Rudą, w którym przekracza mnóstwo granic – tłumaczy. Ruda jest proletariuszką, zwykłą dziewczyną, której jego matka w życiu by nie zaakceptowała. Jego drogą do męskości jest droga przez erotykę. Poniekąd staje się oprawcą Rudej, bo karze ją za to wszystko, co musiał znosić ze strony matki.

– Fenomen Kundery polega na tym, że jest on wprawdzie autorem bestsellerów, ale tak naprawdę czyta go tylko wyrobiona publiczność. Jego twórczość nie jest ani pornografią, ani łzawym romansem, ani agitką polityczną. To są naprawdę dobrze wykombinowane powieści, czyli trzeba mieć pewne kompetencje, żeby uprawiać ich lekturę z przyjemnością i pożytkiem. To tak jak z seksem – podkreśla Aleksander Kaczorowski.

Łukasz Grzesiczak

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY!

STODOŁA



**MELA
KOTELUK**

26.04
STODOŁA, WARSZAWA



**JAROMÍR
NOHAVICA**

31.05 | STODOŁA, WARSZAWA
01.06 | STODOŁA, WARSZAWA



**THE MYSTERY OF THE
BULGARIAN VOICES** FEATURING
LISA GERRARD

10.06 | STODOŁA, WARSZAWA



KULT

07.11
08.11
09.11
STODOŁA, WARSZAWA

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOŁA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL ORAZ W KASIE KLUBU STODOŁA
(ul. Batorego 10, Warszawa)

X MUZA W KOALICJI Z INTERNETEM

Najlepsze autorskie rosyjskie filmy do obejrzenia w sieci

Patrycja Spytek

Do kina czy na film? Po co łamać sobie głowę! X muza idzie z duchem czasu i wie, że dzisiaj najlepszym nośnikiem informacji jest internet. Jeśli jesteś zabiegany i zapracowany, brakuje ci czasu, aby wyskoczyć do kina, nie martw się! Kino przyjdzie do ciebie.

Przygotuj miskę popcornu i ulubiony napój, usiądź wygodnie na kanapie i odpal internet. Wystarczy wpisać w wyszukiwarce adres: d2.rg.ru, a otworzy się cała lista niezwykle ciekawych rosyjskich tytułów. Połączysz przyjemne z pożytecznym: zaoszczędzisz kasę, jednocześnie zaimponujesz osobie towarzyszącej kreatywnością i wiedzą (amerykańskie filmy wyświetlane w multiplexach znają wszyscy, a rosyjskie kino autorskie tylko nieliczni).

Rocznie w Rosji powstaje średnio sto filmów pełnometrażowych. Z tego do kin trafia zaledwie 20. I bywa, że nie są to te najlepsze. Dużo obrazów godnych uwagi i głębszej refleksji nie dociera do widza. Na marginesie spychane jest współczesne rosyjskie kino autorskie, które przegrywa walkę z marketingiem, reklamą i gustem masowego odbiorcy. Najlepiej sprzedaje się kino akcji, które często burzy ogólny system wartości.

Taki porządek rzeczy zatrwazał rosyjskich krytyków filmowych. W wyniku wielu przemyśleń i pogłębionych analiz rynku filmowego narodziła się idea Online Festiwalu Kina Rosyjskiego „Dubldw@”. Twórcą projektu jest felietonista dziennika „Rossijskaja Gazeta” Walery Kiczyn.

Co wyróżnia ten festiwal spośród mnóstwa imprez tego typu? Przede wszystkim podstawowe kryteria selekcji. Są nimi wysokie wartości artystyczne, powaga myśli autora oraz przystępny język filmu. Dyrektor programowy pragnie dotrzeć do szerokiego kręgu odbiorców, by poprzez obraz filmowy popularyzować wielokulturowość Rosji, jej mentalność, kształt i charakter. Zachód patrzy na

Rosję przez pryzmat Moskwy i Petersburga, które są najczęściej odwiedzane przez turystów. Mało kto zapuszcza się głębiej. A właśnie tam kryje się prawdziwe oblicze wielobarwnej Rosji. Staranny dobór festiwalowych filmów pozwala odbiorcy zajrzeć w najdalsze zakątki ojczyzny Puszkina, Tołstoja i Turgieniewa. Przy czym nie trzeba wychodzić z domu, przechodzić procedury wizowej i wydawać pieniędzy na podróż.

Oglądać i aktywnie uczestniczyć w festiwalu może każdy, nawet w najdalszym zakątku świata. Wystarczy mieć dostęp do internetu. Każdy film

film oraz za największy wkład w rozwój rosyjskiej kinematografii.

Tegoroczna – jubileuszowa – edycja projektu odbywa się od 2 do 11 kwietnia. W programie X Online Festiwalu Kina Rosyjskiego „Dubldw@” są filmy pełnometrażowe, m.in. komedia „Wieczna żyzn” („Życie wieczne”) Aleksandra Christoforowa czy dramaty „Swidietieli” („Świadkowie”) i „Podbroj” („Podrzutki”), oraz krótkometrażowe. W kategorii antrakt teatralny zmagania podejmą cztery znakomite musicale: „Miertwyje duszy” („Martwe dusze”), „Wolnyj wietier mieczty” („Wolny



„Wieczna żyzn” Aleksandra Christoforowa

biorący udział w rywalizacji jest transmitowany przez 48 godzin na specjalnej platformie internetowej (d2.rg.ru), do której dostęp jest całkowicie bezpłatny. Widzowie sami decydują, kiedy, gdzie i co oglądają. Nieważne, czy są rannymi ptaszkami, czy sowami. Na dodatek mogą stać się jurorami, gdyż wszystkie festiwalowe obrazy podlegają ich ocenie. Na tej podstawie tworzy się ranking i wybiera zdobywcę Nagrody Publiczności. Widzowie wybierają także laureata w kategorii najlepsza gra aktorska. Ponadto każdy odbiorca może wyrazić opinię na temat filmu, pisząc recenzję. Te, których wartość merytoryczna jest wysoka, automatycznie biorą udział w konkursie. W pantheonie zwycięzców amatorskich recenzji znalazła się także Polka – Izabela Borowska. Profesjonalne jury wybiera natomiast zwycięzców w kategoriach: najlepszy

wiatr snów”), „Wosiem ljubiaszczich żenszczin” („Osiem kochających kobiet”) i „Atyje parusa” („Szkarłatne żagle”). Aby festiwal nabrał nieco splendoru, otwiera go i zamyka uroczysta gala. Wszystkie filmy wyświetlane są w oryginalnej wersji językowej z angielskimi napisami.

Festiwal ma ciekawą historię i wiele sukcesów. W jego ramach zaprezentowano już ponad 150 obrazów. Były to filmy artystyczne, dokumentalne, a także animowane. Entuzjazm, doświadczenie i zaangażowanie twórców idei oraz niekomercyjny charakter projektu pozwoliły umocnić miejsce i rolę festiwalu na filmowej mapie Rosji. Dostęp internetowy zaś corocznie poszerza krąg odbiorców rodzimych i zagranicznych, wpływając pozytywnie na budowę wizerunku Rosji na forum globalnym. Warto sprawdzić, jakie wrażenie zrobi nasz wschodni sąsiad! ■

11. Festiwal Muzyki Filmowej Krzysztofa Komedy

www.fm fkk.pl

11-13 kwietnia 2019



11 kwietnia godz. 19.00

Warszawa
Studio Koncertowe PR,
im. W. Lutosławskiego

**DANILO REA TRIO Cinema
Music Films** – Włochy

Wystawa „Komeda
– Kalendarium życia”

Wystawa
„Polski Plakat Jazzowy”

12 kwietnia godz. 20.15

Warszawa
Nove KINO Wisła

Projekcja filmu
Do widzenia, do jutra

Janusza Morgensterna
z muzyką K. Komedy

Projekcję poprzedzi
spotkanie z krytykiem
filmowym, publicystą
tygodnika Polityka,
Januszem Wróblewskim

13 kwietnia godz. 19.00

Warszawa
Studio Koncertowe PR,
im. W. Lutosławskiego

**SŁAWEK JASKUŁKE
SEXTET Komeda
Recomposed**

**WOJTEK MAZOLEWSKI
QUINTET „Komeda”**

Wystawa „Komeda
– Kalendarium życia”

Wystawa
„Polski Plakat Jazzowy”

Patronat Honorowy: Prezydent m. st. Warszawy

Organizator

**JAZZ ART
FUNDACJA**

Projekt współfinansuje m.st. Warszawa



Główny partner



Partnerzy



Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkało

ROZMRAŻANIE

Każdą przeprowadzkę poprzedza rozmrażanie. Chyba że jest się ciocią Ani. Ciocia Ani uważa, że lodówki i zamrażarki są rakotwórcze i że jedzenia nie wolno w nich trzymać. Jednak większość obywateli koniunkturalnie mrozi i przy przeprowadzce musi raz na zawsze zagospodarować wszystkie zamrożone pierogi, jagody, owoce morza, bigosy i inne pozbawione wieku truchła.

W związku z przeprowadzką przyjaciele zaprosili nas na fła-coś-tam, ekskluzywnie pokłósie mrożonki. Wszystko było ekstra, ale czułam smutek, jaki wywołuje nie tylko zapach lodówek w supermarketach, lecz także myśl o zostawieniu za sobą mieszkania (nawet jeśli było cudze). Oni oglądali śmieszne filmiki, ja siedziałam w kącie i wspominałam esemesy, które wysyłałam tu z kibla, dyskusje o Barańczaku, zgałę po czerwonym winie. Stosy albumów, które przeglądałam, kiedy Dorota pisała habilitację, piosenki, które przywoziła z podróży. Nie żał wam? Ale oni już żyli nowym mieszkaniem, przeżywali przygodę, zakochani w śródmieściu, niepomni, że będą miały smutne truchło ich mieszkania, że robią to mnie. Przyjemnie jest oniemieć w kontakcie z nowym idiomem, dać się oczarować przez progres. Ale pewne rzeczy powinny zostać po staremu: ludzie i miejsca. Inaczej dymią dziury po nich i człowiek w nie czasem wpada.

Pomniki po knajpach, miejsca pamięci po kłótniach, tabliczki po pocałunkach. Bo nie może być tak, że się patrzy, jak z knajpy wynoszą ukośne krzesła, ktoś bierze blat do domu, ktoś kupuje za pięć stólik, a po miesiącu jest tu coś zupełnie innego: zakład fryzjerski, Świat Firan, Darex czy biuro podróży. Ten jeden niepowtarzalny układ,

ta luźna, półprzypadkowa grupka, będąca zbiegiem różnych okoliczności – ta jedna jedyna konfiguracja ludzi już się nie powtórzy. Odszkodowania za zamknięcie knajpy powinniśmy dostać potężne. Renty za sentymentalizm, zadośćuczynienie dla ducha, forse na remont tkanki społecznej. Wiadomo, kapitalizm to niszczarka, która idzie przez miasto i po placach rozkłada banki. Chcielibyśmy dalej siedzieć w ulubionej knajpie, zamawiać alkohol, omawiać spektakle.

Każdą przeprowadzkę poprzedza rozmrażanie. Pani Helenka spod dwójki przynosi uszka z kapustą. Dołącza napój z koralowca, stary kapelusz i lampkę. Wymieniamy się jeszcze książkami. Pani Helenka jedzie do córki, która mieszka za oceanem. Życzymy sobie miłego życia, mocno się ściskamy. I zdaję sobie sprawę, że ja nie potrafię zmie-

nić nawet sklepu z bułkami, że odbywam swoją żalosną żałobę po starych telefonach, samochodach. Że mam zetłałe swetry, w których coś tam, coś tam

robiłam kiedyś, w jakimś innym mieście. A już największy wstyd to wielopaki DVD, które tylko zawadzają w marszu przez życie i których nigdy, ale to nigdy drugi raz się nie ogląda. I że chciałabym tego 1 kwietnia – trochę w ramach żartu, a trochę naprawdę – defilować przed Ur, małą i czarną knajpką, wołając, że nie można niczego zamykać! Że to powinna być zasada każdego zdrowego życia! Że PAMIĘ-TAMY! I mamy wszystko na zdjęciach. Że zanim skolonizujemy następną knajpkę, zrobimy prawdziwe czuwanie i ostatnie smutnawe *selfie* na tle witryn na rogu dwóch ulic. Bo tylko knajpy na rogach ulic są dla nas naprawdę dobre i gotowe pójść z nami w ciemno niemal za nic.

Kapitalizm to niszczarka, która idzie przez miasto i po placach rozkłada banki.



CZYTAJ TAK, JAK LUBISZ!

Tygodnik PRZEGLĄD w wersji elektronicznej

Już w sobotę rano e-wydanie, dostępne na komputerze, tablecie i telefonie komórkowym

TANIEJ NIE KUPISZ! E-WYDANIE 3,50

KURTYNA W GÓRĘ

MIĘDZY OKŁADKAMI



SZCZEPIONKA

Reżyser Jakub Skrzywanek ze współtwórcami „Mein Kampf” stawia odważnie pytania nie tyle o to, jak to niegdyś z hitleryzmem bywało, ile jak idee faszystowskie – wydawałoby się z sukcesem przezwyciężone – odradzają się w świadomości społecznej.

To ważne przedstawienie, nawet jeśli nie pod każdym względem perfekcyjne. Gra zaledwie sześcioro aktorów, ale wspomagani muzyką, czasem wideo, i sugestywną scenografią tworzą widowisko, w którym widz poznaje proces narodzin programu Hitlera. W akcie I towarzyszymy dojrzewaniu bohatera w domu rodzinnym, jego ucieczce i tułaczce, wreszcie odkryciu idei nacjonalistycznych – szczególnie silnie oddziałuje opowieść snuta przy zupie przez Klarę Bielawkę o wzbieraniu fali odrażającego antysemityzmu. W akcie II uchylamy drzwi do kuchni partyjnej, Hitler opisuje sposób upowszechnia swoich idei – Arkadiusz Brykański odśpiewania kulisy propagandy. W akcie III mamy do czynienia z utrwalaniem zasad ideowych, a przede wszystkim mitem czystej rasy. Aleksandra Bożek czyta fragmenty „Mein Kampf” poświęcone hodowli czystych rasowo Niemców, marzeniom o rasie nieskażonej ludzkimi „odpadami”. Zderzenie zapowiedzi zapisanych w „Mein Kampf” ze słodko-idiotyczną piosenką do rytmu fokstrota, kontrast eugeniki i romansu to prawie terapia wstrząsowa, której poddają widzów aktorzy, wytwarzający pełną napięcia atmosferę.

Obserwując powstanie jednego z najhaniebniejszych manifestów, jakie zna ludzkość, do którego pozornie przez całe lata nie było dostępu, doznajemy wrażenia, że przenikanie faszystów do świadomości dokonuje się mimochodem. Czasem taktownie i kulturalnie. I nagle padamy ofiarą *déjà vu*. Okazuje się, że tezy głoszone przez ideologa NSDAP znamy z zupełnie innych ust. Dlatego ten spektakl działa jak szczepionka.

Tomasz Miłkowski

ZA POWAŻNIE

NA ZAPLECZU U FRYZJERA

Spora część opery rozgrywa się w gabinecie wziętego fryzjera o imieniu Figaro. Nawet gdy akcja przenosi się do domu Doktora Bartola, który więzi swoją młodszą wychowanicę, i tak możemy obserwować, jak funkcjonuje zakład znajdujący się na parterze. To po raz pierwszy znakomitego aktora i reżysera Jerzego Stuhra, który już po raz drugi reżyseruje w Krakowie przedstawienie operowe. Wszystko dzieje się w konwencji komedii, która niekiedy przeradza się w farsę, bo jak inaczej pokazać ansamblę, w których jednocześnie śpiewa np. sześciu bohaterów spektaklu. Śpiewają dobrze, z towarzyszeniem orkiestry, a niekiedy tylko z gitarą.

Bronisław Tumitowicz

Gioacchino Rossini, „Cyrylik Sewilski”, kierownictwo muzyczne Tomasz Tokarczyk, reżyseria Jerzy Stuhr, Opera Krakowska, premiera 15 marca 2019

Jonathan Littell
STARA HISTORIA

tłum. Jacek Giszczak

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019

Autor monumentalnej, dziś już kultowej powieści „Łaskawe” powrócił z nową książką. Według wydawcy to powrót króla na białym koniu przy dźwiękach harf i lutni. W rzeczywistości koronowany jest nagi, jedzie na osie i załatuje naftaliną. Tym razem Jonathan Littell, arcymistrz powieści, jeden z najważniejszych intelektualistów XXI w., rozczarował. Książka jest rozwiniętą historią starszego tekstu, powtarzają się motywy z „Łaskawych”. Znowu mamy przemoc, gwałty i wojnę.

O ile ta cała anatomia zła sprawdziła się w poprzedniej powieści, o tyle teraz jest już wtórna. Bohater „Starej historii” zmienia tożsamość i płeć, błąka się w czasie i przestrzeni, a cała powieść jest spletem luźno powiązanych epizodów. Nudzi, nie zaskakuje ani nie pobudza. Nie można Littellowi odmówić pisarskich umiejętności, wyobraźni ani talentu, ale po autorze takiego formatu można było się spodziewać czegoś więcej.

Rafał Pikuła

ZASŁUCHAJ SIĘ

Mariusz Godlewski,
Radosław Kurek
MONIUSZKO, PIEŚNI
NIFC

Stanisław Moniuszko skomponował mnóstwo pieśni do domowego śpiewania. Jest ich ponad 300. Na płycie nagranej na 200-lecie urodzin twórcy przez Mariusza Godlewskiego znalazło się 30, ale już to daje pojęcie, jak znakomity zbiór mamy w posiadaniu. Baryton Godlewskiego brzmi pięknie, tym głosem można się rozkoszować przez ponad godzinę, a dodatkowo podziwiać gust kompozytora w wyborze tekstów. Słuchamy tutaj poezji Kochanowskiego, Mickiewicza, Syrokomli, Lenartowicza, Kraskiewskiego, Asnyka, Czeczota i jeszcze kilku innych. Śpiewakowi towarzyszy na zabytkowym fortepianie Erarda z 1838 r. Radosław Kurek. Szkoda, że takich płyt nie ma na razie więcej.

Bronisław Tumitowicz



NA EKRANACH

TO MY

reż. Jordan Peele, prod. USA, już w kinach

Dobrze sytuowana czarna rodzina odpoczywa w domku letniskowym w Santa Cruz, gdzie błogi spokój zakłócają nieproszeni goście. Wyglądają jak lustrzane odbicia Adelaide i jej bliskich, ale noszą czerwone szaty, w rękach dzierżą potężne złote nożyczki, a ich motoryka bardziej przypomina ruchy robotów niż ludzi. „Jesteśmy Amerykanami”, odpowiadają na pytanie, kim są, a my już wiemy, że ich wyjście spod ziemi, gdzie przez lata cierpieli niedolę, nie jest bez znaczenia w interpretacji filmu. Odpowiedź na rosnące w astronomicznym tempie dysproporcje społeczne, komentarz do Ameryki Trumpa, krytyka konsumpcjonizmu, prztyczek w nos wyemancypowanej czarnej społeczności żyjącej na modłę białych – krytycy prześcigają się w odczytaniach tej



metafory. Choć reżyser Jordan Peele postarał się, żeby była pojemna, nie stracił z oczu gatunku. To horror pełną gębą, który korzysta z arsenału środków zarówno klasycznego straszaka

o kobiecie schodzącej do ciemnej piwnicy, jak i wyrafinowanego dramatu psychologicznego, w którym koszmar staje się jawą.

Artur Zaborski

KULTURALNE DZIECI

ZAJRZYJ TU



BEATA EWA BIAŁECKA OBRAZ NIEPOCHLEBIONY

„Malarstwo Beaty Ewy Białeckiej odnosi się do traumatycznych przeżyć związanych z cierpieniem, chorobą, bólem po stracie. Malując uproszczone ciała, modelowane światłocieniem jak rzeźby, nieco przypominające postaci z obrazów Fernanda Légera, artystka nadaje im siłę uniwersalności. To nie portrety konkretnych kobiet i dziewczynek, ale symboliczne obrazy wykorzystujące utrwalone w historii sztuki typy przedstawień cierpiących matek”, mówi Agata Smalcerz, dyrektor galerii.

BIELSKO-BIAŁA, GALERIA BIELSKA BWA, DO 22 KWIETNIA



TARGI KSIĄŻKI DZIECIĘCEJ PRZECINEK I KROPKA

Dla każdego dziecka coś inspirującego. Na odwiedzających czeka 70 stoisk z najlepszą literaturą dziecięcą i aż 60 kreatywnych warsztatów z różnych dziedzin. W programie są oczywiście spotkania z ulubionymi pisarzami: Andrzejem Maleszką, Adamem Wajrakim, Marcinem Wichą, Michałem Rusinkiem, Anną Dziewit-Meller czy Szymonem Radzimińskim, spektakl o Szewczyku Dratewce w wersji owocowo-warzywnej, niezwykle koncert zespołu Budyń Julka Tuwima. Wstęp na wydarzenie oraz udział w warsztatach są bezpłatne.

**WARSZAWA, CENTRUM PRASKIE
KONESER, 6-7 KWIETNIA**



LALKI: TEATR, FILM, POLITYKA

Lalki z przeszłością, często bardzo odległą, zaludniły jedną z sal Zachęty, przypominając osiągnięcia dawnego teatru lalkowego. Ich autorzy to legendy, chociażby Zofia Gutkowska-Nowosielska, Maria Jarema, Tadeusz Kantor, Adam Kilian, Jerzy Nowosielski, Franciszka Themerson. Inni teatrowi lalkowemu poświęcili całą swoją twórczość.

Wystawa zaś skupia się

na czasie, kiedy w polskim teatrze odkryto potencjał lalki jako pośrednika w przekazywaniu treści dla dorosłych.



**WARSZAWA,
ZACHĘTA,
DO 23 CZERWCA**



Kolumny przygotowała
Agata Gogolewicz

Tadeusz Zakrzewski

Tadeusz Zakrzewski – dziennikarz telewizyjny. Jest laureatem dwóch Złotych Ekranów, kilku nagród prezesa Radiokomitetu, Nagrody Miasta Stołecznego Warszawy, a także Honorowym Pracownikiem Zakładów Mechanicznych „Ursus”, których już nie ma. Zakrzewski uchodził za reportera krnąbrnego i przebojowego w czasach, gdy dziennikarzom było „mniej wolno”. Wcześniej – przez 15 lat – był autorem cotygodniowego programu „Telewizyjny Kurier Mazowiecki”. W trakcie jego realizacji przemierzył Mazowsze wzdłuż i wszerz. Po 40 latach zajął do swoich notatek i postanowił przypomnieć o wielu ciekawych wydarzeniach. I o tym jest ta książka.

Decyzja o powołaniu „Telewizyjnego Kuriera Mazowieckiego” zapadła dopiero w roku 1966, kiedy Centrala TVP przygotowywała się do uroczystego obławania 15-lecia działalności, a mieszkańcy Warszawy od bez mała dziewięciu lat oglądali swój „Telewizyjny Kurier Warszawski” stworzony przez znanego prezentera i dziennikarza Stanisława Cześnina. Młodszy brat programu stołecznego miał być magazynem 15-minutowym, emitowanym w każdy piątek o godz. 18.20 w Programie II.

Dziś niechętnie wraca się do ludzi z czasów PRL. Nasi następcy uwierzyli, że wszystko zaczęli od zera.

Zostałem jego autorem. Władze województwa warszawskiego dały mi dużą swobodę w przyjęciu formuły programu i w doborze tematów. I dzięki Bogu – „nie miały parcia na szkło”. Wzorowałem się na wyjątkowo popularnej „Polskiej Kronice Filmowej”. Zrezygnowałem ze studia, uznając, że w srebrnym okienku najważniejszy jest obraz, a nie gadające głowy.

Redagowanie „Kuriera” wymagało systematycznych wyjazdów w tzw. głęboki teren, toteż – wspólnie z ekipą filmową – „włóczyłem się” po wsiach, PGR-ach, gminnych domach kultury, klubach „Ruchu”, szkołach, szpitalach, miasteczkach i fabrykach. Trzy dni w każdym tygodniu, w świętek, piątek i niedzielę. Staraliśmy się być wszędzie tam, gdzie działo się coś ciekawego. Popularyzowaliśmy społecz-

ne inicjatywy i ciekawych ludzi, odnotowywaliśmy sukcesy gospodarcze i porażki – których nie brakowało.

„Kurier Mazowiecki” powstawał zbiorowym wysiłkiem. Do programu przykładali się niekiedy koledzy po piórze: Małgorzata Wojnowska, Edward Biały i Włodzimierz Syta. Materiały filmowe były dziełem operatorów: Leszka Piotrowskiego, Janusza Ogródowicza, Jerzego Fronka, Janusza Kieszkiwicza, Pawła Minkiewicza, Jerzego Ernsta i Macieja Rogulskiego. Potem filmy trafiały w ręce montażysek: Jolanty Stanisławskiej, Hanny Szaniawskiej, Izy Drapelli, Barbary Kniaziołuckiej, Krystyny Saw-

nor, Iwony Myszkowskiej oraz Ireny Wysockiej. Oprawa muzyczna była najczęściej dziełem Stefana Zawarskiego i Andrzeja Trybuły. Miałem do dyspozycji najlepszych lektorów radiowych: Jerzego Rosołowskiego i Andrzeja Raclawickiego. A nad wszystkim czuwała kierowniczka produkcji Marta Głowacka.

Tę plejadę nazwisk wymieniam z wyjątkową motywacją – dziś niechętnie wraca się do ludzi z czasów PRL. Następcy, którzy przejęli po nas pałeczki, uwierzyli, że wszystko zaczęli od zera.

W internecie można przeczytać, że „Kuriery” – warszawski i mazowiecki – to najstarsze programy telewizji publicznej.

I ciągle ukazują się na antenie TVP pod niezmienionymi tytułami. To nie przypadek. Nie musiały „zmieniać twa-

rzy”. Oba programom udało się uniknąć roli kroniki dworskiej oraz nachalnej propagandy. Nawet na murach pojawiały się hasła „Telewizja kłamie”, „Kuriery” nie straciły wiarygodności.

Kilkanaście lat redagowania „Telewizyjnego Kuriera Mazowieckiego” zaowocowało stertą grubych, stukartkowych brulionów wypełnionych notatkami. Nie wszystkie dały się przełożyć na tematy filmowe, reportaże czy felietony. O niektórych wydarzeniach wspominałem dopiero w tej książce. Jednak całość mojego prywatnego „archiwum” dowodzi, że czasów PRL nikt na Mazowszu nie przespał, nie siedział z rękami w kieszeniach, region nadrabiał wiekowe zaległości, by teraz w wielu dziedzinach dołączyć do krajowej czołówki.

Czas na przypomnienie tego faktu jest wyjątkowo odpowiedni, zbyt wielu polityków i „historyków” staje na rzesach, by moim wnukom Mazowsze kojarzyło się wyłącznie z „czarną dziurą”. (...)

„Białe niedziele” na Kurpiach

„Białe niedziele” są popularną akcją społeczną organizowaną przez warszawskie szpitale. Kilku lekarzy różnych specjalności zabiera ze sobą podstawowy sprzęt medyczny, wsiada skoro świt do autobusu podstawionego przez MZK i jedzie tam, gdzie świat wciąż jest zabity deskami. Najczęściej na Kurpiowszczyznę.

Najbardziej znaną relacją dotyczącą poziomu życia na terenach Puszczy Zielonej i Białej sporządził Bolesław Prus w roku 1881. Pracował wtedy jako dziennikarz „Kuriera Warszawskiego” i na łamach tej gazety



Grupa ludowa ze wsi Obryte koło Pułtusa.

napisał 11 kwietnia: „Głód między Kurpiami jest ciekawym zjawiskiem. Dowodzi on naprzód, że ludność pracowita, oszczędna, moralna, pobożna, patriotyczna, słowem – posiadająca w wysokim stopniu wszystkie obywatelskie zalety, tak mało nas obchodzi, że dopiero wtedy słyszymy o niej, kiedy nędza chwytą ją za gardło. Wówczas dopiero dowiadujemy się, że jacyś tam Kurpie żyją! A raczej – umierają. Zaś o ich oryginalnych zwyczajach i narzeczu nie mamy najmniejszego pojęcia”.

Nazwa „Kurp” pochodzi od słowa „kurpsie”, czyli buty wytwarzane z lipowego tyka. (...)

Do dziś mają szorstki sposób bycia, są mściwi i skorzy do uniesień, nie przywiązują wagi do takich drobiazków jak słowność czy punktualność, otwierają się dopiero do ludzi dobrze sobie znanych. Wtedy są gościnni, uczynni, wręcz wylewni i bezinteresowni.

Kiedy autobus z napisem „Biała niedziela” zjechał do Mąć, wyszło, że miejscowi po raz pierwszy widzą ludzi w białych kitlach. Dotąd leczyli się sami. Najczęściej – za pomocą „wstrząchów”. Metoda polegała na obłożeniu chorego deskami i owinięciu kocem. Potem delikwenta podnoszono do góry raz za nogi, raz za głowę. I upuszczano. Zdrowy by nie wytrzymał. A Kurpsiom pomagało na każdą chorobę.

Nikt ze starszych nie dał sobie usunąć zęba rękami stomatologa. Robili to sami za pomocą mocnej nitki przymocowanej do furtki. Nagłe szarpnięcie załatwiało sprawę. Ko-

biety ciężarne unikały badań ginekologicznych. I porodówki.

„Bo tam każą ścinać »kottuny« hodowane na głowie, a baby nie chcą sprowadzić na siebie nieszczęścia”, tłumaczył jeden z miejscowych.

Warszawscy lekarze na nowo „odkrywali” zastraszający poziom opieki medycznej wcale nie tak daleko od stolicy kraju, tam gdzie dominują „laski, piaski i karaski”. (...)

Rok 1966

Kłopoty stomatologiczne

Władze wojewódzkie zaczęły otrzymywać informacje od uczestników „Białych niedziel” o fatalnym stanie uzębienia młodzieży szkolnej. Te sygnały zaowocowały naradą na temat „niedostatecznej opieki stomatologicznej uczniów”.

Zbyt wielu polityków i „historyków” staje na rzesach, by Mazowsze kojarzyło się z „czarną dziurą”.

Okazało się, że sytuacja na Kurpiach nie jest taka zła, gorzej wypadły: Sierpc, Ryki, Sokołów Podlaski i Pułtusk.

Na Mazowszu istnieje obecnie tylko siedem poradni dentystrycznych. A to skutkuje nadmiernym tłokiem w ośrodkach zdrowia; każdy musi obsłużyć 50 szkół.

Nie do końca rozwiązano problem opieki medycznej w każdej szkole. Często gabinety dentystryczne stoją puste, a wolne etaty czekają na chętnych. Lekarzy stomatologów jest w województwie ledwie 785, tymczasem Warszawa ma ich nadmiar.

Obliczono, że na Mazowszu, Kurpiach i Podlasiu jeden technik dentystryczny przypada na 30 tys. uczniów. 400 tys. młodzieży szkolnej nie objęto planowym leczeniem.

Reporterski rajd wykazał, że w terenie bywa różnie. Pozytywnie zaskoczył Żuromin, który dysponuje najmniejszą liczbą dentyстів, a jednak wszyscy uczniowie są tam przebadani. Nie ma większych powodów do narzekań w Łosicach, Gostyninie oraz w Grodzisku Mazowieckim. W Mławie stomatolodzy poszli na łatwiznę; żeby utrzymać dobrą statystykę, preferują usuwanie zębów nawet nadających się do leczenia.

W Otwocku dr Zenona Węgrzecka stwierdziła, że opieką lekarską objęto wszystkie dzieci: 3 tys. przedszkolaków i 6,6 tys. uczniów, a przychodnie międzyszkolne działają 12 godzin na dobę.

Gorzej jest w powiecie otwockim. Tam opieki stomatologicznej wymaga 20 tys. małych pacjentów.

Władze wojewódzkie mają „stanać na głowie”, żeby w każdej szkole był gabinet lekarski. Czynny! (...)

Rok 1966

W mundurze junaka „Służby Polsce” odgruzowywałem Warszawę. Budowałem Stadion Dziesięciolecia. Z tego gruzu.

Uczestniczyłem w akcjach „Każdy kłós na wagę złota” i w jesiennych wykopkach. Pomagałem gospodarstwu, w których – z winy wojny – brakowało męskich rąk do pracy. Nikt mnie do niczego nie zmuszał.

I nie płacił. Robiłem wszystko z entuzjazmem. Jak inni. Śpiewałem: „My, Zet-em-pe... reakcji nie boimy się” i „Naprzód, młodzieży świata”. Po pięciu latach okupacji pełnej dokuczliwości i niebezpieczeństw, nalotów, przesadywania w piwnicy – oddychałem pełną piersią.

Kiedy ukończyłem 16 lat, zacząłem pracować w fabryce „E. Wedel”. Przez kilka lat dobrowolnie uszczuplałem swoją pensję o 2%, wspierając budowę „tysiąca szkół na tysiąclecie”. Służąc w MSW, kupowałem cegielki na rozbudowę szpitala przy ulicy Wołoskiej.

► Podczas 26-letniej kariery dziennikarskiej z umiarkowanym zapamiętaniem uprawiałem „propagandę sukcesu”: w Nowym Jorku kierowałem kamerą na biedaków grzebiących w śmietnikach, a w Moskwie zachwycam się metrem i defiladą wojskową. W kraju niechętnie zatrzymywałem obiektyw na tym, co zakłócało optymizm.

Systematyczne wizyty w fabrykach i rozmowy z robotnikami ułatwiały mi „twarde chodzenie po ziemi”. Wkurzało mnie, że są w kraju sklepy normalne, komercyjne i za „żółtymi firankami”, że trzeba stać w kolejkach, „załatwiać” kupno części samochodowych, zabiegać o paszport. Że mamy najmniejszą w Europie liczbę telefonów. Że jest szaro. Że „moja” partia Niemrawo likwiduje ludzkie bólaczki, że nie czuje życia.

Mimo to bardzo wierzyłem, że żyję w kraju, który po odbudowie zniszczeń wojennych zmierza ku lepszemu, chociaż po wyboistej drodze, z wieloma znakami zakazów. Że budujemy najsprawiedliwszy ustrój świata.

Nigdy nie zapomniałem o swoich korzeniach. Nie wypierałem się matki, która pasła krowy u bogatego gospodarza łaskawcy, bo pozwolił

Ludowej i tworzenia mitu o „czarnej dziurze”.

Tego dorobku próbuję bronić na miarę skromnych możliwości; spłodziłem kilka książeczek, nawet ciekawych, które jednak przeszły bez większego echa. W cenie jest opluwanie przeszłości.

Ale... od Okrągłego Stołu minęło już 30 lat. Trzecia Najjaśniejsza wyrosła na dojrzałą pannę. I kiedy na nią

Zyski wypracowane w Polsce wędrują za granicę.

spoglądam – twierdzę, że PRL nie trzeba bronić. Polska Rzeczpospolita Ludowa broni się sama!

Bo cóż wielkiego dokonały kolejne rządy III RP? Port w Świnoujściu? – zgoda. Autostrady – choć niedokończone – zgoda. Orliki? – duże brawa dla Tuska. 500+? Szacunek dla PiS. Kilka mostów – szczerze gratulacje.

Co jeszcze? Fontanny w małych miasteczkach, szklane wieżowce w obcych rękach, Pendolino jeżdżące najszybciej po torach zbudowanych za Gierka. I obietnice... obietnice – zaczynając od 3 mln mieszkań zapowiadanych przez PiS po objęciu władzy po raz pierwszy.

duże zagraniczny kapitał. W gronie 500 największych firm działających nad Wisłą aż 280 to podmioty zagraniczne, a tylko 63 należą do państwa.

Na ponad 60 banków tylko jeden jest czysto polski. A handel... a usługi... a rolnictwo osaczone przez zagranicznych właścicieli supermarketów? Jest ich w Polsce prawie 800. Zyski wypracowane w Polsce wędrują za granicę.

Najświeższym przykładem „niewolności państwa” były obchody stulecia odzyskania niepodległości. Kuglowano pomysłami na miarę powiatu. Nawet „wielka defilada wojskowa” zaprezentowała polskie siły zbrojne oparte na sprzęcie radzieckim, podpartym leopardami i samolotami F-16, też odległymi od nowoczesności.

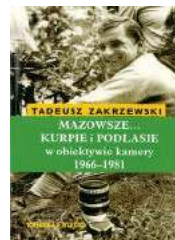
Rząd silny nie tylko w gębie może wziąć przykład z Radomia, gdzie z okazji 15-lecia Polski Ludowej powstało piękne osiedle mieszkaniowe. PiS powinno zbudować takich osiedli co najmniej kilkanaście.

Zawstydzające jest dziś szybkie tempo realizacji hasła „tysiąc szkół na tysiąclecie”. A postawiono ich prawie dwa razy więcej.

Zmierzam do złośliwej refleksji: gdyby rządząca prawica zdekomunizowała dorobek PRL dokładnie, do samych fundamentów, gdyby zlikwidowała postawione wtedy przedszkola, szkoły, szpitale, fabryki i budynki publiczne, gdyby musiała egzystować tylko w warunkach stworzonych własnymi rękami, to przyszedłoby jej spać w szafasach, nauki pobierać pod gruszą, leczyć się u znachora, a urzędować i obradować pod namiotem, jak ten postawiony dla potrzeb parlamentu na jeden dzień.

Tymczasem hucpiarska elita wzięła wszystko jak swoje, rozparła się w fotelach i pokrzykuje: „Precz z komuną!”.

Fragmenty książki
Tadeusza Zakrzewskiego
*Mazowsze... Kurpie
i Podlasie w obiektywie
kamery 1966-1981*,
Książka i Wiedza,
Warszawa 2019



W Warszawie sport można uprawiać głównie za pieniądze.

jej ukończyć czteroklasową szkołę w Kocku. Jako dzieciak śmiałem się z ojca drwala, który podpisywał się trzema krzyżykami. Potem zrozumiałem, że jest to efekt społecznej niesprawiedliwości, że należał do 50% analfabetów zamieszkujących wschodnie tereny kraju.

Doceniam szansę, jaką mi dała nowa Polska. Ukończyłem wydział prawa i studia dziennikarskie, zrobiłem karierę, o jakiej nawet nie śniłem.

Podczas Okrągłego Stołu obsługiwałem stronę, która wkrótce przejęła władzę. Lech Wałęsa proponował mi pracę w Biurze Prasowym Kancelarii Prezydenta. Podziękowałem. W ogóle zrezygnowałem z zawodu. Poszedłem pod skrzydła Sobiesława Zasady, do jego biznesu. Miałem poczucie winy, że moje pokolenie zawiodło, nie przekazało Solidarności kraju w lepszej kondycji, z lepszymi parametrami.

Z czasem rósł we mnie bunt przeciwko beczelnym próbom całkowitego wyzerowania dorobku Polski

Warszawa ma dwa piękne stadiony piłkarskie, po których szwendają się zawodnicy jednej, nie najlepszej drużyny Legii, w tym kupa piłkarzy nieznających języka polskiego. Za to brakuje w stolicy stadionu z bieżnią lekkoatletyczną, a przecież to lekkoatleci przysparzają Polsce splendorów. Najlepsza młociarka wszech czasów – Anita Włodarczyk – trenuje pod mostem, a stadion Skry marnieje ku zadowoleniu deweloperów. Gdzie się podziały takie kluby jak: Polonia, Budowlani, Spójnia, Skra, Gwardia?

W Warszawie sport można uprawiać głównie za pieniądze. Korty tenisowe i baseny są dostępne dla zamożnych.

To tylko jeden z wielu dowodów na to, że władze III RP nie mają mocy sprawczej, a państwa nie stać na wielkie wyzwania. Rząd nie rządzi, a jedynie zarządza budżetem skłecanym głównie z podatków, bo przemysł pracuje dla obcych. Decy-

Dogrywka po odwołanym meczu

Edward Mikołajczyk

Umarł dr Predrag Lalević, chirurg i anestezjolog, człowiek, który 4 maja 1980 r. nakazał wyłączenie aparatury podtrzymującej przez 68 dni życie jugosłowiańskiego marszałka Josipa Broza-Tity. Przed chwilą (wtorek, 26 marca, wczesne popołudnie) powiadomił mnie o tym serbski „Kurir”, musiałem więc porzucić pierwotny zamiar napisania tekstu o zagrożeniu pozycji pana Boga w Polsce w związku z wystąpieniem pewnego prokuratora od Ziobry przed Trybunałem Sprawiedliwości w Luksemburgu. Myślę, że jeszcze przez jakiś czas Opatrzność zdoła obronić TSUE, a trybunał z jej pomocą obroni sprawiedliwość w naszym kraju, tymczasem Bałkany nie mogą dłużej czekać.

Tito był hospitalizowany w Lublanie. Nie chciał słyszeć o koniecznej amputacji lewej nogi z powodu zatoru tętniczego. Zaprośzeni na konsultacje lekarze z USA i Moskwy wymyślili mostek, który został odrzucony przez organizm, aż w końcu, z obawy przed gangreną, obcięto marszałkowi nogę. Ale i ten zabieg nie pomógł. Zaczęły się komplikacje, które wymagały uruchomienia aparatury podtrzymującej życie najważniejszego pacjenta w dziejach słoweńskiego centrum klinicznego.

Mózg marszałka żył, napisał przed własną śmiercią dr Lalević, który przez ostatnich 16 lat Tity czuwał nad jego zdrowiem. Tak odpowiadał również lekarzom niemieckim, którzy mu zarzucali, że trzyma pod aparaturą



Josip Broz-Tito (pierwszy z lewej) z premierem Winstonem Churchillem i ministrem spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Anthonym Edenem, Londyn, 1953 r.

czołgi i zwracano je spod granicy z Serbią, by wyczuć najlepszy moment do startu po komunikacie z Lublany. Zdradzę przy okazji, jak brzmiał ów „komunikat lekarski” adresowany do najwyższych władz partyjnych i państwowych. Był tak zaszyfrowany, by w niedzielę po południu, kiedy wszyscy mówią o piłce nożnej, wiadomość utonęła w zgiełku. Członków Prezydium Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii i kierownictwa Związku Komunistów Jugosławii poinformowano o śmierci Josipa Broza-Tity za pomocą hasła: „Mecz został odwołany”.

W szlachetnej wierze w posłannictwo zawodowe lekarz zanotował, że w staraniach o ratowanie życia jugosłowiańskiego marszałka uwzględniał moment walki o władzę w kraju. Odłączył aparaturę w niedzielę, 4 maja 1980 r., o godz. 15.05 – jak stwierdził, 10 minut po śmierci mózgu pacjenta. Można sobie wyobrazić, ile teraz, po jego odejściu, urodzi się nowych pytań o rolę najbliższego otoczenia Tity, ile pojawi się nowych ocen, ile świadectw ujrzy światło dzienne.

Na polskim rynku jest od kilku miesięcy równie gruba (ponad 800 stron!), jak ciekawa książka o Ticie, autorstwa słoweńskiego historyka Jože Pirjevca, biografia najobszerniejsza i najrzetelniejsza dotąd. Choćby ze względów objętościowych

niewiele można do niej dopisać, tymczasem legenda marszałka bez przerwy puchnie i domaga się weryfikacji oraz interpretacji nowych odkryć.

Rosyjski historyk Nikita Bondarijew twierdzi, że Tito w dużej mierze zawdzięcza karierę umiejętności pisania „charakterystyk”, których wymagano od niego przed wojną w Moskwie. Podobno pisał prawdziwe poematy i tak chwalił swoich towarzyszy walki, że organa bezpieczeństwa nie miały żadnych wątpliwości, kogo zamknąć. Jakiś astrolog z Belgradu (nie podano nazwiska, bo dzisiaj jest poważnym profesorem) udowodnił, że Tito przywłaszczył sobie nazwisko Broz od austriackiego kaprala, który w 1915 r. poległ w Galicji, a w istocie jest nieślubnym dzieckiem Franciszka Józefa z polską arystokratką Marią Sobieską. Chorwacki dziennikarz właśnie napisał, że za 700 mln marek kredytu od RFN, nigdy niespłaconego, Tito „załatwił” Niemcom wygraną 2:0 w meczu z Jugosławią podczas mistrzostw świata w Niemczech w roku 1974.

Czy dr Lalević wiedział, kogo odłączył od respiratora?

Czy dr Lalević wiedział, kogo odłączył od respiratora?

nieżyjącego człowieka. Tego ani innych faktów nie ujawniono opinii publicznej, ale ludzie czuli, że dzieje się coś niepokojącego, i pojawiły się pierwsze sygnały paniki. Stane Dolanc, szef jugosłowiańskiej policji i człowiek najbardziej aspirujący do schedy po marszałku, mówił doktorowi, że nie tylko pojedyncze dni, ale wręcz każda godzina życia Tity jest ważna dla kraju. Sam rozsiewał pogłoski, że w stronę granicy bułgarsko-jugosłowiańskiej właśnie podąża potrójna kolumna radzieckich czołgów.

Każdy z pretendentów miał własną taktykę siania strachu, więc codziennie w plotkach odpalano te rosyjskie

Dlatego trzeba...

Bernard Konrad Świerczyński

Siedziałem sam w pustym pokoiku Stefana. Jeszcze przed dwoma dniami było tu pięć osób. Franka, dziesięcioletni Musio, jakiś gimnazjalny profesor matematyki, pianista Karol, Halina. W dzień siedzieli na podłodze pod otwartym oknem, rozmawiali szeptem, czytali. Sąsiedzi z naprzeciwka mogli godzinami patrzeć, co się w pokoju dzieje, widzieli tylko mnie, czytającego przy stole lub jedzącego śniadanie czy obiad. Na kolację okna zasłaniało się przeciwnolotnym papierem, zapalało światło i wtedy siedzący pod okiennym parapetem mogli wstać i rozprostować kości. Cisza bezwzględna obowiązywała jednak przez 24 godziny...

Ktoś zapukał do drzwi. Dwa krótkie uderzenia, jedno dłuższe, dwa krótkie, jedno, dwa krótkie, jedno dłuższe. W drzwiach stał Stefan.

– Co tu tak pusto?

– Wczoraj rano zaczęli mnie w bramie dzielnicowy. Spytał, czy to ja mieszkam na piątym piętrze. Odpowiedziałem, że tak, a na to on: „Panie, zrób pan tam u siebie porządek. Sąsiedzi się skarżą. Usuń pan to...”. A ja: „Tak jest, panie władza. Jutro będzie czystutko, że palce lizać, dziękuję za zwrócenie mi uwagi”.

– Ilu miałeś wtedy ludzi?

– Pięcioro.

– No i co? Rozrzuciłeś?

– Tak. Trochę na łapu-capu, ale wszyscy cali i zdrowi.

– A gdzie ty masz te swoje meliny?

– Nie twoja sprawa.

– Ale dzielnice możesz powiedzieć. Czasem taka ogólnikowa informacja może się przydać...

– Dwie na Czerniakowie, na Jasnzej, Grochowie, nawet w dzielnicy niemieckiej, Śródmieście.

– Nielicho! A co jedzą?

– Niektórzy mają trochę forsy, to im kupują. Ale wiesz co, Stefciu, skoro już mówimy o żarciu, to mam dla ciebie smutną wiadomość.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, co to jest Treblinka? – zapytałem.
– To obóz zagłady. Tam już piece i gaz nie wystarczają



– Co się stało?

– Jerzy Karol, ten pianista, Halina, no i jeszcze parę osób, nie wyłączając mnie, zżarliśmy ci całą twój zimowy przydział kartofli...

– Rany boskie! Przecież tam było z 50 kilo!

– Ale policz, ile narodu będzie ci dobrze wspominać!

– No i co mam teraz powiedzieć na tę aprowizacyjną wiadomość?

– Ja to bym wiedział, co powiedzieć – odezwałem się z udanym zamysleniem.

– No to pies wam wszystkim mordę lizać! – skomentował sprawę Stefan.

– Amen! – zakończyłem rozmowę na tematy aprowizacyjne.

Stefan usiadł na łóżku i w zamysleniu rozglądał się po pokoju. Widać było, że jest gdzieś daleko, za zainteresowaniem sprawami aprowizacyjnymi starając się ukryć prawdziwy cel swojej wizyty. Zbliżył się do okna i rozejrzył po podwórku.



Warszawskie getto, prawdopodobnie ulica Zamenhofa, lato 1941 r.

Bernard Konrad Świerczyński.

– Śmierdząca sytuacja – powiedział. – Temu dzielnicowemu ktoś tę robotę nadał, i to jakaś wsza z tego domu. Może te dwie lalunie z parteru?

– Wykluczone. Dzielnicowy we własnej dzielnicy do burdelu nie chodzi.

– To kto?

– Zagraj w orla i reszkę.

– Masz rację, nie czas teraz dociekać kto. Ważne, że mają cię na muszce. A swoją drogą ten dzielnicowy to porządny chłop, musisz się urywać.

– To nie problem. Ale szkoda lokalu.

– A czapy ci nie szkoda?

– Też racja – burknąłem.

Stefan znów zaczął chodzić po mieszkaniu. Machinalnie poprawił serwetkę na stole. Pstryknął parę razy palcami w wiszące nad kuchnią garnki, poprawił stojące przy stole krzesło.

– Słuchaj, Kondek, sprawa jest poważna. Szkopy cholernie nadeptnęły mi na odcisk. Więc nie pajacuj i dobrze się zastanów, zanim coś powiesz.

– Słucham?

– Masz jakieś dotarcie na Umschlagplatz?



pem chodziliśmy po wagonach. Ale Chaima nie było.

Stefan znów zaczął w zamyśleniu chodzić po pokoju. Otworzył szafę i przeglądał zawartość. Były tam moje koszule, trzy krawaty, kapelusz, skarpetki i inne szczegóły kawalerskiej garderoby.

– Który numer butów nosisz?

– 28, bo co?

– Jadę do Treblinki. Jak udało się jakiemuś inżynierowi, to i mnie się uda. Tego szkopom nie podaruję!

Zapadła cisza. Usiadłem przy stole i zacząłem się zastanawiać nad sytuacją. Znałem wyniki podróży do Treblinki Stasia Skrypija, zaliczałem się do niewielu, którzy w Warszawie mieli w owym czasie pewne pojęcie o tym, co to jest Treblinka. Stefan

toby forse płacili, żeby mnie obejrzeć i się pośmiać.

– Stefan! Czy to nie jest pomysł „na wariata”?

– Chrzanisz. A jeśli nawet, to co? Jak chłopaki z Marymontu jeżdżą „na wariata” do Włoch, to ja nie pojadę sto parę kilometrów? I to z dobrymi papierami!

Wziął do ręki stojące na stole lustro, przecesał swoje blond „aryjskie” włosy i zaczął się przebierać. W koszuli i krawacie, w kapeluszu i w swoim odprasowanym garniturze wyglądał nawet na szkopa.

– Opuść rondo z tyłu – poradziłem. – Szkopy tak się noszą.

Jeszcze raz wziął do ręki lustro, przycesał włosy, przyjrzał się swojej nowej sylwetce, zapastował buty

To, co działo się z Żydami do tej pory, to chleb z masłem. Obecnie Niemcy przystąpili do wymordowywania całego narodu.

– Nie.

– Wiesz, dokąd idą transporty?

– Wiem tyle albo niewiele więcej co inni, podobno do Treblinki.

– Czy stamtąd ktoś już wrócił? Czy można się dowiedzieć, co się tam dzieje?

– Słyszałem o takich, co tam byli. Pojechali jako pomocnicy maszynisty parowozu. Szczegółów nie znam, ale wiem, że sprawa jest beznadziejna.

– Powiedz mi tylko, czy wiesz, jacy ludzie tam się wybrali. Idzie mi o to, czy chłopaki z ikra.

– Bo ja wiem? Zdaje się, że jakiś inżynier, jakiś handlowiec.

– Toś mnie trochę pocieszył.

– Ale powiedz wreszcie, o co idzie! Wypytyujesz, a nie mam pojęcia, do czego zmierzasz.

– Wczoraj w czasie akcji policja żydowska wygarnęła Chaima.

– Jeśli wczoraj, to być może jeszcze jest na Stawkach.

– Już tam byłem. Dałem w łapę, komu trzeba, i nawet razem ze szko-

zdał buty i wyciągnął się na łóżku. Patrzył w sufit. Sprawiał wrażenie człowieka, który spał z otwartymi oczyma.

– Stefan. Czy ty zdajesz sobie sprawę, co to jest Treblinka? – zapytałem. – To nie Oświęcim, gdzie ludzie nawet po parę lat jakoś przetrzymują. To obóz zagłady. Tam już piece i gaz nie wystarczają. Trupy pali się w masowych dołach...

Stefan nic nie odpowiedział. Wstał z łóżka i włożył moje buty. Z szafy wyjął najlepszą koszulę i krawat.

– Kondek, widziałem u ciebie takie srebrne spinki z niebieską emalią. Pożycz...

– Leż tam, koło koszul.

– Zabieram trochę twoich łachów, bo muszę wyglądać jak człowiek. Pod krawatem i w modnych pantoflach. O, widzisz? Nawet ten kapelusz pasuje jak ulał. Rany boskie! Pierwszy raz w życiu będę paradował w dęciaku. Gdyby mnie tak zobaczyli przed wojną w Wenecji,

i rozejrzał się po pokoju. Widać było, że poza „fasonem” i pozornym lekceważeniem powagi decyzji, którą podjął, zdawał sobie jednak sprawę, że zamierza dokonać wyczynu, jakiego nikt jeszcze nie dokonał. Widziałem, że nie było siły, która byłaby zdolna zmienić jego zamiar.

– Stefan, nie wiem, jak głęboko siedzisz w robocie. Ale uważam za swój obowiązek przypomnieć ci, że to, co działo się z Żydami do tej pory, to chleb z masłem. Obecnie Niemcy przystąpili do wymordowywania całego narodu i każdego, kto im w tym będzie przeszkadzał. To już nie szmugiel do getta...

– No i właśnie dlatego trzeba. Zresztą, co tu gadać, kiedy nie ma o czym mówić. Trzymaj się, chłopie! Po wojnie oddam ci dwa kapelusze. A jak wrócę, to we trzech z Chaimem musimy jakąś butelczynę obalić!

Podał mi rękę, jeszcze raz powiedział „trzymaj się”. I nikt go więcej nigdy nie widział. To był naprawdę mocny facet. I dobry Polak.

Wspomnienie człowieka wychowującego się wśród warszawskiej ferajny skupionej wokół słynnego Kercelaka. Dla tych ludzi w latach wojny już nie bazar, ale granica getta stała się najważniejszym terenem działania. Szmuglowali żywność, organizowali akcje ratunkowe. Zarabiali, ale nie wahali się też, kiedy czasem trzeba było pomóc bezinteresownie – kodeks honorowy obowiązywał niezmiennie. Sam Bernard Konrad Świerczyński ocalał życie co najmniej kilkunastu osobom. W 1972 r. został uhonorowany medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

Fragmenty książki Bernarda Konrada Świerczyńskiego *Przemysł życia*, Ośrodek Karta, Warszawa 2018





KAFELKI POŻĄDANIA

Ze ścian lizbońskich
budynków znikają
słynne azulejos

Tomasz Skowronek

Był niedzielny poranek, kiedy do Jorge Costy, właściciela lizbońskiej knajpki, zadzwonił jego pracownik i przekazał mu przykrą wiadomość: ktoś zniszczył część kafelkowych fresków, które przez 70 lat zdobiły elewację jego restauracji Leitaria da Anunciada. Prawie 60 ręcznie malowanych *azulejos*, układających się w scenę pasterską, zostało zerwanych ze ściany, najwidoczniej skradzionych nad ranem. Najprawdopodobniej trafiły na czarny rynek.

– Przez te wszystkie dziesięciolecia freski nas wyróżniały. Były naszym symbolem, a teraz zdarzyło się coś tak okropnego – martwi się Costa. – Te kafelki nie należą do mnie ani do żadnej innej konkretnej osoby; należą do nas wszystkich jako społeczeństwa i to my wszyscy mamy obowiązek je chronić.

Ze względu na wyjątkową wartość historyczną i kulturową płytki są szczególnie atrakcyjnym łupem dla złodziei – mogą oni sprzedać je z dużym zyskiem turystom albo kolekcjo-

nerom. Kradzieże są więc na porządku dziennym w Portugalii, zwłaszcza w Lizbonie.

– Jeśli nie podejmiemy żadnych działań, problem kradzieży sam się nie rozwiąże. Kafelki są bowiem cenne – tłumaczy Ricardo Branco, historyk sztuki i badacz z Universidade Nova de Lisboa w rozmowie z dziennikiem „Público”.

Pamiątka po Maurach

Azulejos – ozdobne ceramiczne płytki, najczęściej biało-błękitne – są jedną z pierwszych rzeczy, na które zwraca się uwagę podczas pobytu w Portugalii. Widzi się je w halach dworców kolejowych, na rogach ulic, w parkach, kościołach, sklepach czy na fasadach zwykłych budynków. Sprawiają, że miasta i miasteczka zyskują dodatkowy urok. W stolicy powstało nawet muzeum *azulejos*, a ich dzień, obchodzony 6 maja, ma charakter święta narodowego.

Zazwyczaj motywy tworzone z połączenia wielu *azulejos* układają się w sceny historyczne, mitologiczne, religijne bądź przyrodnicze.

– Od wieków *azulejos* określały, co to znaczy być Portugalczykiem – wyjaśnia dr Vítor Serrão, profesor historii sztuki na uniwersytecie w Lizbonie. – Od średniowiecza są ważną formą portugalskiej sztuki.

Pojawiły się na Półwyspie Iberyjskim już w XIII w. za sprawą Maurów, którzy okupowali wtedy te tereny. Nazwa *azulejo* pochodzi od arabskiego słowa *azzelij* (lub *al zuleycha*, *al zuléja*, *al zulaiju*, *al zulaco*) oznaczającego mały, gładki kamień. Pierwsze płytki do portugalskich kościołów i innych budynków zostały sprowadzone najprawdopodobniej pod koniec XV stulecia z sąsiedniej Andaluzji, a konkretnie z Sewilli, która była kiedyś głównym ośrodkiem ich produkcji. W 1498 r. król portugalski Manuel I Szczęśliwy odbył podróż do Hiszpanii, odwiedzając m.in. Saragossę, Toledo i Sewillę. Zafascynowany tamtejszymi wnętrzami wyłożonymi mauretańską mozaiką po powrocie do kraju zdecydował o wybudowaniu podobnych rezydencji, tym samym wprowadzając mauretańsko-hiszpańską technologię *azulejos* do ojczyzny.

I tak do dziś charakterystyczne kafelki są układane na ścianach, podłogach, a nawet sufitach. Stały się czymś więcej niż tylko elementem dekoracyjnym. Mimo że wykonane z niedrogiego materiału, są odporne na wodę, więc z powodzeniem mogą być używane do pokrywania ścian kuchni, łazienek i innych pomieszczeń o dużej wilgotności.

Oferta Targu Złodziei

Niestety, co roku w wyniku kradzieży z lisbońskich kościołów, pałaców lub domów znikają tysiące płytek. Coraz częściej można też zauważyć brakujące elementy albo poobijane freski na ścianach opuszczonych posiadłości.

Ostatnio media rozpisywały się o zuchwałej kradzieży, do której doszło pod koniec grudnia zeszłego roku w niewielkiej miejscowości Odivelas, oddalonej o 12 km od stolicy. Z tamtejszego klasztoru św. Dionizego (*mosteiro de São Dinis*), w 1910 r. wpisanego na listę zabytków narodowych, skradziono ok. 170 płytek pochodzących z XVII w.

Opuszczony i zaniedbany pałac Pombala stojący praktycznie w centrum Lizbony był parokrotnie okradany z kafelków, dopóki lokalne władze nie zabezpieczyły obiektu. Jednak największa kradzież miała miejsce kilka lat temu, kiedy to prawie 2 tys. XVII-wiecznych płytek przedstawiających sceny z życia św. Antoniego zostało skradzionych z kaplicy pałacu flamandzkiego w Vialondze, w gminie Vila Franca de Xira. Rabunek odkryto przypadkiem, gdy grupa nauczycieli i uczniów z pobliskiej szkoły postanowiła odwiedzić stary, nieużytkowany od ponad 20 lat pałac. Straty oszacowano na ponad 40 tys. euro.

Leonor Sá tłumaczy, że kradzieżą zajmują się głównie dwie grupy. Pierwszą tworzą drobni przestępcy, czasem narkomani, którzy czerpią korzyści ze złego stanu, w jakim nie raz znajdują się panele. – Płytki same zaczynają się odrywać od ściany i każdy może je łatwo usunąć – podsumowuje. Druga zaś to zorganizowane grupy przestępcze, które kradną kafelki na zamówienie i często przemycają je za granicę.

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że część zrabowanych azulejos

trafia na Feira da Ladra (na tzw. Targ Złodziei). Stare płytki sprzedawane są tam w cenie od 5 do 100 euro za sztukę. Bardziej zadbane panele, z oryginalnym wzorem, np. z motywami kwiatowymi czy egzotycznymi zwierzętami, mogą kosztować 500 euro. W sklepach z antykami ceny niektórych mogą sięgać 10 tys. euro.

SOS Azulejo

W ostatnich latach pojawiły się inicjatywy mające chronić kafełkowe dziedzictwo Portugalii. – Nasze społeczeństwo jest coraz bardziej świadome jego znaczenia. Coraz więcej ludzi zgłasza na portalach społecznościowych akty wandalizmu i kradzieże – mówi Leonor Sá, koordynatorka projektu „SOS Azulejo”, którego głównym celem jest ochrona tych płytek, nagłaśnianie przypadków ich kradzieży i zachowanie cennego dziedzictwa dla następnych pokoleń. W zainicjowanym w 2007 r. przedsięwzięciu biorą udział różne organizacje, dwa uniwersytety, władze lokalne i oczywiście policja.

Pod koniec grudnia z klasztoru św. Dionizego w Odivelas skradziono ok. 170 płytek pochodzących z XVII w.

W ramach projektu powstała strona www.sosazulejo.com, na której zaprezentowano zdjęcia płytek skradzionych m.in. z kościołów, szpitali bądź stacji kolejowych. Dzięki temu ich sprzedaż nie jest już tak łatwa, co może odstraszać potencjalnych złodziei. Dzięki inicjatywie „SOS Azulejo” w Lizbonie są też prowadzone działania edukacyjne mające zwiększyć świadomość, jakie znaczenie ma to dziedzictwo Portugalii. Wprowadzono także nowe przepisy zakazujące wyburzania budynków, których fasady pokryte są płytkami, a obiekty ozdobione ważnymi kolekcjami *azulejos* są teraz lepiej chronione. Policja utworzyła nawet specjalny oddział zajmujący się przypadkami kradzieży kafełków i aktami wandalizmu.

Pamiątki ze ściany

Jak wyjaśnia Leonor Sá, powołanie do życia „SOS Azulejo” sprawiło, że w latach 2007-2016 liczba kradzieży spadła o ponad 80%. Jednak

w ostatnim czasie ponownie trochę wzrosła. Bum turystyczny i na rynku nieruchomości, który stał się udziałem Lizbony czy Porto, również przyczynia się do stopniowego niszczenia płytkowego dziedzictwa. – Uważam, że ostatnie nasilenie się kradzieży jest przynajmniej częściowo związane z masową turystyką – przyznaje inspektor policji Oscar Pinto. Zapotrzebowanie na kafelki kupowane jako pamiątki z podróży spowodowało rozwój czarnego rynku w różnych miastach. Zdarzało się, że i sami turyści odrywali kafelki ze ścian.

Jak uważają lisbońskie władze, nie można całkowicie zapobiec kradzieżom kafełków. Nie da się zainstalować monitoringu na każdym kroku ani patrolować bez przerwy wszystkich zakątków miast. Policja za to co jakiś czas pilnie przygląda się towarom wystawionym na Targu Złodziei i sprzedawanym w sklepach z antykami, upewniając się, czy oferowane tam kafelki nie pochodzą z rabunku.

Óscar Pinto, który sam kontroluje takie punkty, tłumaczy, że wszystkie

osoby handlujące płytkami – niezależnie, czy są to elegancyści sprzedawcy antyków w dzielnicy Chiado, czy zwykli straganiarze na Feira da Ladra – twierdzą, że ich towary pochodzą z rozbiórki. Faktycznie bardzo trudno udowodnić, że dana płytka została zdobyta w wyniku kradzieży. – Chociaż jeżeli narkoman sprzedaje 20 *azulejos* po 1 euro za sztukę, istnieje duże prawdopodobieństwo, że pochodzą one z kradzieży – zaznacza Pinto.

Zaledwie 100 m od Targu Złodziei, na ulicy São Vicente de Fora, prowadzi sklep Cristina Pine. Oferuje ona płytki będące reprodukcjami ceramiki z XVIII w. Kupujący w takich miejscach turysta nie tylko zyska cenną pamiątkę, ale również wesprze talent artystyczny i będzie miał pewność, że jego kafelki nie pochodzą z kradzieży. – Wolę, żeby turyści jako pamiątki z Lizbony kupowali piękne reprodukcje płytek, dzięki czemu oryginalne pozostaną w kraju – wyjaśnia właścicielka sklepu.

KOŃCA BUDOWY WCIAŻ NIE WIDAĆ

Wymęczone sześć punktów reprezentacji

Maciej Polkowski

Nie po raz pierwszy UEFA zafundowała polskim sympatykom futbolu przedłużony weekend (21-24 marca). Tym razem powodem było rozpoczęcie eliminacji do finałów mistrzostw Europy 2020. Biało-czerwoni zaliczyli (wymęczyli) dwie wygrane: w Wiedniu z Austrią 1:0 i w Warszawie z Łotwą 2:0. Udany start rokujący awans do największego europejskiego święta futbolowego, które potrwa od 12 czerwca do 12 lipca 2020 r., z wielkim finałem na londyńskim Wembley. Turniej z udziałem 24 reprezentacji zobaczą kibice w 12 krajach. Będą to: Anglia, Niemcy, Hiszpania, Holandia, Dania, Azerbejdżan, Irlandia, Włochy, Węgry, Szkocja, Rumunia i Rosja. Jeżeli nasza reprezentacja (w co głęboko wierzymy) wywalczy udział w finałach, to na jej mecze trzeba będzie wyjeżdżać za granicę.

Głowy nie od parady

Kiedy tylko selekcjoner ogłosił nazwiska kadrowiczów, przez Polskę przetoczyła się kolejna dyskusja na temat ewentualnej wspólnej gry Lewandowskiego, Milika i Piątka.

Z Austrią: Lewandowski rozegrał cały mecz, Milik pierwszą połowę, 45 minut, Piątek od 59. minuty.

Z Łotwą: Lewandowski pełne spotkanie, Piątek zastąpiony przez Milika w 87. minucie.

Zdaniem „Lewego”: „My nie do końca jesteśmy podobnymi napastnikami i od tego trzeba zacząć. Jeśli coś nas przybliża, a nie wyróżnia, to fakt, że strzelamy dużo bramek. Poza tym mamy inne doświadczenie, inny sposób grania. W meczu z Łotwą pokazaliśmy z Krzyśkiem kolejne akcje, w których przy odrobinie szczęścia, minimalnie lepszym przyjęciu, mogły paść bramki. Z meczu na mecz bę-

dzie to wyglądać lepiej. W piłce nie ma cudów – po jednym czy dwóch meczach nie może wszystko funkcjonować należycie. Rozumiemy się coraz lepiej, a z biegiem czasu będzie coraz lepiej”.

W podobnym tonie wypowiadał się Piątek: „Fajnie się uzupełnialiśmy, zrobiliśmy parę akcji, ale zaszkodziła skuteczność. Cieszę się z tej współpracy, bo wygląda z meczu na mecz coraz lepiej. Mogę się od Roberta wiele nauczyć. To przecież bardzo doświadczony piłkarz. Zdawaliśmy sobie sprawę, że będzie to ciężki mecz. Wiedzieliśmy, że rywale będą grali defensywnie, i staraliśmy się rozrywać tę obronę. Wydaje mi się, że to był dobry sprawdzian. Cieszę się, że bramki strzelili Robert i Kamil, zdobyliśmy trzy punkty i to jest najważniejsze”.

Trzy gole zdobyte w dwóch meczach, a wszystkie po uderzeniu lecącej w powietrzu piłki. Można mieć różne zastrzeżenia, ale należy przyznać, że głowy to nasi reprezentanci mają nie od parady.

69. minuta, mecz Austria-Polska, Krzysztof Piątek. Dość często spotykamy się z określeniem, że bywają zawodnicy, których piłka sama szuka. Pasuje jak ulał do sytuacji na wiedeńskim stadionie. Po rzucie różnym wykonanym przez Kamila Grosickiego zakotłowało się przed bramką gospodarzy. Robert Lewandowski wygrał powietrzny pojedynek, piłka trafiła do

GRUPA G

	Mecze	Punkty	Bramki
1. Polska	2	6	3-0
2. Izrael	2	4	5-3
3. Macedonia Płn.	2	4	4-2
4. Słowenia	2	2	2-2
5. Austria	2	0	2-5
6. Łotwa	2	0	1-5



zamykającego akcję Tomasza Kędziory, ten kropnął ile sił w prawej nodze. Bramkarz Heinz Lindner odbił futbolówkę, ale spadła ona na głowę Piątka, który z 4 m skierował ją do siatki.

76. minuta, mecz Polska-Łotwa, Robert Lewandowski. Po rajdzie lewą stroną Arkadiusz Reca idealnie podał piłkę Lewandowskiemu, który wyskoczył i uderzył ją głową, posyłając w lewy róg łotewskiej bramki. „Bardzo chciałem strzelić gola na Narodowym”, powiedział kapitan naszej reprezentacji, który nie trafił do siatki we wcześniejszych ośmiu meczach w barwach narodowych.

84. minuta, mecz Polska-Łotwa, Kamil Glik. Z rzutu różnego Jakub Błaszczykowski dośrodkował na 6 m – Glik uprzedził rywali i głową skierował piłkę do siatki!

W tym miejscu warto wspomnieć o Arkadiuszu Recy. Wprawdzie wyróżnił się on tylko jednym wybournym podaniem, ale i tak zrobiło się o nim głośno. A to za sprawą wypowiedzi Macieja Szczęsnego, byłego bramkarza. W TVP Sport zasugerował, że selekcjoner powołuje i wystawia do gry Recę, bo gdy ten rozegra w barwach narodowych pięć meczów, na konto Wisły Płock trafi 500 tys. euro od Ata-



pastników ma sens, tylko jeśli »Lewy« będzie się cofał. Milik i Piątek to dwaj różni zawodnicy, każdy ma coś, czego nie ma drugi, żaden nie daje w kadrze tego, co daje Napoli czy Milanowi. Środek słaby – Krychowiak przydatny tylko w rzucaniu długiej gąty, Klich nie ten rozmiar kapelusza... Na pewno awansujemy do Euro 2020, bo nie awansować to sztuka, a artyzm w kadrze żaden... Jest smutno, ale może będzie odwrócenie sytuacji i po awansie z pierwszego miejsca na finały pojedzie drużyna. Od Japonii i Korei w 2002 zawsze były klawe eliminacje i kompromitujące finały, oczywiście z wyjątkiem EURO 2016. I to by było na tyle, jak mawiał prof. mniemanologii stosowanej, Jan Tadeusz Stanisławski”.

Szanujmy Lewandowskiego

Także szef sportu w Wirtualnej Polsce Michał Kołodziejczyk nie traci trzeźwego spojrzenia: „Piątek w Wiedniu potrzebował dziesięciu minut, by strzelić jedynego gola w meczu... Jest jak magnes – przyciąga piłki, a pozycji do strzału szukałby, nawet wznawiając grę z autu. Widocznie piłkarskie prawa są takie, że jak ktoś jest w gazie i seryjnie zdobywa bramki, nie zostawia się go na ławce rezerwowych, tylko pozwala grać, licząc na to, że będzie jak zwykle – w odpowiednim czasie i miejscu. Wygraliśmy najtrudniejszy mecz w grupie – z Austrią w Wiedniu, mecz, który może ustawić nas w roli faworytów do wygrania całej grupy. Radziłbym jednak lód przeznaczony do schłodzenia szampana przeznaczyć na głowy. Polacy mają za sobą przeciętne spotkanie, zanim strzelili gola, razili ich błędy w rozegraniu i dziury w obronie. A kiedy Austria rzuciła już wszystko do przodu, mogli stracić gola na dwie minuty przed końcem i wrócić do Polski z poczuciem niewykorzystanej szansy. Zwycięstwo załatwił nam Piątek i jego pistolety, a nie wyszukana taktyka czy wyraźna różnica w klasie gry...”

Z gwiazdorskim składem, armatami siejącymi postrach w Europie i podbudowani zwycięstwem w Wiedniu z Austrią, mecz z Łotwą Polacy mieli wygrać na tyle wysoko, by ucieszyć tłum. Tłum, o który po ostatnich wynikach PZPN musiał walczyć, bo Stadion Narodowy nie chciał

lanty Bergamo, do której zawodnik został sprzedany w czerwcu 2018 r. Selekcjoner Jerzy Brzęczek skomentował to tak: „Nie znam klauzul i kontraktów zawodników. Jako selekcjoner powołujący piłkarzy w ogóle na to nie patrzę”. Oficjalny komunikat wydała też Wisła Płock: „Stwierdzamy stanowczo, że Klub nie otrzymał i nie otrzyma od Atalanty Bergamo środków finansowych z tytułu występów Arkadiusza Recy w reprezentacji Polski”.

Topornie i wolno

Kiedy szefem reprezentacji Anglii był Ron Greenwood (1977-1982), odprawa przedmeczowa odbywała się zawsze w szatni i sprowadzała do wypowiedzenia formuлки: „Panowie, z tego, co mi wiadomo, jesteście zawodowcami, a więc doskonale wiecie, co robić z piłką. Życzę przyjemnej zabawy!”.

Znając Jurka Brzęczka od juniora, nie posądzam go o aż takie wyrafowanie, ale podczas obydwu spotkań mieliśmy stanowczo za dużo fragmentów puszczonego na żywioł. Nie tylko ja tak to widziałem, czego dowodem są refleksje nestora dziennikarstwa sportowego Andrzeja Lewan-

dowskiego po meczu z Łotwą: „Tym razem powiedzenie żart na określenie szablonu sprawozdawania – pasuje jak ulał do obrazu. Mecz miał dwa oblicza – do przerwy i po przerwie. Nasi piłkarze wymęczyli zwycięstwo 2:0, biorąc górę nad Łotyszami, i już mają sześć punktów w eliminacjach mistrzostw Europy. W pierwszej części nudzili, nie grali, w drugiej przydali grze i sobie energii i z 0:0 zrobiło się 2:0. Musiała być pełna męskości pogaducha w przerwie... Prezes Boniek orzekł, że »Graliśmy topornie i wolno. Musimy być szybsi«, z czym się w pełni zgadzam. W ogóle jakoś za często chyba się zgadzam z prezesem, ale przecież on jeden z nielicznych pozwala sobie na odstępstwa od zawsze urzędowego optymizmu jakby przywiązanego do funkcji... Grali znów ledwie średnio i gdyby ambitni rywale – z góry skazani przez media na porażkę – mniej strzelali ślepakami, to mogły być kłopoty”.

Z kolei w TVN 24 ciekawie zrecenzował poczynania piłkarzy były dziennikarz, a teraz autor kryminałów Grzegorz Kalinowski: „Było brzydko. Bez drugiej linii. Ze skrzydłami w chaosie, z jednym bocznym obrońcą. Zieliński niewykorzystany, a gra na dwóch na-

W meczu z Łotwą Robert Lewandowski wyszedł z cienia i strzelił bramkę dającą nam prowadzenie.



▶ się wypełnić po brzegi. Polacy zagrali z anonimowymi rywalami dramatycznie słabo. Nie mieli planu, pomysłu i nie byli zmobilizowani. Dopuścili do wielu okazji pod bramką Wojciecha Szczęsnego, a sami grali tak, jakby chcieli udowodnić, że porażka z Łotwą za selekcyjnerskiej kadencji Zbigniewa Bońka wcale nie musi być jedynym zawstydzającym rezultatem w meczach z tym przeciwnikiem. Publiczność w Warszawie najgoręcej powitała Krzysztofa Piątka. Wzbudził większy aplauz przy wyczytywaniu składu niż Robert Lewandowski, Kamil Grosicki i Szczęsny razem wzięci. To nie była nagroda za gola w Wiedniu, ale raczej tęsknota za jakimś nowym bohaterem. Piątek rozpała wyobraźnię, bo strzela niemal za każdym razem, kiedy jest na boisku.

To zwycięstwo – wyszarpane, wygryzione i wydarte możliwe było tylko dzięki kapitanowi reprezentacji Polski, który rozegrał drugi świetny mecz w tych eliminacjach. (...) Lewandowski pokazał, że dla dobra drużyny potrafi usunąć się w cień. W niedzielę wyszedł z cienia, wrócił wtedy, kiedy najbardziej go było potrzeba. Nie mamy takiego tabunu napastników, którzy mogliby sprawić, że brak Lewandowskiego nie byłby w kadrze zauważalny. Nadal jedziemy na jego plecach. Piątek czy Arkadiusz Milik to naprawdę dobrzy piłkarze, tyle że brakuje im jeszcze doświadczenia w braniu odpowiedzialności za całą drużynę tylko na siebie. Lewandowski ma to w papierach. Szanujmy go, a później myślimy o stawianiu nowych pomników”.

Nam nie jest wszystko jedno

Znawcy niezmiennie twierdzą, że tzw. budowa reprezentacji jest niekończącym się procesem. Decyduje o tym mnóstwo czynników – nie miejsce, by je wszystkie wymieniać. Jedynym odstępstwem od tej reguły, a nawet swoistym wybrykiem natury, była kadra narodowa prowadzona przez Kazimierza Górskiego w latach 1972-1974. Pan Kazimierz nie tylko mawiał, ale i wpajał swoim zawodnikom: „Jak się nie ma ochoty grania i wygrywania, to lepiej w ogóle nie wychodzić na boisko”.

Spotkania z Austrią i Łotwą nie zostaną na dłużej w naszej pamięci. Zapisali się jedynie w statystyce z racji zdobycia sześciu punktów. Znowu przyszło nam wysłuchiwać doskonale znanej śpiewki w rodzaju: „Czeka nas jeszcze dużo pracy. Teraz z meczu na mecz będzie lepiej. Dążymy do perfekcji, chcemy eliminować błędy. Musimy poprawić skuteczność”. Wiem jedno – że ani w Wiedniu, ani w Warszawie takie pierwsze połowy nie powinny białoczerwonym się zdarzyć. Tak w piłkę się nie gra i czegoś takiego nie da się oglądać. Są jednak jakieś granice sportowej przyzwoitości. Budowa, budowa (za nami osiem meczów), której końca wciąż nie widać. Podobno z chaosu zrodził się świat, ale żeby w ten sposób uzyskać dobry wynik, o tym nie słyszałem. Nie wiem, jak niektórym piłkarzom, ale nam, kilku milionom kibiców, nie jest wszystko jedno!

Maciej Polkowski

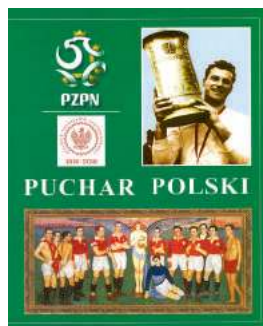
ROCZNIK I PUCHAR

Niespożyty w dokumentowaniu polskiej piłki nożnej Andrzej Gowarzewski znów zaskoczył czytelników. Z okazji stulecia odzyskania niepodległości oddał w ich ręce bibliofilską wręcz publikację – „Puchar Polski”. Z zespołem współpracowników zaprezentował historię pojedynków o to trofeum. Nie tylko ich zwycięzców, ale przede wszystkim fenomen „turnieju tysiąca drużyn”, w którym porażki faworytów są częstsze niż w rozgrywkach ligowych.



Puchar Polski. Dzieje rozgrywek o piłkarskie trofeum pod patronatem Prezydenta RP 1926-2018,
Wydawnictwo GiA,
Katowice 2018

Andrzej Gowarzewski,
Encyklopedia piłkarska Fuji.
Rocznik 2016, 2017, 2018,
Fundacja Bialo-Czerwoni,
Wydawnictwo GiA,
Katowice 2018



Jednocześnie „na stulecie” ukazał się kolejny tom „Encyklopedii piłkarskiej”. Tym razem połączony „Rocznik 2016, 2017, 2018” – prezentacja Ekstraklasy, skład, wyniki oraz analiza, dla czego dany zespół wypadł tak blado bądź ponad miarę swoich możliwości. Kompendium wiedzy o drużynach, piłkarzach i sztabie szkoleniowym, bez którego, nie tylko w przyszłości, nie da się pisać o „naszej kopanej”, jak mawiał Kazimierz Górski.

Do tego, zresztą w obu publikacjach, ogrom zdjęć, które bynajmniej nie są wypełniaczami.

Paweł Dybicz

Włoska ruletka

Pisząc o niespotykanym wcześniej bałaganie towarzyszącym nominacjom ambasadorskim, gdy PiS walczy z PiS i jedna frakcja blokuje drugą, nie sposób nie wspomnieć o Konradzie Głębockim, najkrócej chyba urzędującym ambasadorze RP.

Głębocki, profesor nadzwyczajny Politechniki Częstochowskiej, najpierw był radnym PiS. Potem został wybrany na posła. Na fali „dobrej zmiany” władza ustaliła, że zostanie ambasadorem w Włoszech. Podobał się pisowcom, gdy mówił: „Gdyby do dzisiaj rządziło PO-PSL, mielibyśmy dziesiątki uchodźców, byłibyśmy po zamachach w Warszawie”. Uznano więc, że na twarz „dobrej zmiany” nadaje się znakomicie.

Wszystko poszło dość sprawnie. 9 maja 2018 r. kandydat przeszedł przesłuchanie przed sejmową Komisją Spraw Zagranicznych, został zaakceptowany, więc tylko wyjeżdżać.

I tu zaczęły się schody. Otóż nominację na ambasadora RP w Rzymie z rąk ministra Jacka Czaputowicza odebrał 20 czerwca. Ale okazało się, że była ona datowana na 5 czerwca i automatycznie tego dnia Głębockiemu wygaśnię poselski mandat.

Jak później zapewniał, on o tym nie wiedział. I dlatego przez 15 dni jako nieposeł uczestniczył w pracach Sejmu. I głosował 175 razy! Na przykład przeciw wnioskowi o wotum nieufności wobec wicepremier Beaty Szydło i minister rodziny Elżbiety Rafalskiej.

Ostatecznie uratowali go posłowie PiS, argumentując, że ten jeden głos nie przeważał żadnego z głosowań, faktycznie więc nie miał znaczenia.

Głębockiemu się upiekło, a w częstochowskich kościołach kapłani wzywali do modlitwy za jego nową misję.

Ale świeżo upieczonemu ambasadorowi do objęcia nowej placówki jakoś się nie śpieszyło, bo listy uwierzy-

telniające na ręce prezydenta Republiki Włoskiej złożył dopiero 10 września 2018 r. Po wakacjach.

Potem trochę popracował, w połowie października witając lądującą w Rzymie parę prezydencką, uczestniczył w promocji książki prezydenckiego ministra Krzysztofa Szczerskiego oraz wygłosił wykład z okazji Dnia Edukacji Narodowej. I już.

A potem złożył rezygnację z funkcji.

Co się stało? Media informowały, że skonfliktował się z otoczeniem, w tym z polskimi przedstawicielami przy Stolicy Apostolskiej oraz przy Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa. Miał ponoć również wymagania co do rozmiarów i usytuowania swojej rezydencji. Inne głosy mówiły, że sytuacja go przerosła, nie był do niej przygotowany, że nie tak wyobrażał sobie nową pracę. Mimo zatem modlitw w częstochowskich kościołach wrócił do Polski, na politechnikę.

I od listopada Polska we Włoszech nie ma ambasadora. Za chwilę będzie pół roku.

Ale teraz jest potrzeba, by był. Bo rządzą Włochami przyjaciele „dobrej zmiany”, mówi się o osi Rzym-Warszawa. Poza tym zbliżają się uroczystości 75. rocznicy bitwy o Monte Cassino (18 maja) i wypadaloby na ten czas mieć już ambasadora.

Na razie w wewnętrznych grach faworytką jest senator Anna Maria Anders. Czaputowicz i Morawiecki na nią stawiają. Ma idealne nazwisko, zna włoski, bo mieszkała we Włoszech jako żona amerykańskiego *attaché* wojskowego, więc zalet ma sporo. Wad – nie mniej. Jest ryzykiem jeszcze większym niż Głębocki.

Czekamy, co z tych gier wyniknie. Z zaciekawieniem.

Attaché

Czy rzeczywiście są pracowite?
W Peszawarze
pszczelarz sprawdza plaster miodu.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadniętych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- ...Spelling, producent popularnych seriali
- wodny odpowiednik terenu
- Centauri na niebie, romeo na szosie
- kolor lub szarłat
- grał go Fijewski w filmach Rybkowskiego
- zamknięty podejrany
- niewierzący

- ciastko z ubitych białek
- wrażliwe – wymagają szczególnej ochrony
- węgiel jako część wynagrodzenia
- zrospaczony i gotowy na wszystko
- zmysł z piosenki Edyty Górniak
- cukierki jak tabletki
- przrząd do rozwijania mięśni barków

- nowo obrany, przed objęciem urzędu
- rola nie dla gwiazdora
- stanowisko ze stałą pensją
- pelerynka z futra
- w innej rodzinie niż ameryk
- strojone przez kapryśnicę
- mierniczy
- do wyrobu sztukaterii
- otoczony rzeszą fanów
- imię syna Xymeny Zaniewskiej
- gad zmieniający kolor
- drogocenny kamień, wyrób jubilerski
- wspólny mianownik
- roży i jeża
- koniec, krawędź

- ...z mlekiem – o cerze zdrowej, z rumieńcami
- przejazd autobusu, taksówki
- zawodowiec – grany, Niemczyk – grał
- język dzieł Tacyta
- model czegoś w zmniejszonej skali
- Fiki-Miki u Makuszyńskiego
- sercówka lub omutek
- cechuje paparazzich
- muzykująca dziewczątka
- „...Magellana” Lema
- zewnątrzna okładka książki
- skrzydło, frakcja partii
- buty dla szarzy
- granat do zjedzenia
- informacja zatajająca część faktów
- jądrowy – z rdzeniem
- podział na przeciwstawne obozy

- skóra wraz z wełną
- województwa albo ptasi
- technika barwienia fotografii
- chrupiące w smalcu
- „Wśród wysokich traw głęboki...”
- więzienny albo Teksasu
- obsiadają czereśnię
- brzucha lub na rurze
- czy czyta cytaty Tacyta?
- warstwa badana przez meteorologię
- emploi Chucka Norrisa i Bogusława Lindy
- siódma planeta od Słońca
- np. ulicówka, okolnica
- zmętnienie soczewki oka
- brak tchu ze zmęczenia
- przodek kota domowego
- nazywany czarnym sportem

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-903”. Do rozlosowania książki „To nie jest amerykański film” ufundowane przez Wydawnictwo Dragon. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 7 kwietnia 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-900” z 17 marca: Ryzyko to element gry.
Nagrody otrzymują: Tomasz Chiliński z Warszawy, Ryszard Kiełczewski z Tychów, Józef Klajsek z Cieszyńska.

PENETRACJE

POLITYKA DANIEL PASSENT, KOMENTATOR

Co to jest polityka historyczna? Jest to manipulowanie historią w celach politycznych. Znamy historyk twierdzi, że coś takiego jak polityka historyczna w ogóle w przyrodzie nie występuje. – Polityka historyczna to oksymoron. Albo historia, albo polityka. Albo uprawia się naukę, albo propagandę – mówi. Całkowicie się z nim zgadzam. Tym niemniej to coś, co potocznie nazywa się polityką historyczną, jest coraz bardziej natrętne. Panoszy się i rozpycha zwłaszcza od 2015 r., kiedy władzę objęła prawica. Dla niej tzw. polityka historyczna to pasmo zachwyty nad samym sobą.

DUŻYFORMAT JOSÉ MUJICA, BYŁY PREZYDENT URUGWAJU

To jest nasza tragedia: chcieć tak dużo, a móc tak mało. Ale postarałem się zmienić choć troszkę. Każdy z nas może spróbować. Trzeba rozjaśnić ludziom w głowach. Dziś wszelkie szkoły próbują nas uczynić użytecznymi w pracy, żebyśmy sobie poradzieli w życiu. Ale nie martwią się o nasze postępowanie w społeczeństwie, o wartości, a jeszcze mniej – o szczęście. Słabe takie nauczanie. Musimy uczyć dzieci w szkołach, jak uzyskać wewnętrzną wolność, wzmóc umiejętność wyboru, uczynić ich głowy niezależnymi, tak by nikt ich nie manipulował. By mogły wybrać drogę swojej

wolności i jej strzec. Przy definicji wolności jako tego czasu w moim życiu, kiedy robię to, co robię. Dla każdego z nas to będzie coś nowego.

STYL KATARZYNA KOLENDA- -ZALESKA, DZIENNIKARKA

Wisława Szymborska nie należała do osób, które się zwierzały, dzieliły trudnymi sprawami, i nie oczekiwała, że inni będą to robić. Ból czy smutek wołała pokazywać w wierszach albo przeżywać w samotności. Gdy przyjeżdżałam do Krakowa, zapraszała mnie na kolacje, loteryjki, kawkę na dziesiątą rano, tyle że oprócz kawki były jej ulubione kabanosy z łososia i calvados. Dzwoniłam, gdy coś się działo w sferze publicznej i byłam ciekawa jej zdania. Albo gdy chciałam, żeby mi poleciła serial. Kiedyś powiedziała: „Nie spałam całą noc, bo oglądałam Tudorów”.

POLSKA WOJCIECH WAGLEWSKI, GITARZYSTA, KOMPOZYTOR I PRODUCENT MUZYCZNY

Wielu rzeczy nie rozumiem. Nie rozumiem, jak można wierzyć w 10 przykazań, wychodzić z kościoła i opluwać myślących albo wyglądających inaczej. To jakieś takie mało chrześcijańskie. Ósme przykazanie np. brzmi: „Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu”. 50% faktów medialnych wytwarzanych przez polityków opartych jest na kłamstwie albo na półprawdzie.

Aby język giętki...

PROF. PAWEŁ ŚPIEWAK O ANDRZEJU DUDZIE

Jest po prostu kawałkiem piśmowskiej maszyny i mówi, to co oni mówią.

JERZY URBAN O MARCINIE WOLSKIM

W Polsce Ludowej jako bezpartyjny nie mogłem się odzywać do Wolskiego *per* towarzyszu.

BOGDAN ZDROJEWSKI O GRZEGORZU SCHETYNIE

W filmie „Poszukiwany, poszukiwana” dyrektor przedstawia wieżowiec na jezioro. Tak samo ze mną postąpił Schetyna.

MAGDALENA FITAS-DUKACZEWSKA O TŁUMACZENIU POLITYKÓW

Nie mogłabym powtarzać z przekonaniem słów, które budzą moją odrazę i głęboki sprzeciw.

HENRYK MARTENKA O ANDRZEJU ZYBERTOWICZU

Napędzany chorobliwym przekonaniem, że ma rację zawsze i wszędzie, nie zauważył, że Bóg nie obdarzył go łaską pokory i refleksji.

MARIA SEWERYN O KRZYSIE MĘSKOŚCI

Kobiety poszły do przodu, nabrały siły, ale niewielu mężczyzn umiało i umie sobie z tym poradzić.

JANINA OCHOJSKA O POLAKACH

Jesteśmy lepsi, niż sami sądzimy. Tylko jest to głęboko ukryte pod tymi pyskówkami, sporami.

ANNA MUCHA O PRZYJEMNOŚCIACH

Jeśli w swojej pogoni za przyjemnością słyszę „nie”, to stoję. Chociaż jeszcze nigdy nie usłyszałam „nie”.

ANDRZEJ „PIASEK” PIASECZNY O TYM, CO GO OMINĘŁO

Z seksem lichutko raczej. Żałuję nawet nieco, że nie korzystałem. Powinienem szumieć mocnej.

HANNA ŚLESZYŃSKA O 60. URODZINACH

Sama jestem zdziwiona. Jak spojrzę w lustro, myślę sobie: „Matko święta, jak to się dzieje i dlaczego tak szybko?”.



W Mińsku działa zimowe sanatorium dla nietoperzy. Na Białorusi występuje 19 gatunków tych ssaków, w tym osiem zagrożonych wyginięciem. Jeszcze zaspany nietoperz jest ważony przed wypuszczeniem na wolność.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Chcą premiera z komputera

Ciekawe wyniki przyniosły badania hiszpańskiego IE Universidad, którymi objęto ponad 2,5 tys. dorosłych mieszkańców Francji, Niemiec, Irlandii, Włoch, Hiszpanii, Holandii i Wielkiej Brytanii. Co czwarty respondent zadeklarował, że wolalby, aby kluczowe decyzje w jego kraju podejmowali nie politycy, ale sztuczna inteligencja. W niektórych państwach zwolenników rządów sztucznej inteligencji było jeszcze więcej, np. w Holandii za automatyzacją rady ministrów tęskni 43% pytanym. Polaków w ankiecie nie uwzględniono. A szkoda...

Lennon, Jackson, kto następny

Mieszkaniec angielskiego Malvern postanowił w 2015 r. zmienić imię i nazwisko na Michael Jackson. Co więcej, wydał cały majątek na pamiątki po swoim idolu. Teraz, po premierze filmu oskarżającego króla popu o pedofilię, mężczyzna rozpoczął internetową zbiórkę 120 funtów na ponowną zmianę personaliów. Kilkanaście lat temu Anglik przeszedł urzędową procedurę, dzięki której przestał się nazywać John Lomas, a zaczął – John Lennon. Ciekawe, kogo wybierze sobie za kolejnego idola.

Wyprawa do granic rozumu

Tzw. płaskoziemcy, czyli zwolennicy teorii, że nasza planeta ma w rzeczywistości kształt dysku, przygotowują ekspedycję badawczą, która zamknie usta niedowiarcom. Zamierzają dopłynąć do Antarktydy, by znaleźć lodową zaporę, która jest według nich końcem świata. Przypominają przy tym, że ziemski dysk jest zakryty kopułą, w której znajdują się Słońce, Księżyc i inne gwiazdy. Pytanie, co sami mają pod kopułami, ma charakter retoryczny.

MEMY BEZ ŚCIEMY



Artystka Dasza Marczenko nadaje ostatni szlif podobiznie prezydenta Ukrainy Petra Poroszenki, a Hinduska z Radżastanu składa hołd bogini Śitali, by zapewnić szczęście rodzinie.

Ogród z o.o.

W Lehe Ledu Wildlife ZOO w Chinach to ludzie są umieszczani w klatce, znajdującej się na pace ciężarówki, podczas gdy dzikie zwierzęta swobodnie przechadzają się po ogrodzie. Goście są pouczeni, by przez cały przejazd trzymać ręce przy sobie, bo tygrysy i niedźwiedzie mogą je uznać za swoje śniadanie. Bliskie spotkania z drapieżną fauną są nieuniknione, gdyż do klatki przymocowywane jest surowe mięso.

O mamolo!

W Wielkiej Brytanii duży rozgłos zyskał film porno, który pięć matek w średnim wieku wyreżyserowało dla swoich dzieci. Chciały w ten sposób uchronić je przed poznawaniem seksu z pornografią głównego nurtu, prymitywnej i pełnej przemocy wobec kobiet. Film, poza prezentacją stosunków płciowych z zabezpieczeniem, zawiera sceny pocałunków i uścisków, a także odnosi się do przeżyć duchowych, jakich może i powinno dostarczać współżycie seksualne.





ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Piłkuła, Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,

Rysownicy: Grzegorz Bakowski, Kain May,

[Małgorzata Tabaka]

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:

Sandra Zawadzka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od
dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega
sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów.
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnia-
nie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE
bez zgody wydawcy jest zabronione.** Przedruki
po uzyskaniu zgody wydawcy.

**Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie
niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi
odpowiedzialnością karną.**

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





**TURNIEJ
MAŁYCH FORM
SATYRYCZNYCH
BOGATYNIA 2019**

**FINAL
TURNIEJU**
6 KWIETNIA 2019
BOGATYŃSKI OŚRODEK KULTURY
GODZ. 16:00



**W PROGRAMIE:
FINALIŚCI TURNIEJU
ORAZ GOŚCIE ZAPROSZENI
KONCERT PRZEWODZI ARTUR ANDRZEJ
ZAPRASZAMY!**

BILETY 30 PLN
WPOŁCENIE STACJONARNE W KASIE 300L
PŁYNIE W GODZ. 15:00-16:00
W KONTAKTACH: PUB-PT. W 60002 6:00-14:00

Do finału tegorocznego
36. Turnieju Małych Form
Satyrycznych Bogatynia '2019
Komisja Kwalifikacyjna zaprosiła
następujące kabarety i osoby:

- Kwiatkowski i Bank z Krakowa
- Martę Kubicką z Warszawy
- Bartosza Gajdę z Pszczyny
- Szymona Łątkowskiego z Mroczy

Finał 36. Konkursu Małych Form
Satyrycznych odbędzie się
6 kwietnia w Bogatyni – mieście
satyry i humoru.

Prezes Stowarzyszenia Turnieju
Zdzisław Justyński

**RADOŚĆ
POZNAWANIA**

TYGODNIK

ANGORA

PRZEGŁĄD
PRASY
KRAJOWEJ
I ŚWIATOWEJ



krakers

Cracow Art Week

8-15 kwietnia



Cracow Art Week KRAKERS jest projektem upowszechniającym sztukę współczesną i promującym środowisko artystyczne miasta. Dzięki bogatemu programowi: wernisażom, wystawom czy oprowadzaniom kuratorskim, można lepiej poznać krakowski świat sztuki.

KONKURS DLA GALERII 3000+ to trzecia edycja konkursu na najciekawszą i najlepiej przygotowaną wystawę. Jednym z kryteriów jest również nawiązanie do hasła imprezy. Zapraszamy do głosowania, które rozpocznie się 8 kwietnia o godz. 18!

KULTOUR: oprowadzania szlakiem krakowskich galerii 13-14 kwietnia. Trasy, dzięki którym w przyjemny sposób można poznać galerie, pracownie czy inne niezwykle miejsca związane ze sztuką najnowszą – jest ich naprawdę sporo! Wstęp wolny!



PATRONAT PRZEGLĄDU

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, ARCHIWUM FUNDACJI WSCHÓD SZTUKI

Więcej informacji o programie oraz galeriach biorących udział w Cracow Art Week na stronie: www.cracowartweek.pl oraz w mediach społecznościowych: www.facebook.com/cracowartweek i www.instagram.com/cracowartweek.

eprasa.pl 29f101ed7f

MAGGIE GYLLENHAAL

SUNDANCE FILM FESTIVAL

NAJLEPSZA REŻYSERIA

MAGGIE GYLLENHAAL

PRZEDSZKOLANKA

[illegible]

PAULA
BEER